JAKUB ĆWIEK

CHŁOPCY BANGARANG

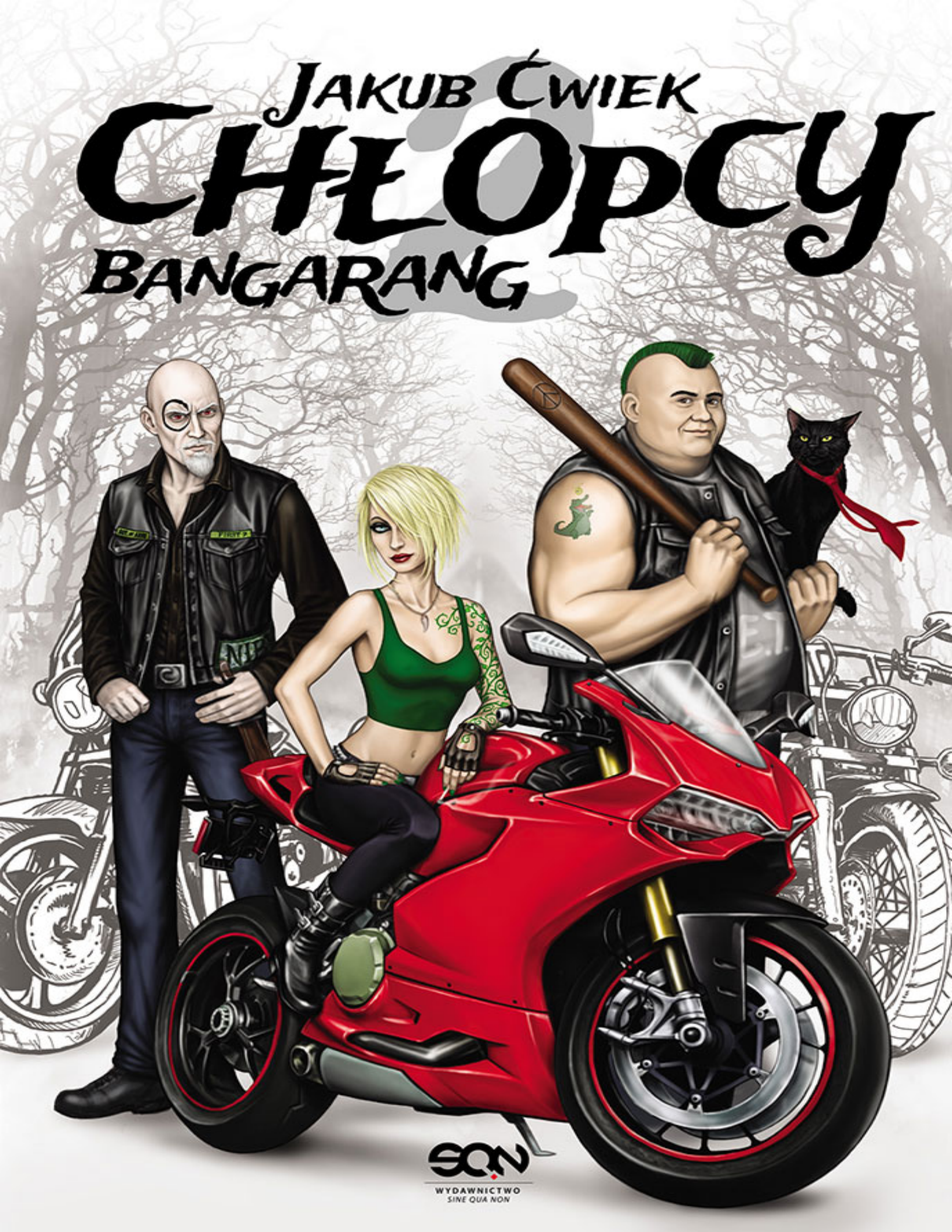

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

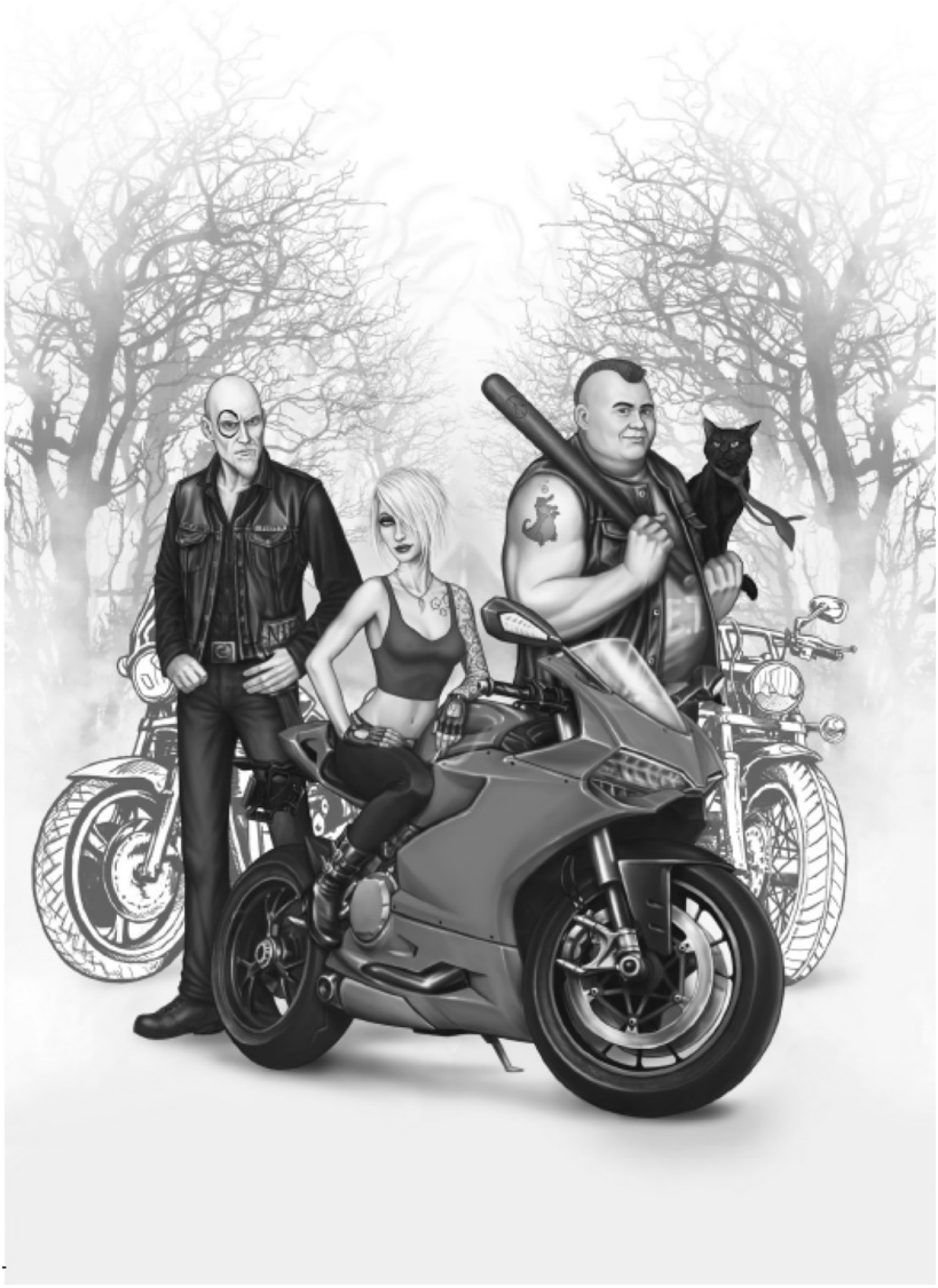

CHŁOPCY 2
BANGARANG

JAKUB ĆWIEK

KRAKÓW 2013

Pamięci Richarda Mathesona – pisarza, którego
uwielbiałem... zanim dowiedziałem się
o jego istnieniu.

KTO SIĘ PRZEZYWA...

To była maleńka stacja gdzieś w środku głuszy. Oświetlony blaskiem księżyca niewielki ceglany domek z zakratowanymi oknami, wyszczerbioną, porośniętą mchem dachówką i drewnianą wiatą sięgającą połowy brukowanego peronu. W środku świeciła się tylko jedna lampka, zapewne przy biurku zawiadowcy.

Dochodziła północ i według nowego rozkładu umocowanego na zmurszałej ścianie nad połamaną ławką od trzech minut powinien tu stać osobowy do Warszawy Wschodniej, nikt już jednak nie wierzył w punktualność kolei. O czasie zacharczały tylko przechodzone głośniki, a następnie rozległ się wyrecytowany znużonym głosem komunikat o kwadransie spóźnienia, które mogło ulec zmianie. A potem znowu tylko cisza i cykanie świerszczy na okolicznych polach.

I nagle gdzieś w oddali rozległ się ryk. Miarowy, głośny i agresywny, narastał z każdą chwilą, płosząc uśpione ptaki. Wreszcie spomiędzy drzew wystrzelił snop jasnego światła.

W zakratowanym oknie pojawił się zawiadowca w służbowej czapce z daszkiem. Z jedną ręką przyłożoną do czoła, a drugą uzbrojoną w długą, ogumowaną latarkę, stał tak przez dłuższą chwilę, jakby nieświadom, że za sprawą lampki za jego plecami jest dużo bardziej widoczny, niż sam cokolwiek widzi. Gapił się w snop światła i wsłuchiwał w ryk silnika, aż dostrzegł w księżycowej poświacie ogromny motocykl, będący źródłem zarówno blasku, jak i hałasu.

Odczekał jeszcze chwilę, aż pojazd się zatrzyma, a potem przybysze – mężczyzna i kobieta – odwieszą kaski i zsiądą z motoru, po czym wrócił do

biurka i specjalnie dla nich jeszcze raz nadał komunikat o spóźnieniu. Wychodzić do nich ani myślał; łysy, blady motocyklista o białej jak śnieg brodzie miał czerwone oczy diabła i spotkanie z nim na pewno nie przynios-
łoby zawiadowcy nic dobrego.

* * *

– Możesz już jechać – stwierdziła Dzwoneczek, rozpinając skórzaną kurtkę i rozglądając się po okolicy. – Poczekam te parę minut sama, a w domu jeszcze masa roboty przed Zjazdem.

Stalówka nie odpowiedział. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po wymiętoloną paczkę papierosów i wyciągnął dwa. Wsunął je do ust, odpalił i jeden podał Dzwoneczkowi.

– Naprawdę myślisz, że Paragon to dobry pomysł? – zapytał. – Nie jeździ już od tak dawna.

– Był jednym z nas – odparła. – Poza tym zapraszał.

– Ale ma teraz żonę...

Spojrzała na niego z powagą, ale po chwili nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

– Kurwa, Stalówka, nie zamierzam spać z nim, tylko u niego, opanuj się. Poza tym może mi się przydać pomoc.

– Mógłbym pojechać z tobą. Wziąć samochód i za jakąś godzinę...

Pokręciła głową, po czym wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

– Zjazd, Stalówka – powiedziała. – Ktoś musi się nim zająć, gdy mnie nie będzie. Zjazd nie poczeka. Zwłaszcza ten.

Odstąpiła o krok, zaciągnęła się papierosem i cisnęła niedopałek na ziemię. Gdzieś z oddali dobiegł ich ostrzegawczy gwizd maszynowozu.

– Jedź już – poprosiła. – I jeżeli to możliwe, nie zróbcie jutro większych zniszczeń, niż trzeba.

– Tak – westchnął Stalówka – chociaż ostatnio potrzeby rosną. Wiesz, adrenalina już nie ta.

Pokiwała głową. Znała przecież swoich chłopców.

– No to niech przynajmniej żadne szkody nie wyjdą poza obszar lunaparku.

– I lasku?

Dzwoneczek westchnęła.

– I lasku.

– Także tej części po drugiej stronie ulicy? – upewnił się Stalówka. – Wiesz, Kędzior koniecznie chciałby to doprecyzować.

W oddali zamajaczyły już światła pociągu. Dwa żółte ślepia wyłaniające się z mroku, omiatające swym spojrzeniem zgarbioną stacyjkę, mały placyk obok niej i ich dwoje przy motocyklu. Dzwoneczek przypomniała sobie nagle, jak dawno nie jechała pociągiem.

– Chcę tylko mieć do czego wracać – stwierdziła. – I do kogo. Więc bawcie się grzecznie i wywieźcie Kubusia.

Stalówka wyszczerzył się w uśmiechu, a jego oczy jeszcze mocniej zapłonęły czerwienią.

– Spokojnie – powiedział. – Kędzior z Milczkiem już nad tym pracują.

* * *

Rozmawianie z Kubusiem przypominało trochę grę w łapki. Siedzisz sobie spokojnie, rączki na widoku, niezobowiązujące tematy, a tu nagle chwila nieuwagi i pac!, dostajesz po łapach. Jak to możliwe, myślisz, więcej się nie nabiorę, ale potem przychodzi co do czego, znowu w coś zabrniesz, zamyślisz się. I znowu jest jak zwykle.

Kędzior wiedział o tym doskonale i pewnie nie podjąłby się tej rozmowy, ale oczywiście Bliźniacy znaleźli sposób, by go podpuścić i wrobić, więc teraz siedział tu, zgarbiony na małym łóżku chłopca niczym plastikowy Hulk usadzony w domku dla lalek, i ku ogromnej uciesze stojącego w kącie Milczka wił się pod naporem Kubusiowych pytań.

– Ja naprawdę nie rozumiem, co takiego może się wydarzyć podczas Zjazdu, czego ja nie mogę widzieć – stwierdził chłopczyk, robiąc poważną minę i tym samym dając początek kolejnej rundzie starcia. – Dlaczego nie chcesz mi wyjaśnić?

– Już ci mówiłem. Tego nie da się tak po prostu wyjaśnić, musiałbyś tu być. No a rzecz w tym, że nie możesz.

Kubuś przekrzywił lekko głowę i zmarszczył czoło.

– Chcesz powiedzieć, że masz tak ubogi słownik, że nie umiesz się wyrazić? – zapytał.

– Mój słownik jest na tyle opasły, że jakbym ci nim pierdolnął...

Stojący w kącie Milczek klasnął w dłonie. Kędzior obejrzał się i przez chwilę, dysząc ciężko, patrzył, jak drugi motocyklista miga. Wreszcie uśmiechnął się paskudnie i pogładził się po gęstej rudej brodzie.

– To jest myśl, Milczek – pochwalił.

Wstał, poprawił kurtkę i wyciągnął rękę do chłopczyka.

– Chodźmy gdzieś, gdzie jest laptop.

Poszli. I najwyraźniej poskutkowało, bo gdy pół godziny później wychodzili z makietowej i wpadli na Pierwszego, Kubuś był blady jak ściana, drżały mu usta i ręce. Już zdecydowanie nie chciał zostawać.

– Co mu jest? – zapytał Bliźniak.

Kędzior wzruszył ramionami.

– Nie może zostać na Zjeździe. A ja mam ubogi słownik.

Pierwszy pokiwał głową, najwyraźniej doskonale rozumiejąc, co jedno z drugim ma wspólnego. Płynnym ruchem sięgnął do tylnej kieszeni po grzebień i przeczesał włosy.

– I co z nim zrobicie?

– Milczek zabierze go do takiej jednej – wyjaśnił Olbrzym. – Duże cycki, to i na dzieciach musi się znać. Ewolucja, wiesz. Instynkt.

Znowu Bliźniakowi nie pozostało nic innego, jak tylko pokiwać głową. Nie znał się na tych sprawach specjalnie, a na dodatek podejrzewał, że Kędzior wie w temacie jeszcze mniej, więc dyskusja mogłaby pójść na noże. Dosłownie. A nikt nie miał ochoty zaprawiać się i uszkadzać na dzień przez Zjazdem.

Raz jeszcze zerknął więc na pogrążonego w stuporze Kubusia i rozczochrał mu fryzurę.

– Trzymaj się, mały – powiedział. – A tego, co widziałeś, cokolwiek ci pokazał, nie próbuj w domu. Przynajmniej nie przez najbliższe parę lat.

Chłopczyk ledwie zauważalnie pokiwał głową.

– No dobra, to ja lecę pomóc bratu przy wyładunku żarcia.

Bliźniak ruszył w stronę schodów.

– Ale jakbyście dali mi adres tej z cycami – odwrócił się jeszcze – to myślę, że Drugi sobie świetnie...

– Milczek go zawiezie.

– Ech... No dobra.

Pierwszy zbiegł po schodach i jeszcze przez chwilę jego dudniące kroki niosły się po korytarzu na parterze, aż wreszcie ucichły. Dopiero wtedy Kędzior spojrzał na Kubusia i pogładził go po głowie, poprawiając rozwichrzone przed momentem włosy.

– No i widzisz? Trzeba się było kłócić? To teraz masz – powiedział, kucając i biorąc zlęknionego malucha na ręce.

Normalnie posadziłby go sobie na ramieniu, jak zawsze, ale teraz nie był pewien, czy Kubuś byłby w stanie się na nim utrzymać. Ułożył go więc w kołysce z własnych przedramion, które spokojnie mogły robić chłopczykowi za łóżko, i ruszył w stronę pokoju Milczka.

– Ale spoko – mruknął po chwili. – Mam jeszcze zapas łez, to za dwa dni zapomnisz. Inaczej by mi chyba mama nogi z dupy wyrwała.

* * *

W pociągu było potwornie gorąco, ale Dzwoneczek nie zdjęła kurtki. Jechała wagonem bez przedziałów, w sąsiednim boksie siedzieli czterej podchmieleni mężczyźni, a ona miała pod spodem tylko bluzkę na ramiączkach. Nie chciała prowokować, niepotrzebna jej była rozróba ani tym bardziej przypadkowy siniec czy zadrapanie. Miała tylko nadzieję troszkę się zdrzemnąć, zanim skład dowlecze się do Warszawy. Żar bijący spod siedzeń jeszcze bardziej do tego zachęcał, sprawiał, że jej powieki z każdą chwilą robiły się cięższe, ramiona i nogi bezwładne. Rytmiczny stukot kół koił i usypiał... koił i usypiał...

Ocknęła się nagle i zdała sobie sprawę, że dwóch z czterech mężczyzn z sąsiedniego boksu stoi teraz nad nią, w przejściu. Trzeci siedział naprzeciwko, a czwarty – obok niej. Ich zdradzające pewność siebie uśmiechy i roziskrzone spojrzenia wskazywały dość wyraźnie, że jej „nie” będzie wyłącznie zachętą do pokazania „a jednak”.

Dzwoneczek westchnęła cicho. Los jej świadkiem, że chciała tylko w spokoju dojechać do celu, i ani jej w głowie było udzielanie lekcji feminizmu w praktyce, nie tym razem. Czasem jednak społeczne parcie na edukację jest zbyt silne.

– Panowie... – zaczęła przymilnie.

Pierwsze słowo nie zdążyło jednak wybrzmieć, a jej stopa już wbijała się w krocze mężczyzny na przeciwko. Niemal jednocześnie uderzyła łokciem w twarz tego po prawej, z satysfakcją przyjmując chrupnięcie nosa i stłumiony wrzask. To już dwóch, dotarło do niej. Dwóch w sekundę.

Zdawała sobie jednak sprawę, że ci dwaj byli łatwiejsi. Nie spodziewali się ataku, mieli ograniczone pole działania, a ich postura i masa nie dawały im przewagi nad wątłym i drobnym Dzwoneczkiem. Dwaj w przejściu, otrzeźwieni wrzaskiem kolegi, zdążyli się już spiąć i teraz próba przedarcia się między nimi byłaby co najmniej ryzykowna.

Dzwoneczek nie zamierzała podejmować głupiego wyzwania. Poderwała się z miejsca i, zamiast w lewo, rzuciła się do okna, błyskawicznie znalazła się na pustym siedzeniu po przekątnej i zgrabnie przeskoczyła nad oparciem do następnego boksu. Popędziła co sił w stronę przejścia między wagonami.

Nie potrzebujesz tej awantury, przekonywała się w myślach, choć wszystko w niej aż się skręcało, by dać dwóm pozostałym drabom równie bolesną nauczkę, co ich kolegom. Zwłaszcza teraz, gdy w wąskim przejściu nie mogliby wykorzystać liczebnej przewagi. Musisz wyglądać dobrze. Jutro musisz...

– Tak, kurwo, uciekaj! – zawołał za nią jeden z mężczyzn, gdy już, już prawie zacisnęła rękę na uchwycie rozsuwanych drzwi.

Zatrzymała się. Odwróciła powoli i dmuchnęła na niesforną grzywkę.

– Po namyśle chyba zostanę – stwierdziła, ruszając powoli w ich stronę.

Jej kocie ruchy i zmysłowe kołysanie bioder hipnotyzowały, uśmiech zniewalał.

– Muszę nauczyć was, panowie, szacunku dla kobiet. Każda z nas może być czyjąś matką.

Zatrzymała się, zmrużyła oczy, a gdy tylko pierwszy z mężczyzn poruszył się, rzuciła się biegiem w jego stronę. W ostatniej chwili wyskoczyła w górę, odbiła się stopą od siedzenia i poszybowała w stronę napastnika. Pochwycił ją, ale nie zdążył zamknąć w uścisku, gdy cios Dzwoneczka sięgnął krtani. Mężczyzna zakrztusił się i zatoczył, w jego oczach błysnęły łzy.

Wróżka opadła na ziemię i poprawiła hakiem w krocze, a potem odstąpiła o krok i spokojnie odczekała, aż jej przeciwnik opadnie na kolana. Wtedy wprawnym ruchem złapała go za włosy i uderzyła kolanem w twarz. Trysnęła krew z kolejnego złamanego nosa.

– No dobra. – Dzwoneczek podniosła wzrok i spojrzała na czwartego z niedoszłych agresorów. – To kto teraz jest kurwą?

Przerażony mężczyzna przez chwilę nie był w stanie wydusić z siebie słowa, wodził tylko wzrokiem od jednego kompana do drugiego, jakby nie do końca przekonany, czy powinien się cieszyć, że jeszcze nie podziela ich losu, czy martwić, że zaraz dołączy do ich chóru bólu. W końcu jednak dotarło do niego, że ta szurnięta dziewczyna zadała mu jakieś pytanie. Zmusił się, by odtworzyć je w głowie.

– J-ja? – zapytał nieśmiało.

Dzwoneczek parsknęła śmiechem i wzięła się pod boki.

– I widzisz? To się nazywa równouprawnienie, złotko. A teraz bądź łaskaw posprzątać kolegów.

* * *

Stalówka zajechał na plac i zaparkował obok ciężarówki z zaopatrzeniem. Zgasił silnik i przez chwilę siedział w siodle, paląc i przyglądając się Dzieciakom wnoszącym do budynku drewniane skrzynki. Wreszcie oparł maszynę na stopce, zsiadł i powoli ruszył w stronę rozświetlonego domu.

Tegoroczny Zjazd zapowiadał się naprawdę imponująco, o czym świadczyły już same zapachy dochodzące z kuchni. Chyba każdy Dzieciak ściągnął w ostatnich dniach swoje byłe i aktualne, by pomogły w przygotowaniach, i teraz dziewczyny uwijały się jak w ukropie, żeby zdążyć ze wszystkim i zniknąć z nastaniem świtu. Znalazły się wśród nich

też takie, które wiedziały co nieco o Zjazdach, i zdecydowane były zebrać się nawet jeszcze przed wschodem słońca.

Stalówka nie miał im tego za złe. Rzeczywiście, w pewnym momencie impreza zwykle robiła się nieco dzika. A ta miała być największa i najhuczniejsza ze wszystkich – Dzwoneczkowi bardzo zależało, by osłodzić rozrzuconym po świecie Chłopcom nadchodzące zmiany. Spore zmiany.

– Ej, co... kurwa! – usłyszał nagle.

Zaraz potem rozległ się trzask i brzęk pękających butelek. Stalówka obejrzał się i dostrzegł leżącego na ziemi Dzieciaka, roztrzaskaną skrzynkę i tuż przy samej ziemi mały, czerwony krawat nad parą skrzących na zielono oczu.

– Nie „kurwa”, tylko nie pogłaskałeś Pana Propera. – Z ciemności wyłonił się nagle Kruszyna. – A przecież prosił ładnie, tak? Stalówka, prosił?

Albinos splunął i przetarł usta rękawem.

– Mnie do tej swojej zoofilii nie mieszaj – mruknął. – Szkło posprzątajcie, żeby opon nie pocięło, jak chłopaki przyjadą. Gdzie Kubuś?

– He, he – zaśmiał się leżący na ziemi Dzieciak. – To było dobre, Stalówka! Aleś mu dosrał!

Stalówka zmrużył oczy. Ledwie kojarzył tego chłystka, a to znaczyło, że był z nimi od niedawna. Pewnie jeden z tych, których Bliźniaki znalazły pod poprawczakiem – bitny, zadziorny, nieuznający autorytetów. Prawdziwy Zagubiony Chłopiec. Tyle tylko, że co innego
zasady tak zwanego normalnego świata, a co inne-
go klubowe reguły. Czegoś musisz się w życiu trzymać, coś szanować. Wkładali to do głów świeżakom już od pierwszego dnia. A ten najwyraźniej nie zrozumiał.

– Czy ja cię o coś, szczeniaku, w ogóle pytałem? – Głos Stalówki w jednej chwili stał się lodowaty. – A może nie zauważyłeś tego wykurwiaście wielkiego zegarka na moich plecach, hę? Stul ryj i bierz się do roboty.

Dzieciak podniósł się na kolana i odruchowo otrzepał ręce z pyłu. Wyglądał, jakby zaraz miał zamiar się modlić, a jego mina tylko potęgowała to wrażenie. Albinosowi zrobiło się go trochę żal, bo gnojek najwyraźniej zdał sobie sprawę, jak bardzo przegiął. Oczywiście nie było mowy o tym, by całkowicie mu odpuścić, ale...

– Nie spinaj się tak, Stalówka – rzucił Dzieciak, wstając z klęczek. – Przez ten Zjazd wszyscy tu stracili poczucie humo...

Nie skończył, bo potężny cios Kruszyny natychmiast pozbawił go tchu. Zaraz potem grubas pochwycił Dzieciaka oburącz za koszulkę, podniósł i z całej siły cisnął nim przez parking. Chłopak przeleciał kilkanaście metrów, nim z wrzaskiem zarył o asfalt.

– Sorry, Stalówka. – Kruszyna podrapał się po wydatnym brzuchu. – Jeśli sam chciałeś...

Albinos pokręcił głową.

– Nie, tak jest dobrze. Zresztą nie mam teraz czasu – stwierdził, po czym zerknął na podrygującego Dzieciaka i pokręcił głową. – Możesz znaleźć kogoś, żeby go zawiózł do szpitala?

– Sam to zrobię – zaoferował się Kruszyna. – I tak muszę zabrać stąd Pana Propera, bo ta rozlana whisky strasznie go kusi. A wiesz, jaki on jest po pijaku, nie?

– Mówiłem ci już, Kruszyna, nie mieszaj mnie do tego. A w szpitalu powiedzcie, że nie wyrobił na zakręcie. I tak właśnie wygląda z tym asfaltem na ryju. Dobra?

– Się wie – stęknął Kruszyna, schylając się do czerwonego krawata i ślepi. Te po chwili wahania weszły mu na ramię i dopiero na tle koszulki stały się żylastym, czarnym kotem. Grubas pogłaskał zwierzątko pod brodą i zaszczebiotał do niego dziecinnie.

– Obrzydliwe – mruknął Stalówka.

Potarł kantem dłoni zmęczoną twarz i pokonawszy kilka schodków, wszedł do budynku.

* * *

W środku panował harmider. Co chwila ktoś przechodził a to z krzesłem, a to ze stołem, wszędzie pałętały się Dzieciaki z zaopatrzeniem w drewnianych skrzyniach, a z kuchni dochodziły podekscytowane żeńskie głosy i chichoty. Stalówka brnął przez ten tłum z coraz wyraźniejszą niechęcią i wyrazem dezaprobaty malującym się na twarzy. Najchętniej rzuciłby to w diabły i poszedł do łóżka. Ale kto wtedy zająłby się wszystkim?

Niemal jak na zawołanie z pokoju obok dobiegł rubaszny głos Kędziora:

– No i kto się, kurwa, nie umie bawić? Mówię wam, że to w chuj lepsze niż „twardzielska piniata”. No i nie potrzeba ochotnika, bo bawią się wszyscy!

– Przynajmniej na początku – rozległ się głos Pierwszego – bo potem...

– ... wszystkich, kurwa, pozabijasz – dokończył Drugi. – Naprawdę, Kędzior, to pojebane, nawet jak na ciebie. Oni, my... będziemy nawaleni!

Stalówka rozejrzał się po korytarzu. Coś mu mówiło, że będzie żałował, jeśli sprawdzi, ale mimo wszystko był przecież Chłopcem. A od kiedy Chłopcy odpuszczają sobie ciekawość tylko dlatego, że mogą tego pożałować? Dlatego też przeszedł kilka metrów i pchnął uchylone drzwi. W środku zobaczył trzech braci siedzących przy stole: Bliźniaków po obu stronach blatu, Kędziora u szczytu, rozwalonego na starym obrotowym krześle, w którym ledwie się mieścił. Przed nim leżał rekwizyt – kuchenna deska, do której przymocowano woreczek z krwią. Na tym ostatnim widniały szpitalne oznaczenia dotyczące grupy i szereg innych, niezrozumiałych dla postronnych detali. Dopiero w tym momencie Stalówka przypomniał sobie, że gdy wjeżdżał na parking, zastanawiał się, co robi tu karetka z banku krwi. Teraz już wiedział.

– O, Stalówka, dobrze, że jesteś – ucieszył się Pierwszy. – Może ty wytłumaczysz temu idiocie, że nie mamy zamiaru się wystrzelać dla jego uciechy?

– Wystrzelać? – Albinos wziął wolne krzesło, odwrócił je i usiadł w pewnym oddaleniu od stołu. Ręce położył na oparciu, a na nich oparł znużoną głowę. – Dobra, dawaj. Od początku.

Drugi już otwierał usta, by zacząć, ale Kędzior, napędzany dumą z własnego geniuszu, był jednak szybszy.

– No więc po pierwsze: nie dla mojej uciechy, tylko dla wszystkich – doprecyzował. – A po drugie: wymyśliłem zajebistą grę. Nazwałem ją krwiballem i jest to gra podobna do paintballu, tyle że zamiast z pistoletów na kulki...

– Napierdalasz do innych z kuszy! – nie wytrzymał Pierwszy.

– Nie do innych, tylko do deski. – Kędzior podniósł rekwizyt. – A jeszcze dokładniej do woreczka na desce, żeby go przebić. Załatwiłem cały wóz, więc każdy dostanie taki woreczek, zamocuje go do deski, a potem...

– A jak ktoś, geniuszu, nie trafi w taką deskę? – krzyknął Drugi.

– To niech, kurwa, celuje!

Stalówka westchnął i podniósł się z krzesła. Zdecydowanie nie chciał tu być ani tego słyszeć. Było tak, jak przypuszczał. Zrobienie z Kędziora organizatora atrakcji było atrakcją samą w sobie. Machnął tylko ręką i wstał.

– Załatwcie to jakoś, byle szybko – powiedział. – Gdzie Kubuś?

– Milczek go wywiózł do takiej swojej cycatej – powiedział Pierwszy. – I serio, Stalówka, nic mu nie powiesz z tymi kuszami?

– To się nazywa krwiball – natychmiast poprawił Kędzior. – Jak się nie przestaniesz droczyć, dostaniesz cieńszą deskę albo...

– Załatwcie to sami. – Albinos przeszedł przez pokój i zatrzymał się w progu. – Ale zróbcie to szybko. Dzieciarni trzeba pilnować, zwłaszcza nowej, bo pyskuje. Ja będę u siebie, muszę się chociaż chwilę przespać.

– Jasne, Stalówka – pokiwał głową Kędzior, szczerząc się w uśmiechu. – Jeszcze tylko jedna sprawa.

– No?

– Jaką chcesz mieć grupę krwi?

* * *

Paragon stał na peronie podziemnego dworca Warszawa Centralna i popijał kawę z papierowego kubka. Jakiś czas temu – bliżej niesprecyzowany, ale z pewnością dłuższy niż kwadrans – niewyraźny kobiecy głos zapowiedział przez głośniki, że pociąg, na który Paragon czekał, jest opóźniony o piętnaście minut. Od tamtej pory ani słowa.

Było naprawdę wcześnie, więc ludzi na peronie stała ledwie garstka. Część, jak Paragon, czekała na kogoś, inni – zaspani, ziewający, o oczach wąskich jak szparki – wyglądali uważnie światełka w tunelu zwiastującego teelkę do Białegostoku. Zgodnie z komunikatem powinna była wjechać na peron obok już dwie minuty temu.

Między oczekującymi na podróżnych i przyszłymi pasażerami niestrudzenie krążyli bezdomni. Śmierdzieli słodko, bardziej wymiocinami niż gównem, a do tego tak mocno, że miedziaki od pasażerów sypały się, jakby kloszardzi właśnie dawali uliczny koncert życia. Nie musieli nawet prosić, kłamać, szefuńciować i kierownikować. Smród i wyciągnięta ręka załatwiały sprawę.

Paragon przyglądał się temu teatrzykowi ze znikomym zainteresowaniem. Za dawnych lat, gdy jeszcze jeździł, zdarzało mu się mieć styczność z dużo gorszym smrodem i dużo bardziej odrażającymi typami niż banda zarzyganych żebraków. I choć od tamtej pory minęło wiele lat, skórzaną kurtkę zastąpił garnitur Hickey Freeman, a z twarzy

zniknął szorstki zarost i źle zrośnięte blizny, pewne rzeczy zostawały w człowieku już na zawsze. Smrody przeszłości...

– Pierdy mroku – mruknął pod nosem i uśmiechnął się do tej myśli.

Jeden z bezdomnych źle odczytał ten grymas i dostrzegł szansę na zarobek. Ruszył ku Paragonowi z wyciągniętą ręką. Zatrzymał się dopiero dwa kroki przed byłym motocyklistą i zadarł głowę do góry, by spojrzeć mu w oczy. Śmierdząca aura, jaką roztaczał, była niemal widoczna, niemal namacalna – zielono-żółta, gęsta i lepka.

Przez chwilę stali tak obaj, blisko dwumetrowy facet w garniturze za kilka tysięcy i wychudły, zgarbiony żebrak o twarzy jak pniak porośnięty mchem, w starym znoszonym dresie i damskich kozakach; między nimi niczym na parodii fresku Michała Anioła wyciąg-
nięta ręka starca.

W końcu Paragon opuścił głowę, przyjrzał się dłoni i spojrzał prosto w oczy żebraka.

– Połamać? – zapytał grzecznie.

Żebrak pokręcił głową i opuścił rękę. Zdążył odejść dwa kroki, gdy z głośników rozległ się żeński głos zapowiadający wreszcie wjazd pociągu Dzwoneczka.

* * *

Nic się nie zmieniła. Nawet ubrana była tak samo jak w dniu pożegnania – skórzane spodnie, takaż kurtka; ruda grzywka wciąż opadała na oko. Gdy go zobaczyła, najpierw udała zdziwienie, a zaraz potem rozpromieniona rozłożyła ręce. Podbiegł do niej i wziął ją w ramiona, następnie okręcił parę razy wokoło. Odchyliła głowę i zaśmiała się perliście, a gdy się zatrzymał, przysunęła się, by pocałować go w policzek i czoło.

– Dzień dobry, kochany – szepnęła.

– Cześć, mam... to znaczy Dzwoneczku.

Paragon postawił wróżkę na peronie i cofnął się o krok odrobinę zmieszany własnym przejęzyczeniem. Dzwoneczek jednak tylko wzruszyła ramionami.

– Nie musisz się poprawiać, głuptasie – stwierdziła. – Mamy się nie wyprzesz. I nawet gdy już dorośniesz, zawsze będziesz...

– ... twoim chłopcem – wyszeptał Paragon.

Na jego gładko ogolonej, kanciastej twarzy na moment rzeczywiście pojawiła się dziecięca radość. Błysnęła w oczach, wysunęła koniuszek języka z lekko rozchylonych ust, ugniotła dołeczki w policzkach. A potem zniknęła wraz z nerwowym chrząknięciem.

Paragon rozejrzał się po peronie.

– Nie masz ze sobą żadnego bagażu? – zapytał.

Dzwoneczek pokręciła głową i sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła z niej gruby plik stuzłotowych banknotów.

– Pomyślałam, że kupię coś na miejscu – odparła. – I że pomożesz mi coś wybrać, skoro... no wiesz.

Wskazała ręką na jego garnitur.

– Chcesz powiedzieć: skoro stałem się odpowiedzialnym, eleganckim biznesmenem?

Roześmiała się.

– Właśnie to miałam na myśli, maleńki. Właśnie to. Idziemy?

– Oczywiście.

Paragon wskazał jej ruchome schody znajdujące się kilkanaście metrów za nią. Gdy się odwróciła, patrzył na nią przez chwilę, a następnie ruszył jej śladem. Kątem oka dostrzegł jeszcze dwóch strażników ochrony kolei pomagających wyjść z pociągu kilku mocno poturbowanym mężczyznom.

– Bangarang – szepnął, kręcąc głową z rozbawieniem. A potem wstąpił na schody, które powiozły go na górę.

* * *

Zbudził go ryk silnika. Jeszcze zanim wstał, przejechał ręką po odrętwiałej twarzy i sięgnął po stojącą obok łóżka butelkę wody. Wylał połowę zawartości na głowę i łóżko, resztę wypił. Dopiero wtedy opuścił nogi na podłogę i przez chwilę siedział tępo wpatrzony w tyłek laski z plakatu. Wziął go z któregoś z pustych pokoi, bo wydawało mu się, że dziewczyna się rusza, ale najwyraźniej było to tylko złudzenie, bo odkąd ją tu powiesił, ani drgnęła. W ogóle wyglądała na smutną. Może nie lubiła albinosów?

Silnik ryknął jeszcze raz i drugi, głośniej i jakby ponaglająco, po czym ucichł zastąpiony rubasznym śmiechem Kędziora. Stalówka w tym momencie wiedział już, że nie musi się śpieszyć, bo Olaf i Studjent – a to musieli być oni, rozpoznał po dźwiękach wiecznie źle wyregulowanych maszyn – gdy im już zapewnić towarzystwo kudłatego olbrzyma, nie potrzebowali nikogo więcej. Mimo to wstał, klepnął w tyłek dziewczynę z plakatu i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak w pół kroku, trafiony nagłą myślą. Tych pokoi było tyle, rotacja tak wielka, że i bez łez łatwo było zapomnieć, kto gdzie spał. Ale czasami ktoś jednak zakołacze w pamięci. Ktoś wyjątkowy...

– Należałaś do Pita, prawda? – zapytał dziewczynę.

Nie odpowiedziała.

* * *

Zanim zszedł na dół, na podwórze zajechało formacją kilkadziesiąt kolejnych motocykli. Różnych, choć przeważnie ciężkich, wielkich, czarnych maszyn obładowanych sakwami i kuframi z wizerunkiem rozbitego zegara. Baranie rogi kierownic, lśniące chromem żebra silników i trąby wydechów, nabrzmiałe, błyszczące w słońcu baki, a wszędzie ponad

tym małpie ryki i wrzaski. Dzwoneczek żartowała kiedyś, że każdy Zjazd to jak zamienianie lunaparku w ZOO. I teraz, patrząc na tych wszystkich gości w skórach, których najpierw zwał Dzieciakami, a potem zamiennie braćmi lub tymi zjebanymi palantami skądśtam, Stalówka nie mógł się z nią nie zgodzić. Jebane ZOO tuż przed porą karmienia... Ale diabła tam, naprawdę mu to pasowało!

Dlatego w odpowiedzi na wesołe okrzyki uśmiechnął się nawet pod nosem i zszedł po schodkach, by się przywitać ze wszystkimi. Z drugiej części placu dobiegły go głosy Bliźniaków kończących za siebie zdania, wulgarne porykiwanie Kędziora, gdzieś w polu widzenia mignął mu Milczek chwalący się zdobytym nożem. W pobliżu natomiast twarze, których albinos nie widział od zeszłego Zjazdu. Ludzie, za którymi zdążył się stęsknić.

– Cześć, Kaprys! – zawołał. – Co ci się stało w nos?

– No... nie mam. – Chudy facet z bandaną w zwiędłe kwiaty wyszczerzył żółte zęby, a słońce błysnęło refleksem na szynie zamocowanej w miejscu nosa. – Pies mi ujebał.

– Poszło o taką jedną sukę – wyjaśnił stojący obok przedwcześnie łysiejący okularnik, do którego lata temu przylgnęła w pełni zasłużona ksywa Karambol. – Jak zawsze zresztą, nie, Kaprys?

Chudzielec wystawił wskazujący palec, na co Karambol kłapnął zębami, warknął, a potem obydwaj wybuchnęli śmiechem. Stalówka śmiał się razem z nimi, a jednocześnie witał się z kolejnymi przybyłymi braćmi. Zauważył z lekkim zdumieniem, że choć część z nich miała, na podobieństwo pierwszych Chłopców, naszywki bezpośrednio na kurtkach, to niektórzy przeszyli wszystko na kamizelki wzorem innych klubów.

– Wiesz jak jest, Stalówka. To wszystko z niechęci do pierdolonej przemocy – wyjaśnił mu Mikołaj.

Nazywano go tak ze względu na tuszę i gęstą brodę niemal po sam pas. On właśnie miał na plecach kamizelkę, a na niej, pod naszywką ze słowami

„Zagubieni Chłopcy” i zegarem napis „Jebany Biegun”, choć tak naprawdę stacjonował w Zgierzu i do niedawna detalicznie zaopatrywał w proszek kierowców jadących w Europę.

– Za pierwszym czy drugim razem – tłumaczył teraz, przekrzykując zgiełk – fajnie jest skuć komuś ryja, gdy nazywa cię debilem, bo „tak się, kurwa, nie nosi patchów”. Ale potem myślisz, że może nie ma co się upierać i napierdalać z każdym o to samo. To jak z jebaniem, czasem trzeba różnorodności, nie?

Stalówka potrząsnął głową i poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Po prostu się starzejesz, bracie – stwierdził. – Kryzys wieku średniego zmiękczył ci rurę.

Mikołaj otworzył usta, by odpowiedzieć, ale jego słowa rozpłynęły się w kolejnym dochodzącym z oddali ryku silników.

Tak wyją i charczą tylko dniepry, pomyślał Stalówka, wsłuchując się uważnie. Nadjeżdża Kościej.

I rzeczywiście, chwilę później na szerokiej alejce pojawiła się kolumna starych ukraińskich turystyków w sile trzydziestu maszyn. Motocykle różniły się od siebie nieznacznie, wszystkie jednak były ciemnoszare, opylone i każdy miał kozacką szablę zamocowaną do prymitywnych, skórzanych sakw. Grupie przewodził śniady, umięśniony chłopak, na oko dwudziestoparoletni, przystojny jak wschodząca gwiazda filmowa albo wschodni tancerz erotyczny. Jechał bez kasku, tylko w przyciemnianych okularach, ze skórą narzuconą na goły grzbiet. Sprawiał wrażenie bardzo skupionego na jeździe, zupełnie jakby robił to po raz pierwszy i miał tremę.

Stalówka wiedział jednak, że to pozory. Lata temu wyciągnęli go jeszcze jako czternastolatka z zakładu poprawczego, gdzie trafił za zabicie faceta w obronie swej matki. Okazało się później, że zrobił to niesłusznie, bo mamusia ssała panu całkiem chętnie i dawała się szarpać za godziwą stawkę, ale gdy masz trzynaście lat i nóż w ręce, nieszczególnie chcesz słuchać od świata wyjaśnień. Zwłaszcza gdy wcześniej od tej samej matki

tyle razy słyszałeś, że twój ojciec był czystej krwi Kozakiem i, jak przystało na stepowego twardziela, pojechał do Afganistanu, żeby zabijać kogoś w obronie przed kimś innym.

Kościej, choć na wojnę mu się nie śpieszyło, też postanowił zostać Kozakiem, stąd szabla i zamiłowanie do ekstremalnie niebezpiecznych akrobacji na motocyklu, który zastąpił mu historycznego rumaka. W krótkim czasie stał się tak dobry, że nawet Bliźniacy chylili przed nim czoła. Oczywiście tylko w głębi ducha, bo głośno nazywali go pierdolonym kacapem, ale wciąż...

W tej sytuacji dość oczywiste było dla wszystkich, że gdy tylko dostał naszywki, gdy nadszedł jego czas, Kościej zabrał paru kumpli i ruszył na ukraińskie stepy, by żyć chłopięcą wolnością po swojemu. On i jego Kozacy jako jedyni nigdy nie handlowali proszkiem ani też, już na swoim, nie korzystali ze Skrótu. Kontakt także utrzymywali sporadycznie i jedynie listowny – Kościej pisał raz w miesiącu list do Milczka, którego przez cztery lata w Drugiej Nibylandii traktował jak starszego brata. No i oczywiście zawsze w komplecie zjawiali się na Zjazdach.

Tłum rozstąpił się przed nowo przybyłymi, a ci sprawnie rozdzielili się na dwie strony, zajmując wolne miejsca w cieniu pod drzewami. Tylko sam Kościej ruszył swym dnieprem dalej między ludzi z wyciągniętą ręką, jakby wszystkich pozdrawiał. Niektórzy odpowiadali skinieniem, inni wykrzykiwali sprośne żarty o ruchaniu koni na stepach, ale wszyscy wiedzieli, że Kościej nie zareaguje. Nie do czasu, aż przywita się z bratem.

Milczek, widząc to, schował nóż, również wzniósł rękę i czekał, a gdy Kościej zbliżył się wystarczająco, uderzył dłonią w jego dłoń i sprawnie skoczył na siod-
ło za Kozakiem. Silnik zaryczał mocniej i motocykl wyrwał do przodu, jednocześnie wznosząc się ku niebu. I już, już miał się wzbić ponad linię głów, gdy nagle z tłumu wyskoczył Kruszyna, uwiesił się na maszynie i brutalnie ściągnął ją na dół.

Z tłumu wyłonił się Stalówka.

– Nowe zasady, Kościej, obowiązują wszystkich bez wyjątku. Żadnego proszku – powiedział obojętnym głosem, jednocześnie wyciągając z tylnej kieszeni spodni wymiętoloną paczkę papierosów. – Widzę, że Milczek nie potrafi być komunikatywny, nawet gdy pisze.

Parę osób w tłumie zarechotało na te słowa, ale większy entuzjazm wywołał Milczek. Stanął nagle na siodełku, opuścił spodnie i pokazywał na przemian to swoją dupę, to łysą głowę Stalówki, co rozbawiło nawet albinosa.

– Musiałyby ci jeszcze jaja posiwieć – stwierdził. – To jak, Kościej, przywieźliście nam znowu coś dobrego? Wiesz przecież, że bez waszego bimbru w zasadzie nie ma tego Zjazdu.

Kozak zsunął się z motocykla, zdjął okulary i zawiesił je na kieszonce kurtki.

– Trzy lata i jeszcze się nie nauczyłeś, Stalówka. Na Ukrainie nie ma dobrych. Tylko najlepsze – odpowiedział z bardzo wyraźnym wschodnim akcentem. Głos miał równie chłopięcy i nieprzystający do legendy jak twarz. – I nieważne, o co pytasz, bo tak jest ze wszystkim.

Ktoś stuknął Stalówkę w ramię, a potem podano mu skórzany bukłak. Albinos upił solidny łyk i otarł usta rękawem. Przez chwilę mielił gębą, jakby coś żuł, a wszyscy wokoło przyglądali mu się uważnie. Słychać było tylko cykanie stygnących silników, nerwowe dzwonienie pierścienia Kaprysa o stelaż na nosie i Kędziora, który nieco dalej teatralnym szeptem informował kogoś, że to zabawne, że pyta o karetkę, bo wpadł wczoraj na taki w kurwę zajebisty pomysł gry i teraz...

Stalówka jeszcze raz podniósł bukłak i skosztował zawartości, a następnie, odsunąwszy go od ust, zadarł głowę do góry i zapiał najgłośniej, jak tylko potrafił.

Gdy zrobił to po raz drugi, piał z nim już cały dziedziniec.

Zjazd właśnie się rozpoczął.

* * *

Zakupy zajęły im około godziny, bo choć Dzwoneczek miała jasno sprecyzowane oczekiwania, galeriowe butiki bardzo się starały wszystko utrudnić za pomocą aktualnej mody. Wreszcie jednak udało im się znaleźć i odpowiednie spódnice, sukienkę, kilka bluzek i żakiet, a także – dzięki tajemnej wiedzy i znajomościom Paragona – odpowiednie buty. Te umiejętności niegdysiejszego towarzysza przygód szczególnie zaciekawiły Dzwoneczek.

– Często cię tak wyciąga, znaczy na zakupy? – zapytała, gdy siedzieli już w niewielkiej, sieciowej kawiarni, dopełniając rytuał zakupowy podwójnym espresso i orzechową latte.

– Kto taki? – Paragon upił łyk kawy. – Monika?

– Nie wiem, jak się nazywa, nie przedstawiłeś mi jej, pamiętasz? – odparła Dzwoneczek.

– Było na ślubnych zaproszeniach i gdyby...

– Byliśmy zajęci, Paragon!

– No tak.

Westchnął i upił kolejny łyk z pachnącego kawą i orzechami kubka, rozglądając się po lokalu.

Na wprost niego jakaś kobieta poprosiła przy barze o kawę na wynos i zapytano ją o imię, by zapisać je na kubku. Wyraźnie nie mogła się zdecydować, bo podała trzy różne, jedno po drugim.

W boksie obok jakaś para studentów całowała się nad kawą i notatkami, a przy samym wejściu samotny, starszy mężczyzna atakował widelczykiem trójkącik sernika. Robił to doprawdy spektakularnie. Za każdym razem wznosił ku górze srebrny sztuciec, a potem pikował ręką, jakby dłoń była sokołem na polowaniu, a zęby widelca jego ostrymi szponami. Staruszek

uśmiechał się przy tym tryumfalnie i ogólnie zachowywał się tak, jakby próbował zaimponować kapeluszowi leżącemu przed nim na blacie stolika.

Paragon potrząsnął głową rozbawiony.

– Co u chłopaków? – zapytał w końcu, przekłuwając nabrzmiewający pęcherz niezręcznej ciszy. – Milczek dalej skamla o nóż?

– Nie, już ma – odparła Dzwoneczek. – Myślisz, że mogę sobie zamówić ciastko?

– Czemu miałabyś nie móc?

– Nie wiem w sumie. – Dzwoneczek wstała i wyciągnęła z kieszeni stuzłotowy banknot. – Biorę szarlotkę, chcesz coś?

Paragon pokręcił głową.

– Monika obiecała dzisiaj upiec.

– Kto?

Dzwoneczek zatrzepotała rzęsami i zrobiła minę niewiniątka, przez moment wyglądając tak słodko i niewinne, a przy tym jednocześnie pięknie i seksownie, że Paragon poczuł się nieswojo. Natychmiast spróbował to ukryć za szerokim uśmiechem.

– Idź już po to ciastko – powiedział, odchylając się do tyłu na kanapie i zakładając nogę na nogę. – A potem opowiadaj, skąd Milczek ma nóż.

– Jasne, już.

Gdy jednak wróciła z szarlotką i usiadła, cała opowieść sprowadziła się do: Bliźniacy to idioci, a Milczek leciał przez skrót na enduro. Z pewnością nie mogła się ona równać z bajkami, które wróżka czytała Paragonowi, gdy ledwo co trafił do Drugiej Nibylandii. Wtedy myślał, że to głupie, dziś najchętniej kopnąłby tamtego siebie w dupę.

Weź się w garść, stary, pomyślał nagle. Zaczynasz się rozklejać, a przecież masz cudowne życie, rodzinę, pracę... Nie pozwól, żeby jedna jej wizyta...

Szybko dopił kawę i wstał od stołu.

– Idę się odlać, dobra? – powiedział. – Zaczekam przed głównym wejściem, to weźmiemy taksówkę do mnie.

Dzwoneczek miała akurat pełne usta, więc tylko pokiwała głową.

* * *

Około południa przyjechały dziewczyny. Kędzior siedział akurat na bramie i rzucał kamieniami w przejeżdżające samochody. Był niepocieszony, bo gra, którą wymyślił, nie spodobała się nawet Studjentowi, który był olbrzymowi zawsze najbliższą duszą ze wszystkich niegdysiejszych Dzieciaków. Teraz jednak jak idiota upierał się, żeby zamienić kuszę na łuk i tym samym, oczywiście, spierdolić całą zabawę. No bo jak, kurwa, krwiball z łukiem?!

Ale Studjent już tak miał, że gdzie tylko mógł, pakował Indian. Zaczęło się, kiedy po raz pierwszy usłyszał o Tygrysiej Lilii, córce wodza Indian, jeszcze z piotrusiowych czasów, a potem dostał na urodziny od Bliźniaków jakiś jej portret i kazał go sobie wytatuować na brzuchu. Kędzior drwił wtedy, że to po to, żeby móc sobie bez krępacji walić, stojąc nago przed lustrem, ale to szybko przestało być śmieszne. Okazało się bowiem – a dokładniej Dzwoneczek odkryła przypadkiem – że to szczera prawda.

Samochody z dziewczynami, czarne busy turystyczne z przyciemnianymi szybami, wyróżniały się na tle innych w tej okolicy i pewnie tylko dlatego żaden z nich nie zarobił od Kędziora kamieniem. Przeciwnie, gdy tylko zjechały z drogi na żwirowy dojazd do bramy, olbrzym zszedł na dół i otworzył oba skrzydła na oścież. A potem pomachał siedzącym w środku, stłoczonym, ale rozentuzjazmowanym dziewczynom. Z tego co wiedział, tylko kilka z nich było profesjonalistkami, resztę stanowiły barowe przygody Milczka i Bliźniaków oraz, rzecz jasna, ich koleżanki zaintrygowane opowieściami.

Okno pierwszego z samochodów uchyliło się nieco.

– Którędy? – zapytał kierowca.

– Główną alejką w lewo – Kędzior wskazał ręką – a potem cały czas prosto do budynków socjalnych. Chociaż w sumie tam nie ma jak zawrócić, to może dziewczyny wysiądą już tutaj, a wy się nie będziecie cisnąć i kręcić?

Kierowca przejechał językiem po zębach i po chwili machnął ręką.

– Jeden chuj w sumie, mogą wysiadać – stwierdził. – No, laski, wypad!

Wnętrze busa zachichotało, po chwili odsunęły się drzwi i kilka pierwszych dziewcząt ubranych w przykrótkie spódniczki i bluzki z dużymi dekoltami wysypało się na żwirowy podjazd. Ostatnia zatoczyła się, chichocząc, i wpadła prosto na Kędziora, mało nie smarując go trzymaną w dłoni szminką.

To podsunęło olbrzymowi pewien pomysł. Uśmiechnął się, poczekał, aż pozostałe dziewczyny wysiądą z pojazdów, a busy odjadą, po czym swym tubalnym głosem powiedział:

– Wiecie co, mam taki pomysł, ale on wymaga, żebyście wszystkie zdjęły teraz bluzki. Da się zrobić?

Dało się. Dziewczyny wiedziały, czy to z autopsji, czy z opowieści, że w tym lunaparku to wchodziło w cenę biletu.

* * *

Na placu zrobiło się luźniej. Część uczestników Zjazdu przeniosła się do budynku na obiad, spora grupa poszła nad jezioro, żeby spłukać z siebie pył podróży. Ci, którzy zostali, wciąż raczyli się z kozackich bukłaków i rozmawiali o pierdołach.

Stalówka powiódł wzrokiem po motocyklach. Było ich sporo. W większości grzebał, ale zauważył też zarówno nowe, jak i przerobione tak,

że w pierwszej chwili ich nie poznał. To akurat się chwaliło, dawne Dzieciaki budowały swój styl.

Przyglądał się właśnie staremu turystycznemu BMW Trotyla – jedynego członka Klubu, który w momencie dołączenia jako Dzieciak był starszy niż pierwsi Chłopcy – gdy zawołał go Pierwszy siedzący na wieży karuzeli z samolotami. Chwilę wcześniej Bliźniacy dostali za zadanie jeszcze raz sprawdzić, czy wszystko jest gotowe na tegoroczny tor przeszkód i czy Kędzior jako mistrz ceremonii nie zmienił czegoś na ostatnią chwilę w duchu swoich najnowszych genialnych koncepcji.

Teraz właśnie Pierwszy krzyczał do Stalówki, a potem wskazał mu na główną alejkę, której środkiem szedł nie kto inny, jak rudy olbrzym w obecności gromady rozchichotanych, na wpół rozebranych lasek. Większość z nich miała jednak na ciele coś, co z daleka wyglądało jak krew.

Stalówka splunął na ziemię.

– Co jest, kurwa? – mruknął.

Już miał pobiec w tamtą stronę, by osobiście utłuc tego rudego durnia, gdy nagle zdał sobie sprawę, że czerwone ślady to napisy robione szminką. Różne, ale identyczne w wymowie. Ten, który najłatwiej było odczytać, brzmiał:

KRWIBALL
KTO NIE MA SPORTU DUCHA,
TEN DZISIAJ NIE PORUCHA!

– Ciekawe, jak będziesz to egzekwował, debilu – mruknął Stalówka, sięgając po fajki. – Zwłaszcza jak już pokazały cycki.

W sumie jednak znał odpowiedź na to pytanie. Solidna rozróba zdarzała się na Zjazdach tak często, że właściwie stała się już wyczekiwaną atrakcją.

Nagłym głośnym bulgotem żołądek albinosa przerwał te rozważania i sprawił, że Stalówka, machnąwszy ręką na Kędziora i jego marketing, ruszył w stronę wejścia do budynku.

* * *

– Miło mi cię wreszcie poznać – powiedziała Monika, żona Paragona, wyciągając rękę na powitanie. – Tyle o tobie słyszałam.

Dzwoneczek przekroczyła próg, uścisnęła wysuniętą w jej stronę dłoń i dołożyła od siebie uprzejmy uśmiech.

– A ja o tobie – odparła. – Wygląda na to, że Paragon nic innego nie robi, tylko opowiada o dziewczynach innym dziewczynom. Na twoim miejscu uważałabym na to.

Gospodyni roześmiała się, cofając się o krok, by ustąpić miejsca, i gestem zaprosiła w głąb mieszkania.

– Wejdź, proszę, i rozgość się. Twój pokój to ten pierwszy po lewej, drugie drzwi po prawej to salon i tam masz telewizor, jeśli...

– Nie oglądam telewizji.

– Aha. – Monika na moment uniosła brwi w niemym zdziwieniu, jednak zaraz znowu błysnęła bielą idealnie równych zębów. – Tak czy owak rozgość się, a pana – spojrzała na Paragona – zapraszam do kuchni i pomocy przy obiedzie. Purée się samo nie ugniecie, prawda?

Powiedziała to z humorem, ale też pewnie i stanowczo. Dzwoneczek miała swoje podejrzenia, skąd brała się jej pewność. Drobniutka, nieśmiało uśmiechnięta, wielkie brązowe oczy i burza kasztanowych świderków na głowie – wyglądała jak ktoś, kim powinien się zaopiekować naprawdę duży mężczyzna.

Zaopiekować, kontynuowała swą myśl wróżka, rozglądając się przy tym mało dyskretnie, i zapewnić jej właśnie takie ciepłe, choć przestronne schronienie pełne skórzanych kanap i poduch, prostych, acz eleganckich mebli i abstrakcyjnych obrazów przemieszanych z czarno-białymi zdjęciami gwiazd filmowych. Tak, to miejsce, gdzie takie jak ona, śliczne, niegłupie dziewczyny, urocze, troszkę zadziorne, z duszą artystyczną jak ponaciągany sweter, czują się najlepiej. I najbezpieczniej. Do tego stopnia, że próbują nawet rządzić chłopcami.

Nagle poczuła, że nie chce tego widzieć, że nie chce patrzeć na potulnego Paragona manifestującego swoją męskość delikatnym klepnięciem żony w pośladek, ale poza tym posłusznego i ułożonego jak te szklane ludziki na półce nad plazmą. W jakiś sposób wydawało jej się to niewłaściwe.

– Nie będziecie mieli nic przeciwko, jeśli skorzystam z łazienki? – zapytała. – Muszę się odświeżyć po podróży.

– Oczywiście, kochana. Ręcznik masz na pralce.

Monika przeszła przez przedpokój i otworzyła drzwi kryjące za sobą wykafelkowane na turkusowo wnętrze, gdzie za winklem czaiła się przestronna kabina prysznicowa. – Korzystaj, z czego potrzebujesz, i w ogóle czuj się jak u siebie.

Bardzo bym chciała, złotko, pomyślała Dzwoneczek. Problem w tym, że u mnie nie byłoby miejsca dla ciebie.

Głośno jednak tylko podziękowała. Już w łazience szybko zrzuciła z siebie rzeczy i weszła do kabiny. Na oślep wybrała program na skomplikowanej machinie pełnej światełek, przycisków i niewielkich otworów, z których, przy właściwym ustawieniu, pewnie leciała woda. Tak, Paragon zawsze lubił gadżety i mogła się spodziewać po nim właśnie czegoś takiego. Nagle przypomniało się jej, że nazwali go tak, ponieważ zawsze kradł swoje elektroniczne zabawki tylko od kupujących, nigdy ze

sklepu. Chodziło mu właśnie o paragon, żeby w razie czego móc oddać sprzedawcy wadliwy towar.

– Ciekawe, czy na to życie też masz paragon, dzieciaku – szepnęła wróżka, po czym odkręciła wodę i pozwoliła, by ciepły strumień zmył z niej trudy podróży i gorycz porzuconej matki.

* * *

Obiad był elegancki jak mieszkanie. Podany na czarno-białej, kwadratowej zastawie, równie estetyczny co apetyczny. Kotlety cordon bleu w sezamowej panierce ozdobione rukolą i nitkami polewy czekoladowej, purée ze szczyptą drobno posiekanej pietruszki, wiosennie kolorowa sałatka śródziemnomorska, a w wysokich szklankach aromatyczny cydr gruszkowy. I choć Dzwoneczek wolałaby zimne piwo i coś na szybko z papierowej tacki na kanapie, nawet ona miała świadomość, że nie za bardzo pasowałoby to ani do tego miejsca, ani do jej nowego stroju. Swoją drogą właśnie coraz bardziej dochodziła do wniosku, że dzisiejsza elegancja to zdzira, która wpija się w dupę i nic tylko swędzi.

Zaraz, pomyślała. Jak ja chwilę temu określiłam to mieszkanie i obiad? Czyżby właśnie „eleganckie”? Parsk-
nęła cicho i zaraz przysunęła do ust zaciśniętą pięść w geście, który dawno temu podłapała od jednej z tysięcy Wendy, które Piotruś sprowadzał do ich domu.

– Coś się stało? – zapytała Monika z troską, a gdy Dzwoneczek pokręciła głową, że nie, wskazała widelcem na zwiewną, białą bluzeczkę wróżki. – Ładna, gdzie kupiłaś?

– Pytaj Paragona, on był babą na tych zakupach.

Dzwoneczek odchrząknęła raz jeszcze, po czym sięg-
nęła po widelec, obróciła nim kilka razy w palcach i wbiła w kotlet.

Spojrzała na niegdysiejszego Chłopca.

– Pamiętasz jeszcze?

Ten wzruszył ramionami, uśmiechnął się do żony, po czym również zakręcił trzymanym w ręku nożem, podrzucił go i szybko złapał za talerz. Podsunął go pod opadający nóż akurat, by ostrze wbiło się w mięso.

– Bangarang! – zawołał.

Dzwoneczek zaklaskała wesoło i kątem oka zerknęła w stronę Moniki. Spodziewała się ujrzeć złość, sprzeciw wobec bezczeszczenia elegancji i akuratności, ustalonego ładu i porządku. Ale zamiast tego ujrzała roześmianą dziewczynę wtórującą jej w oklaskach.

No, kochana, przemknęło jej przez głowę. Albo jesteś taka dobra, albo... po prostu dobra. Tak czy owak...

– Twoje zdrowie, Moniko. – Podniosła szklankę z cydrem. – Za was.

– I za twoje plany, Dzwoneczku. – Monika również wzniosła szklankę. – Wiem, jakie bywają banki przy tych przeklętych wnioskach kredytowych, nam też odrzucili podanie o mieszkaniowy, ale pomysł odnowienia lunaparku to świetna idea i z całego serca życzę wam powodzenia.

– Dziękuję, jesteś bardzo miła. – Dzwoneczek zmrużyła oczy, próbując rozgryźć, czy rzeczywiście, czy też była to zawoalowana złośliwość. Dziewczyna właśnie zapunktowała, ale to przecież nie zmieniało całej sytuacji. – A co do odrzucenia, to mamy je już za sobą. Teraz przyjechałam, by sprawę załatwić.

– No i wiem już, po kim Bartek ma ten entuzjazm. – Uśmiech nawet na moment nie znikał z twarzy Mo-
niki. – Tak trzymaj!

– Bartek?

– No, ekhem... Paragon – poprawiła się gospodyni. – Tyle że tutaj nikt tak na niego nie mówi.

Nic dziwnego, pomyślała Dzwoneczek. Tam już też prawie nikt. Ponownie uniosła szklankę.

– Za Bartka zatem. I za sprawy już załatwione, choć jeszcze w toku.

Trzy szklanki zderzyły się nad eleganckim stołem.

* * *

Kędzior miał wszelkie powody do zadowolenia. Pierwsze rozgrywki krwiballu zakończyły się sukcesem przy zaledwie dwóch rannych. Co prawda wyobrażał je sobie mniej statycznie, a nie tak, że obie drużyny staną naprzeciwko siebie i zaczną strzelać do tych przed nimi, ale ktoś, chyba Piniądz spod Kłodzka, wytłumaczył, że to taka „modyfikacja napoleońska". Uznał więc, że na pierwszy raz wystarczy, i spędził ponad godzinę na szukaniu Bliźniaków, żeby im powiedzieć, że „jednak się, kurwa, da, bo nie każdy jest takim jebanym tchórzem". Użytego argumentu – cycatej dźwigni handlu – ujawniać, rzecz jasna, nie zamierzał, bo po co to komu. Metoda jak metoda – grunt, że skuteczna i że zdobył swoich ochotników.

Teraz, załatwiwszy wreszcie tę palącą sprawę, wrócił do domu, a stamtąd, uciekając przed zgiełkiem i ściskiem, wyszedł na taras na pierwszym piętrze. Stali tam już Mikołaj z Milczkiem i jeszcze jednym chudzielcem, którego Kędzior ledwie pamiętał. Szczeniak o twarzy zrytej trądzikiem miał jednak na plecach zegar, a to znaczyło, że już się kiedyś spotkali i razem pili. Kędzior pił ze wszystkimi patchowanymi członkami klubu, najprawdopodobniej jako jedyny.

– Co tam, chłopaki? – zapytał teraz. – Co się tak szlajacie po balkonach, jak na dole impreza?

Rozłożył ręce, obejmując nimi lunapark. Mimo wczesnej pory i jasnego nieba aż po krawędź lasu wszędzie paliły się ogniska, rozbłyskiwały światła lamp i migały rozedrgane sylwetki motocyklistów i towarzyszących im dziewczyn.

– Spokojnie, ledwie ogarnęliśmy tor przeszkód – powiedział ten z trądzikiem.

Wskazał głową ognisko u wlotu do tunelu strachów. Kędzior przyjrzał się dokładniej i zauważył płonącego babla. A nawet kilka.

– Wypadek – wyjaśnił Mikołaj. – Spierdoliłeś malowanie strzałek.

Kędzior podrapał się po brodzie. Nie wyglądał na specjalnie zakłopotanego.

– Bywa. Kto wygrał?

– Nikt. Spierdoliłeś malowanie strzałek.

– Aaa, to zajebiście. – Kędzior podszedł do barierki i złapał ją oburącz. – Chciałem wziąć udział w tym wyścigu, ale nie miałem czasu ze względu na krwiball. Ale skoro wyścig jeszcze nierozstrzygnięty...

Przeskoczył przez barierkę, opadł na ziemię, przeturlał się, przewracając przy okazji kilka motocykli. Następnie podniósł się i pobiegł przez parking, krzycząc:

– Bangakurwarang!

Stojący na balkonie Chłopcy przez chwilę patrzyli na niego.

– On to może wygrać? – zapytał ten z trądzikiem.

Milczek wzruszył ramionami i zamigał coś w odpowiedzi.

– No jak to „co mu broni”? On jest organizatorem.

Milczek znowu pomachał rękami, doprowadzając Mikołaja do głośnego ataku śmiechu.

– Kurwa, Milczek, trudno temu zaprzeczyć – stwierdził brodacz. – A to dobre!

Trądzik strzyknął śliną.

– Chyba tym razem nie zrozumiałem. Miga za szybko.

– Milczek powiedział, że skoro Kędzior jest organizatorem, to musi znać zasady. A skoro je zna i stwierdza, że może wziąć udział...

– Ok, łapię. – Trądzik poklepał się po kieszeniach. – Ty, a tak swoją drogą, czy góra się już zebrała? Bo tam Kościej dyma jakąś laskę – wskazał

palcem. – Tam widzę Staccato, no i wy tu przecież jesteście... Podobno były jakieś ważne sprawy do obgadania w związku z przyszłością. Czekacie, aż się wszyscy najebią czy jak?

Milczek z Mikołajem wymienili spojrzenia, a zaraz potem brodacz złapał Trądzika za pasek od spodni i przerzucił przez barierkę. Ten przetoczył się po ziemi i błyskawicznie podniósł, łapiąc za obolałe ramię.

– Ej, za co, kurwa?! – ryknął, zadzierając głowę.

– Za wtrącanie się w sprawy starszych – odparł stojący przy drzwiach Stalówka. – Gdyby chodziło o coś poważniejszego, poleciałbyś na główkę. O co ich pytałeś?

Trądzik machnął zdrową ręką.

– Teraz to już o nic, ale ciekawiło mnie, czemu jeszcze nie zaczynacie.

– Bo nie ma wszystkich. – Albinos pstryknął niedopałkiem gdzieś w kąt. – Jak dołączą Castor i Pablo, będziemy zaczynać.

– OK. – Trądzik potarł obitą rękę. – Dzięki. Puścisz mnie do środka?

– Wracasz do nich?

– Tak.

Stalówka przesunął się na bok, ustępując Trądzikowi miejsca. Ten zniknął w głębi korytarza, ale po chwili wrócił biegiem.

– Jeszcze jedno – sapnął – bo w sumie nie wiem.

– No?

– Jak zrzucę Milczka z balkonu, to też będzie brak szacunku dla starszych?

Albinos zmierzył go wzrokiem od stóp po głowę i pokręcił głową.

– Nie, stary – odparł. – To będzie jebany cud. Poszukaj po drodze jakiegoś kasku, co?

Zszedł po stopniach, zanim Trądzik zdążył cokolwiek odpowiedzieć. I zanim zdążył spaść ponownie.

* * *

Spóźnialscy zjawili się około dwudziestej, ale choć ryk blisko setki maszyn słychać było na długo, nim pierwsze lśniące czernią i chromem motocykle pojawiły się w alejce, mało kto zwrócił na nich uwagę. Wielu spośród zjazdowiczów zdążyło się już upić w sztok i zalegało gdzieś po parkowych atrakcjach, inni, naćpani po czubek uszu, słuchali bajek opowiadanych przez Kruszynę, który w narkotycznych omamach jawił im się jako ubrany w skóry Budda. Największe zainteresowanie wzbudzał jednak szalony pomysł Bliźniaków, którzy zachęceni sportowo-pedagogicznym sukcesem Kędziora postanowili urządzić mecz piłki nożnej Chłopcy kontra dziewczyny. Dość szybko okazało się, że to rozrywka z kategorii „nawet bramkarz zaliczy gola”, a powszechna wola zawodników, by zachować choć pozory gry, oraz perspektywa częstych zmian na boisku zarządzanych przez trenerów obu drużyn – w tej roli wystąpili pomysłodawcy zabawy – trzymała wokół boiska prawdziwe tłumy. Co tu ukrywać, nawet Stalówka dał się skusić na strzelenie karniaka.

Gdy jednak ucichł jazgot silników nowo przybyłych, część Chłopców pospiesznie wyszła z tłumu kibiców, by przywitać się z Castorem, Pablem i resztą.

Na czele komitetu powitalnego szedł Stalówka, obok niego Kędzior i Milczek, a także Kościej, Kaprys ze Studjentem i przybyły z Włoch Staccato. Zeszli z trawy na wylany asfaltem parking i czekali, aż przyjezdni uporają się z kaskami.

– Długo kazaliście na siebie czekać – powiedział w końcu Kędzior, gdy Castor podszedł do nich, zdejmując rękawicę.

– Spróbuj kiedyś poprowadzić setkę maszyn po tych waszych drogach, to pogadamy – odparł zagadnięty.

Wyglądał trochę jak niemiecki sportowiec, a może aktor – wysoki, szczupły blondyn o niebieskich oczach i wydatnych kościach policzkowych. Mógłby uchodzić za prawdziwego przystojniaka, gdyby nie paskudna blizna po oparzeniu, która pokrywała mu połowę lewego policzka i podciągała w górę kącik ust, przez co Castor sprawiał wrażenie, jakby cały czas szyderczo się uśmiechał. Zupełnie nie pasowało to do jego charakteru, bo odkąd go znali – zjawił się już dobre dziesięć lat temu, a od sześciu przewodził Chłopcom w Niemczech – Castor nie uśmiechał się szyderczo ani w żaden inny sposób. Nigdy.

Towarzyszący mu Pablo, bardzo podobny z postury, zachowywał się często, jakby nie mógł się zdecydować, czy chce iść w ślady Castora, czy też uciec od niego raz na zawsze. To właśnie on zasłynął kiedyś akcją „Skrótem do Amsterdamu”, podczas której dwóch Chłopców i jeden Dzieciak zginęli, czy to z braku paliwa, czy doświadczenia. Castor uratował wtedy Pabla przed Stalówką i Dzwoneczkiem. Od tego momentu śniady, wysportowany, z urody trochę podobny do Bliźniaków motocyklista stał u boku przyjaciela wierny niczym pies skłonny warknąć, a nawet ugryźć, gdyby pan był zagrożony. Teraz też natychmiast włączył się do rozmowy:

– Wiesz, Kędzior, jak się uczciwie trzaska kilometry, to tak trochę schodzi. Nie wiesz, to nie mędrkuj.

Wielkie jak bochny ręce olbrzyma natychmiast zacisnęły się w pięści. Stojący obok Milczek wręcz przeciwnie, chrupnął karkiem, rozluźnił mięśnie, wysunął do przodu jedną nogę i zmrużył oczy. Widząc to kątem oka, Stalówka postąpił krok w bok, zastępując mu drogę.

– Mielibyśmy na to czas, gdybyście się nie spóźnili. Teraz powinniśmy ustalić parę rzeczy, zanim wszyscy się schlejemy. Czy mi się wydaje, czy przyjechaliście z Czechami?

– Nie wydaje ci się – odparł Castor i choć Stalówka wyraźnie nie wyglądał na usatysfakcjonowanego tą zdawkową odpowiedzią, ani myślał jej rozwinąć bez dodatkowego pytania.

Albinos w końcu je zadał:

– A gdzie są Krecik, Karol i Vaclav?

– Nie bardzo trzymacie rękę na pulsie, co? Dwaj pierwsi się wycofują, trzeci chory... ale są nowi – odpowiedział Castor, znów zdawkowo, ale tym razem Pablo odwrócił się, włożył do ust dwa palce i gwizdnął głośno. Zaraz też z motocykli zsiadło dwóch mężczyzn i ruszyło w ich stronę.

– Patrz, Stalówka – zauważył Kędzior – oni też wszyscy w tych kamizelkach. Tych też, kurwa, wzięło nagle, żeby...

– Uważaj – mruknął Mikołaj, łapiąc się za kamizelkowe poły. – Choć raz zrób nam wszystkim przyjemność i nie mów niczego głupiego.

Ale olbrzym już go nie słuchał, bo nagle zauważył coś na piersiach dwóch nowych – wielką, metalową literę „B” w czymś na kształt tarczy albo może odznaki policyjnej.

– E, fajne! – stwierdził, odpychając na bok Stalówkę i ruszając w stronę nowych. – Co to?

– Ci dwaj to Tryton i Tolo – wyjaśnił Castor. – Tolo to ten mniejszy. A na piersiach mają tarczę „Bangarang!”, dostali za Bangarang właśnie.

– W sensie, że powiedzieli? – zdziwił się Staccato.

– Nie – Pablo pokręcił głową. – Odpierdolili. Taki Bangarang, że głowa mała.

Kędzior odwrócił się, by spojrzeć na Milczka, a ten rozłożył ręce, po czym powoli, z rozmysłem pokiwał głową.

– Tak myślałem – stwierdził olbrzym.

Błyskawicznie dobył noża, jednocześnie drugą ręką łapiąc Trytona za kamizelkę. Sprawnym ruchem odciął odznakę i pozwolił jej upaść na ziemię.

– Nic osobistego, stary. Po prostu Bangarang? Chuja możesz jeszcze wiedzieć, co to właściwie znaczy... Kolega sam sobie odetnie, co? Bo tak się cofa, więc pewnie nieśmiały. Swoją drogą kiedy wy dwaj dostaliście naszywki? Bo mam wrażenie, że jeszcze razem nie piliśmy...

Puścił kamizelkę Trytona i nawet przyklepał ją ładnie, nie zwracając uwagi na spojrzenia, jakie motocykliści wymienili błyskawicznie z Castorem. Z tego samego powodu nie dostrzegł, jak tamten pokręcił delikatnie głową. Nie warto było wszczynać awantury. Nie w tym momencie. Nie o głupie blaszki.

Stalówka był tego samego zdania.

– Dobra już, dosyć szpanerki, panowie – stwierdził. – Mamy od cholery tematów, więc rozpuśćcie swoich i chodźmy do makietowej. Swoją drogą, widzę tu sporo nowych maszyn. I Dzieciaków. Nie próżnowaliście...

– My nie – odparł Pablo i odwrócił się na pięcie.

We czterech, wraz z Trytonem, Tolo i Castorem, ruszyli w stronę domu, zupełnie nie przejmując się resztą.

Gdy odeszli już spory kawałek, Mikołaj zdjął z pleców kamizelkę i dobytym z buta nożem zabrał się do odpruwania naszywek.

– Muszę je przeszyć z powrotem na kurtkę. Szykuje się nam mały rozłam – wyjaśnił, widząc zdziwioną minę Stalówki. – I właśnie wybieram stronę.

Albinos skinął głową, a przechodzący obok Kościej poklepał brodacza po ramieniu.

– To nie będzie łatwe radzenie, chłopaki – stwierdził Kędzior, schylając się po leżące na ziemi odznaki. Jedną z nich rzucił Milczkowi. – Jak to się nie skończy mordobiciem, słowo daję, zwalę konia nożem.

Nikt jednak nie podjął tak oczywistego zakładu. Wszyscy czuli w kościach, że zarówno nóż, jak i koń olbrzyma były całkowicie bezpieczne.

* * *

Reszta obiadu i większość popołudnia upłynęły miło i przyjemnie. Co prawda nieustannie balansowali na granicy niezręcznej, sztucznej

uprzejmości i banału, ale szczęśliwie ani razu jej nie przekroczyli. Mniej otwarte tematy jakoś same zjeżdżały na pobocze, ustępując śpiesznym: „Gdzie pracujesz? Gdzie planujecie wakacje?”. I w drugą stronę: „A więc lunapark, tak? Będą tam jakieś atrakcje dla dzieci?”; co paradoksalnie nie było tak znowu idiotycznym pytaniem.

Po posiłku cała trójka przeniosła się do części wypoczynkowej, gdzie dyskusja zeszła na obszerną filmotekę Moniki i Paragona. Okazało się, że wróżka w zasadzie nie zna połowy filmów i seriali nawet z tytułu, więc gospodarze z entuzjazmem podjęli się edukowania gościa. Skończyło się na oglądaniu raz za razem „F.A.Q. (OFF)” – niszowego sitcomu o pisarzu i jego wielkim, łysym, leniwym Muzie.

I choć Dzwoneczek śmiała się z opóźnieniem, próbując wyczytać z mimiki i reakcji Moniki, co powinno w tym chłamie bawić współczesną i – słówko dnia – elegancką kobietę, to i tak musiała uznać ten czas za wyjątkowo udany. Zdała sobie sprawę z tego, jak to jest czasem odpocząć od dzieci i samemu wyskoczyć na miasto do znajomych. Nawet gdy te dzieci mają już po trzydzieści lat.

W pewnej chwili ktoś zadzwonił i Monika wyszła z telefonem do drugiego pokoju. Gdy wróciła, wyglądała na niepocieszoną.

– Muszę wyjść, przepraszam – powiedziała, po czym zerknęła na Paragona. – Kasia.

– Wrócił?

– Nie, ale znowu ma te swoje: „Czy na pewno dobrze zrobiłam, przecież dzieci...”. – Machnęła ręką. – Znasz ją.

– Jechać z tobą?

Monika zawahała się przez krótki moment, ale zaraz uśmiechnęła, zerkając na Dzwoneczka, i potrząs-
nęła głową.

– Nie trzeba nam twoich mięśni do podawania chusteczek, siłaczu – stwierdziła, biorąc z komody torebkę. Zajrzała do niej, po czym wrzuciła do

środka telefon. – Jakbym zmieniła zdanie, zadzwonię po ciebie.

– Jeżeli dobrze wnioskuję, że jakiś facet bije twoją koleżankę, to lepiej po mnie. – Dzwoneczek dmuchnęła w niesforną grzywkę. – Nic takich nie boli bardziej niż otwarte złamanie zafundowane przez kobietę.

– Jest jakaś różnica?

– Gdy zrobi to kobieta, pęknięta naga kość rozrywa nie tylko skórę, lecz także i dumę. Nawet kopiąc faceta w jaja, nie sprawisz mu większego bólu, skarbie.

Monika zachichotała nerwowo.

– Zapamiętam – zapewniła i zarzuciła torebkę na ramię. – Wrócę niedługo... Albo nie.

– Odbierzemy cię, gdy będziesz gotowa – powiedział Paragon i wstał, by odprowadzić żonę do drzwi.

Przez chwilę rozmawiali szeptem w przedpokoju. Chociaż Dzwoneczek nie słyszała słów, z łatwością wywnioskowała, że jej niegdysiejszy chłopiec upewniał się, czy Monika chce jechać sama. W końcu jednak rozległ się dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi wyjściowych, a po chwili Paragon wrócił do salonu.

– I co o niej sądzisz? – zapytał.

Dzwoneczek uniosła szklankę z cydrem i zakołysała resztką napoju. Upiła łyk.

– Zapamiętałam, jak ma na imię.

Uśmiechnął się i opadł na wielką czarną pufę, która zaprotestowała głośnym sapnięciem. Sięgnął po swoją szklankę i przypił do wróżki.

– Dobra, to mów teraz od początku, co ty właściwie chcesz jutro skręcić. I co to za heca z tym rezygnowaniem z proszku? Skończyła ci się wena? Magia wygasa?

– Piotruś – odparła. – Szuka do nas drogi. Bawiąc się proszkiem, zostawiamy strasznie widoczny ślad. Nie pytaj, skąd wiem.

– Nie pytam.

– Tak czy owak musimy poszukać sobie innej roboty, bo oszczędności na długo nie wystarczą, a nie chcę, by Chłopcy do usranej jeździli na jakieś głupie akcje. No i przyda się coś na całkowitym legalu... Mogę tu zapalić?

Paragon skrzywił się odruchowo, więc Dzwoneczek, zanim odmówił, wskazała na drzwi balkonowe:

– A tam?

– Tam, jasne. – Odetchnął z wyraźną ulgą. – Czekaj, wezmę jakiś słoik na popiół.

Wstał i wyszedł do kuchni, a Dzwoneczek sięgnęła do kurtki po paczkę papierosów. Razem wyszli na balkon.

– Stąd pomysł na lunapark – podjęła przerwany wątek. – Będzie dużo dobrej zabawy, wciąż będą się zjawiać dzieciaki, a i Piniądz mówił mi ostatnio, że w razie czego to będzie świetna pralnia, jakby pozostali potrzebowali. Nie zamierzam zapomnieć o innych.

Zaciągnęła się papierosem i przez chwilę po prostu podziwiała widok. Zaróżowione zorzą niebo, a w oddali pokraczny koszyczek Stadionu Narodowego, dalej szpica Pałacu Kultury i sylwetki wieżowców zagubionych pośród maleńkich budynków niczym potomkowie Guliwera podróżujący śladami sławnego przodka. Miło tu było i spokojnie, zieleń wyglądała zza każdego bloku, ogrodzone podwórka wyglądały na czyste i schludne, leniwy ruch pod oknami nie powodował specjalnie hałasu. Ot, idealne miejsce, by poczuć się wreszcie statecznym dorosłym; pół kroku i rzeka do zgiełku Centrum, kwadrans do najbliższego multipleksu i dwa kroki do bazarku ze świeżymi warzywami.

– No dobra, to wy – odezwał się w końcu Paragon. – A co z całą resztą? Przecież lunapark nie wyżywi wszystkich. Choćbyś stanęła na głowie, nie ma szans, żeby...

– Właśnie mówię, Paragon. Reszta żyje już po swojemu, od dawna na własny rachunek. Widujemy się w zasadzie tylko na Zjazdach, a i tak nie ze wszystkimi...

Mówiąc to, odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Przez chwilę szukała tam jakiejś reakcji na te słowa, zwieszenia głowy, skruchy, ale zniósł jej wzrok dzielnie, więc tylko podniosła rękę z papierosem i kolejny raz zaciągnęła się dymem.

– Jak Kościej na ukraińskich stepach – podjęła przerwany wątek. – Staccato dymający wycieczki zakonnic gdzieś pod Rzymem. O tym, co robi Castor i jego wciąż rosnąca ekipa, nie wiedziałabym nic, gdyby nie Zjazdy. Za wyjątkiem Mikołaja i Kaprysa nikt się już od dawna nie zgłaszał po proszek, a przecież to, co dostają raz do roku, nie może im wystarczyć na solidne rozkręcanie biznesu. Wyfrunęli z gniazda, Paragon, niemal wszyscy. A ja muszę zająć się tymi, którzy nigdy tego nie zrobią.

Pokiwał głową, po czym sięgnął po paczkę papierosów, którą Dzwoneczek położyła na poręczy. Wyciąg-
nął jednego, zapalił i zaciągnął się powoli, głęboko, odchylając głowę do tyłu. Chwilę trwało, nim wypuścił chmurę dymu.

– No dobra, rozumiem – stwierdził wreszcie. – Ale jak załapałem, masz z tym lunaparkiem jakieś problemy, tak? Nie chcą ci dać kredytu.

– Parę spraw jest niewyregulowanych, owszem. – Zgniotła peta na poręczy i nadgarstkiem starła ślad. – Trochę oszczędziłam przez te lata, ale sporo pójdzie na ziemię, a tej nie sprzedadzą mi okazyjnie, jeśli będziemy kombinować z zagospodarowaniem terenu. Stąd kredyt, żebyśmy mogli i kupić teren, i go wyremontować, dodać parę atrakcji, nadać styl. Ale rozrywka to, zdaniem banków, ciężka branża. Więc za pierwszym entuzjazmem nie poszło spełnienie kredytowych obietnic i wyjebali nas w kosmos...

– Teraz przyjeżdżasz spróbować wyżej – dokończył Paragon.

Skinęła głową.

– Najwyżej.

Paragon uniósł papierosa do ust, ale w połowie ruchu spojrzał na niego, skrzywił się i pstryknął nim gdzieś daleko.

– A masz w ogóle jakiś pomysł, jak chcesz to zrobić? Bo wiesz, ja mam świadomość, że wy tam żyjecie jak w jakiejś pojebanej bajce, ale prawdziwe życie... auu! Za co?

– Za pierdolenie głupot. – Dzwoneczek potrząsnęła ręką, rozluźniając pięść. – Oczywiście, że mam plan, głuptasie. Właśnie do tego naprawdę jesteś mi potrzebny.

Wyszczerzył się.

– Myślałem, że chodziło ci o nocleg.

– Gdyby tylko o to chodziło, w Warszawie są chyba hotele, nie? I to takie, gdzie można palić w środku.

Paragon otworzył usta, by się wytłumaczyć, ale zbyła go machnięciem ręki.

– Dobra, dobra. Nie smęć mi tu, tylko powiedz, że masz jakieś piwo.

Na twarz Paragona wrócił szeroki uśmiech. Teraz jej chłopiec był dokładnie taki, jakim go zapamiętała. Był... Kukuryku!

– Cóż by był ze mnie za syn, gdybym się nie przygotował na przyjazd mamy, co? – zapytał.

* * *

Atmosfera w sali makietowej dość mocno odbiegała od tego, co działo się za drzwiami i przed budynkiem. Zdawać by się nawet mogło, że im głośniejsze i weselsze okrzyki dochodziły z zewnątrz, tym gorzej robiło się w środku, zupełnie jakby uwięzieni w niej klubowicze mieli za złe światu, że nie pozwala im się bawić. Że po ogólnym stwierdzeniu: „No, panowie, ktoś musi być dorosły” wyliczanka wskazała na nich. Całe zebranie polegało więc na tym, że Stalówka czytał coś z kartki, Studjent spał w kącie, Kaprys stukał się po stelażu na nosie, a nowi Czesi, którzy, gdy się

im przyjrzeć, wyglądali mało czesko, wodzili wzrokiem po ludziach, jakby chcieli się ich nauczyć na pamięć. I kto wie, może właśnie tak było?

Najbardziej nieswojo czuł się Kędzior. Siedział w kącie, bawiąc się zdobytą odznaką, i patrzył na wszystkich bykiem, kompletnie nie wiedząc, jak się zachować w obliczu tak napiętej sytuacji. Dać komuś w mordę, skoro i tak się zanosi? Rzucić jakimś żartem? Skombinować nową karetkę pod rewanż krwiballu? Tyle opcji, tyle możliwości i stłoczonych myśli, że aż w jednej chwili zapragnął, by – jak Bliźniacy – mieć jeden mózg w dwóch ciałach, by się specjalnie nie przeciążać. Bo tego, że tak właśnie jest, nikt nie był w stanie wybić mu z głowy.

Zerknął w stronę Milczka, który parę metrów dalej bujał się na krześle, dłubiąc nożem pod paznokciami. Wzruszył ramionami. Tamten odpowiedział podobnym gestem, mówiącym: „Tak, brachu, też nie wiem, co my tu, kurwa, robimy”. Kto jak kto, ale Milczek umiał się wysłowić.

Tymczasem siedzący u szczytu stołu Stalówka odwrócił kartkę notesu i przeczytał znudzonym kompanom najważniejszy tego wieczoru postulat:

– Jak już wiecie, parę rzeczy się zmieniło – zaczął z głowy, wodząc wzrokiem po zebranych.

Każdemu starał się poświęcić sekundę uwagi, przez ten krótki moment patrząc mu w oczy, zanim prześliznął się wzrokiem na następną osobę. Nie mógł tego zrobić tylko wobec Pabla, który stał przy samych drzwiach. Oparty o ścianę i z rękami splecionymi na piersi ostentacyjnie znudzony kontemplował sufit.

– Najważniejsza zmiana – kontynuował Stalówka – dotyczy oczywiście proszku i...

Drzwi otworzyły się i do środka wpadło dwóch Dzieciaków, zanosząc się histerycznym śmiechem. Zobaczywszy zgromadzonych przy makiecie, natychmiast spróbowali spoważnieć i się wyprostować. Zwłaszcza to drugie szło im wyjątkowo nieporadnie.

– Przep... raszam – wypiszczał pierwszy i obaj parsknęli niepowstrzymanym śmiechem, jakby właśnie zrobili najzabawniejszy żart świata.

Chłopcy popatrzyli po sobie z dezaprobatą, ale zanim którykolwiek się ruszył, Pablo skinął na Trytona, a ten wyprowadził Dzieciaki na zewnątrz. Po chwili od stołu wstał również Tolo i wybełkotał coś o kiblu, zerkając jednocześnie na Castora, który ledwie zauważalnie skinął głową. Stalówka dostrzegł jednak ten gest i natychmiast posłał wymowne spojrzenie Kędziorowi.

Olbrzym jednak nie był w szczytowej formie wyłapywania subtelnych, niewerbalnych sygnałów.

– No co? – zapytał, czując na sobie ciężar braterskiego spojrzenia. – Co, kurwa, znowu źle zrobiłem?! Na Milczka patrz, on się na krześle huśta!

Milczek wsunął ostrze noża między palce tak, by wyglądało jak wystawiony środkowy palec. Stalówka przejechał ręką po twarzy.

– Co to było? – zapytał.

Naprawdę go to ciekawiło, ale kluczowa była szybka zmiana tematu. Ten wydawał się dobry.

– Co im się stało?

– Wesołek – wyjaśnił Pablo. – Dzieciaki naszprycowały się wesołkiem i szaleją. Ale przynajmniej są szczęśliwi, nie?

Albinos uniósł brwi.

– Wesołkiem?

– Tak właśnie – odezwał się Castor. – Wesołkiem. Pablo, skoczysz? Przyniesiesz?

Wstał, głośno szurając krzesłem – na tyle, że nawet na moment obudził przysypiającego w rogu Studjenta – po czym przeciągnął się, poczekał, aż jego adiutant wyjdzie za drzwi, i zaczął:

– To jest chyba ten moment, Stalówka, kiedy ja podejmę przerwany wcześniej przez ciebie wątek. Bo wszyscy wiemy, co chcesz powiedzieć.

Żadnego proszku, bo zakaz, zmieniamy branżę i przechodzimy każdy na swoje. To już jakby nastąpiło, i to ładną chwilę temu, tylko wy tutaj nie zdążyliście się zorientować. Ani załapać. Co nie, Kaprys?

Beznosy Chłopiec wykonał bliżej nieokreślony ruch głową, ni to przytaknięcie, ni to potrząśnięcie, po czym podniósł ręce i pozwolił im opaść bezwładnie. Trudno to było jednoznacznie zinterpretować.

Castor jednak nawet nie zamierzał tego robić. Podniósł z blatu figurkę rozłożystego drzewa pełnego domków. Przyglądał się jej przez moment, zaglądając w okna, po czym odstawił na skraj stołu.

– Tak to jest, gdy przestajesz jeździć – dodał.

Zepchnął figurkę z blatu. Uderzyła o ziemię z trzaskiem i pękła na pół.

– Wypadasz z gry. Najstarsza zasada wszystkich klubów świata, czyż nie?

Kędzior błyskawicznie poderwał się na nogi, ale Stalówka powstrzymał go gestem.

– Co masz na myśli, mówiąc „nie jeździsz”? – zapytał. – Mamy, co prawda, przejściowe problemy, ale...

– Nie są przejściowe – odparował Castor.

Po raz pierwszy w życiu dało się dostrzec, że drugi kącik ust unosi się w górę. Lider Chłopców znad Renu po raz pierwszy w życiu się uśmiechnął.

– Skróty? Skracanie drogi sobie i innym? Siedzenie całymi dniami na dupie zamiast całym sobą czuć jebany wiatr, gdy stawia ci opór? Kiedy ostatni raz byliście na trasie, Stalówka? Tak naprawdę?

Powiódł wzrokiem od albinosa po stojących w pełnej gotowości Kędziora i Milczka. Mikołaj, Staccato i Kaprys siedzieli wyraźnie zaskoczeni rozwojem wypadków. Jedynymi, którzy wydawali się zupełnie nieprzejęci sytuacją, byli śpiący Studjent oraz Kościej. Kozak siedział na swoim krześle z rękami na udach i uważnie, ale z anielskim spokojem na niewinnej, chłopięcej twarzy przyglądał się wszystkim i wszystkiemu.

– I jeszcze ten lunapark! – drwił coraz mocniej nakręcony Castor. – Groźny klub, twardziele trzęsący okolicą, a chcą kupić wesołe miasteczko i bawić tu jakieś szczyle?

– Sam byłeś takim szczylem, Castor – warknął Kaprys, który z gniewnym wzrokiem, zmrużonymi oczyma i stelażem wyglądał trochę jak średniowieczny woj. – Dla własnego dobra stul już ryj, chyba że chcesz nam wyjaśnić, co to jest ten wesołek. Bo o niego pytał Stalówka.

– Wesołek to nowy narkotyk – wyjaśnił Mikołaj, zanim Castor zdążył się odezwać. – Takie gówno rozprowadzane przez jeden z wielkich MC, zakazane wszędzie, bo uzależniające jak kurwa mać. Podbija ci endorfiny czy inny chuj, ale zażywasz i chcesz śpiewać jak księżniczki Disneya. Słowem, świat ci pięknieje, a ty jesteś szczęśliwy.

– To jak po wszystkim – stwierdził Staccato, ale Mikołaj pokręcił głową.

– Nie, brachu. Szczęśliwy, nie tylko napierdolony po kapsel, to różnica.

– Przede wszystkim to alternatywa dla nas, zamiast jakichś zjebanych pomysłów z lunaparkiem. – Castor wyraźnie nie był zadowolony, że ktoś odbiera mu głos. Pięść aż mu pobielała od ściskania małej figurki Indianina zdjętej z planszy. – Możemy wejść w ten biznes i ustawić się do końca życia w dystrybucji. Wiemy i mamy jak! Kwestia dzisiejszej decyzji.

Na moment zapadła cisza. No, względna cisza, bo okrzyki z zewnątrz nie ucichły, a wręcz przybrały na sile i agresji, huknęło też kilka petard lub wystrzałów. Wreszcie głos zabrał Stalówka.

– Dobra, Castor. Po pierwsze...

– Nie – wtrącił się Kędzior. – To będzie po drugie. Po pierwsze, to odłóż, chuju, wodza i podnieś drzewko z podłogi.

Castor spojrzał wyzywająco na olbrzyma, ale odstawił figurkę. Po drzewko się jednak nie schylił.

– Mówiłeś coś, Stalówka – przypomniał, nie odrywając wzroku od Kędziora.

– Tak. – Albinos postukał się w nos, odruchowo naśladując gest Kaprysa. – Mikołaj powiedział, że tym wesołkiem zajmuje się jakiś MC. Co to za goście i czy ty naprawdę chcesz nas wszystkich władować w pieprzoną wojnę z innymi na motocyklach?

Castor parsknął cicho pod nosem i pokręcił głową. Wreszcie cofnął się o krok i złapał za poły kamizelki. Zrzucił ją z siebie wraz z kurtką i stanął do klubowiczów tyłem, a potem sprawnym ruchem ściągnął też koszulkę. Na plecach miał wytatuowane żółto-brązowe godło przedstawiające grzechotnika wypełzającego spod przestrzelonego wojskowego hełmu. Napis nad znakiem głosił: „Battlesnakes”.

* * *

Pierwszy miał już wyraźnie dość. Wszystkiego: dziewczyn, gier i zabaw, wódki, kłótni, rozmów, rzygania, znowu dziewczyn, kolejnego morza wódki, włoskiego akcentu i ukraińskich tańców, bijatyk i picia na zgodę, mylenia z bratem, dziewczyn, które chciały ich obu naraz, akrobacji na motocyklach... Jedyne, do czego Bliźniak był teraz zdolny, to leżenie na brzegu jeziorka z butami w wodzie i łokciami wbitymi w piach i gapienie się, jak jakaś uparta, zawzięta sztunia usiłuje zrobić loda Kruszynie. Grubas siedział rozpostarty na wielkim pniaku i zaśmiewał się do rozpuku, trzęsąc się przy tym jak galareta, a laska raz za razem zbierała w głowę tym jego tłustym brzuszyskiem, ale mimo to nieustępliwie, niczym porno Percival, próbowała jednak sięgnąć ustami Graala.

Nieco dalej Drugi rozebrany do pasa pojedynkował się na szable z jakimś Kozakiem zagrzewany do boju przez nagą bandę na przemian motocyklistów i dziewczyn. Tylko ludzie Castora i ci, którzy przyjechali z nimi, przyglądali się wszystkiemu w milczeniu i z poważnymi minami.

– Dorosłe kutafony – mruknął Pierwszy i opadł na piasek.

Niebo nad nim, granatowoczarne, czyste, bez ani jednej chmurki, upstrzone było gwiazdami. Większymi i mniejszymi, świecącymi na żółto i biało, w wyraźnie dostrzegalnych konstelacjach i pozornie samotnie. Wśród nich nie było jednak tej, którą tak dobrze pamiętał. Tej, od której dawno temu się zaczęło...

Rzucona skądś butelka trafiła go w głowę. Pierwszy błyskawicznie uniósł się na łokciu i rozejrzał, ale nie dostrzegł nikogo, komu mógłby oddać. Siedzący najbliżej Kruszyna z miejsca wypadał z listy podejrzanych, bo dziewczyna najwyraźniej osiągnęła cel i teraz Grubas, zamiast się śmiać, zezował tylko i zerkał w niebo. Pozostali Chłopcy byli albo za daleko, albo całkowicie skupiali się na pojedynku. Ktoś oczywiście mógł tylko udawać zainteresowanie, a w rzeczywistości śmiać się do rozpuku, ale Pierwszy był pewien, że wystarczy tylko uważnie patrzeć, który pacan wreszcie nie wytrzyma i zerknie. A wtedy już Bliźniak każe mu połknąć a potem wysrać tę butelkę. W całości i trzy razy z rzędu.

Już, już wstawał, gdy nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił głowę. Rzeczywiście, ktoś poruszał się po drugiej stronie jeziorka, i to z pewnością nie jakiś zbłąkany, wstydliwy Dzieciak z wypożyczoną na chwilę cizią. Sylwetek było coraz więcej i więcej, jakby właśnie wyłoniły się z lasu i teraz szły w ich stronę. Zachowywały się jak...

– Szczury! – spróbował wrzasnąć Pierwszy, ale zakrztusił się własną śliną i ledwie zdołał to wycharczeć.

Wystarczyło. Czuwający przy drzewach ludzie Castora – przeklął się w duchu za nazywanie ich dorosłymi – natychmiast rzucili się w jego stronę całą chmarą. Pierwszy wskazał im ręką kierunek.

– Tam są... – zaczął.

Cios w skroń natychmiast zwalił go na ziemię.

Posypały się kopniaki, a któryś z kolei pozbawił Bliźniaka przytomności. Zanim to jednak nastąpiło, pomiędzy plątaniną nóg Pierwszy dojrzał, że Kruszyna odepchnął laskę i ruszył mu na odsiecz.

Oho, nikt nie wkurwia Kruszyny, pomyślał, zanim odpłynął w ciemność.

* * *

To było jak widmowy cios w brzuch. Niewidzialna pięść przenikająca przez skórę i mięście, trafiająca od razu w odsłonięte bebechy. Drugi zadrżał i na moment stracił koncentrację, co kosztowało go kolejną ranę. Kozak ciął go przez pierś, delikatnie, ledwie kalecząc, ale boleśnie jak szlag. Jednak nawet cięcie nie umywało się do uderzenia w brzuch. Bliźniak uniósł rękę na znak, że potrzebuje przerwy.

– Coś się stało? – zapytał ktoś z tłumu gapiów.

Zanim jednak Drugi zdążył odpowiedzieć, ktoś inny wrzasnął:

– Leją się!

Wszyscy pognali w stronę brzegu.

Bliźniak wziął głęboki oddech, wyprostował się i odwrócił głowę. Dostrzegł, że banda Chłopców stoi w ciasnym kółku, kopiąc zawzięcie coś lub kogoś, a kilka metrów dalej Kruszyna napierdala łby, jakby od tego zależało życie jego kota. Grubas właśnie wzniósł do góry dwóch Chłopców, zderzył ich głowami i cisnął nieprzytomnych w jezioro.

– Niedobrze – mruknął Bliźniak do stojącego obok Kozaka. – Nie wiem, co się stało, ale nie jest, kurwa, dobrze.

Podniósł z ziemi kurtkę i narzucił ją na gołe ciało, po czym złapał za szablę i pognał w stronę zadymy. Widmowy ból, kółeczko i naprawdę wkurwiony Kruszyna dawały mu coraz wyraźniejszy obraz tego, kogo mogą tam właśnie kopać.

– Bangarang! – wrzasnął.

Wpadł między zgromadzonych i zaczął ciąć na oślep szablą. Przez głowę przemknęło mu, że jeśli właśnie się mylił, czeka go pewnie dużo

cichych „przepraszam” nad grobami potencjalnych zabitych, ale, do kurwy nędzy, bliźniaka ma się jednego!

Więc ciął, chlastał i przebijał się do środka. W myślach powtarzał sobie, żeby, jeśli to możliwe, nie ciąć za głęboko, żeby nie zrobić nikomu zbyt poważnej krzywdy, ale był to tylko cichy głos ze skrzeczącego megafonu rozsądku, podczas gdy reszta mózgowego stadionu darła się właśnie „BANGARANG!”, ciskając mu przed oczy toaletowe rolki strachu i czerwone race wściekłości.

Kątem oka dostrzegł, że zza jeziorka nadbiega w ich stronę prawdziwy, rozwrzeszczany tłum kolesi w kamizelkach, i zastanawiał się, kogo biegną wspomóc. Bo tu, na brzegu toczyła się teraz regularna bitwa, z wrzaskami, wybitymi zębami i krwią.

Gdyby Drugi choć przez ułamek sekundy pomyślał rozsądnie, gdyby zamiast przebijać się do brata, drąc się w niebogłosy i machając szablą, spojrzał na trzeźwych ludzi Castora, a potem na całą pijaną już i poobijaną resztę, gdyby uważniej przyjrzał się nadbiegającym i dopuścił do siebie oczywiste pytanie: „Ty, a co oni właściwie tam robili, w tych krzakach?”, wówczas wiedziałby, że pójście na żywioł przy takiej przewadze liczebnej wroga było skrajną głupotą.

Ale cóż, był Chłopcem. A oni słyną z robienia głupich rzeczy.

* * *

Pierwszy zareagował Kędzior:

– Castor, po chuj żeś se wydziarał żółwia? – zapytał, wstając.

– To nie żółw, idioto – mruknął Mikołaj. – To zdrada.

Kędzior powoli ruszył wokół stołu, widząc kątem oka, że Milczek również rusza od drugiej strony.

– Nie pierdol, Mikołaj – powiedział, starając się nadać swojemu głosowi wesoły ton. – Umiem chyba odróżnić zdradę od żółwia, nie?

Przeszedł właśnie za albinosem i lekko skinął głową do Staccato. Ten odpowiedział skinieniem. Kaprys błysnął zębami, za to Kościej zachowywał się, jakby był nieobecny. Na jego twarzy szczeniaka z rosyjskiego boysbandu nie malowała się żadna, najdrobniejsza nawet emocja. Patrzył tylko na obnażone wytatuowane plecy niegdysiejszego towarzysza... i milczał.

Castor tymczasem stał tak jeszcze przez chwilę, po czym sięgnął po kurtkę, podniósł ją i oddzielił od kamizelki. Kurtkę nałożył, kamizelkę cisnął na stół, przewracając kilku Indian i zahaczając o syreny.

– Nie ma co się burzyć, chłopaki – powiedział – ani bawić w głupie żarciki na temat godła i barw. Doskonale wiemy, że facet, który nosi na plecach zegarek, nie powinien... Kędzior, skończ te głupie, nieudane podchody. Chcę coś powiedzieć i...

– Nie szedłem do ciebie – stwierdził olbrzym z miną, jakby obrażał go już sam taki pomysł. Zatrzymał się po prawicy Stalówki i położył rękę na oparciu jego krzesła.

– To się tyczyło również ciebie, Milczek. – Castor wyjął z kieszeni paczkę fajek, ale zaraz ją schował. Trochę trzęsły mu się ręce. – Przecież doskonale wiemy, że możemy to załatwić jak rozsądni faceci, nie? Minęły lata, odkąd byliśmy dziećmi i prężyliśmy fiuty przy każdej okazji...

– Fuj, kurwa. Czy ja naprawdę chciałem to wiedzieć? – zapytał Kaprys, ale nikt nie zareagował.

– Na zewnątrz – kontynuował Castor – jest w tej chwili blisko dwustu moich ludzi, trzeźwiutkich, gotowych na rozpierdol, gdyby coś poszło nie po mojej myśli. Ale dlaczego miałoby nie pójść? Mikołaj, Staccato, Kościej i zwłaszcza ty, Kaprys, wiecie przecież, że mam rację. Kiedyś byliśmy najbardziej pojebanym klubem na świecie, ale teraz? Teraz jesteście jak te kurwy na trasie. Niby przy Drodze, niby ciągle ją widzą, ale tak naprawdę

tylko stoją i dają się dymać komu popadnie. Ci tutaj, Stalówka i reszta tak was załatwili, ale możecie to zmienić. Co myślicie?

Umilkł na moment, pozwalając wybrzmieć tym słowom, a może faktycznie czekając na odpowiedź.

Zareagował jednak tylko Stalówka. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na blacie, dłonie złożył w piramidkę, przymknął oczy.

– Myślę – powiedział spokojnie, prawie szeptem – że jak przystało na rozsądnych, jak nas nazwałeś, ludzi, dam twoim kwadrans, by się stąd wynieśli, a potem pozwolę Chłopakom urządzić taką zabawę w polowanie, jakiej żaden Zjazd jeszcze nie widział. Mama nie będzie zadowolona, ale...

– I to jest właśnie wasz problem! – wrzasnął Castor, w jednej chwili tracąc resztki opanowania. – Zamiast pomyśleć rozsądnie, jak faceci, słuchacie się jakiejś głupiej kurwy i...

Nie skończył, bo w tym momencie Kościej błyskawicznie poderwał się od stołu. W ułamku sekundy doskoczył do Castora i wbił mu od dołu w podbródek długi, cienki sztylet. Zrobił to z taką siłą, że ostrze zachrzęściło o kość czaszki i wyszło górą.

– Mówisz o mojej mamie! – wycedził Kozak, po czym popchnął drgającego w spazmach Castora na ścianę.

Kędzior, widząc to, pokręcił głową i cmoknął.

– No, Kościej, ale chyba troszkę przegiąłeś, powiem ci – stwierdził. Z min pozostałych można było odczytać, że myślą podobnie. – Był jednym z nas i takie sprawy...

– Nie, nie był. – Kościej wzruszył ramionami. – Już nie.

Kędzior pokiwał głową w jedną i drugą stronę, jakby mówił: „No nie wiem, nie wiem, kwestia dyskusyjna”. Zaraz jednak uderzył pięścią w otwartą dłoń i spojrzał pytająco na Stalówkę.

– Ale to chyba znaczy, że zebranie skończone, tak? – zapytał.

– Tak. – Albinos westchnął i odsunął krzesło. – Skończone i już możesz. Tylko pamiętaj, nie dalej jak lasek...

– ... po drugiej stronie ulicy. – Olbrzym pokiwał głową. – Wiem, pamiętam. To jak, chłopaki? Milczek? Stu- djent, leniu pierdolony, pobudka! Idziemy?

Milczek skinął głową, wziął nóż w zęby i wyszczerzył się jak czaszka z pirackiej flagi, a potem kopnął w nogę krzesła Studjenta, wywracając go na ziemię i tym samym budząc do reszty. Kędzior podszedł do drzwi, przyłożył do nich ucho, lekko skinął głową. Cofnął się i z całej siły kopnął w drzwi, wywalając je z futryny i powalając stojących za nimi Tolo i Trytona zostawionych tam przez Pabla na straży.

– Bangarang! – krzyknął i wybiegł na korytarz.

* * *

Przez budynek przeszli szybko i bez większych kłopotów, ale gdy tylko wypadli na podwórze, zobaczyli skalę tego, co się działo. Ktoś właśnie podpalał motocykle, garstka pijanych Chłopców zabarykadowała się w wagoniku na młynie i strzelała z kusz, gdzieś tam w oddali, przy jeziorze darł się Kruszyna, a raz z jednej, raz z drugiej strony parku rozlegała się kanonada. Wszędzie ktoś walczył. Zazwyczaj małe grupki lub nawet jednostki broniły się wobec przeważającej siły ludzi Castora i gości w kamizelkach Battlesnake’ów, ale bywało też, że to Chłopcy przejmowali inicjatywę i tłukli Wężowych, nie bacząc na rany postrzałowe i noże sterczące z ud czy ramion. Ci, którzy dostali w pierś czy brzuch, zwykle nie zważali już zupełnie na nic.

Kędzior rozejrzał się po placu boju i pokręcił głową.

– Aż mi głupio, że to powiem, chłopaki – mruknął – ale pamiętacie, co powiedział kiedyś Piotruś, zanim go pojebało?

– Mówił dużo rzeczy – stwierdził Stalówka. Wyciąg-
nął telefon, przez chwilę czytał wiadomość z ekranu, po czym kolejną

chwilę na nią odpisywał. – Lubił gadać.

– Tak – zgodził się Kędzior – ale tylko jedno pasuje do tej sytuacji. To o śmierci.

– Że jest największą z przygód? – przypomniał sobie Mikołaj. – Wiesz, coś w tym może być... I co, chcesz sprawdzić na sobie?

– Nie. Chcę ich zabić i zapytać, jak się bawią. Dalej!

Zeskoczył ze schodków i pognał przed siebie, już po drodze łapiąc niedoszłego podpalacza maszyn i wyrzucając go wysoko w górę. Biegnący za nim Studjent poczekał chwilę, aż gość spadnie, po czym walnął go w głowę i nakrył jedną z maszyn. A potem pognał dalej, przykładając otwartą dłoń do ust i naśladując indiańskie okrzyki z dawnych westernów.

Staccato, Mikołaj i Stalówka po chwili namysłu pognali ich śladem, dobywając broni. Kościej natomiast spojrzał na Milczka i uśmiechnął się.

– Sprawdzimy twoją kozacką formę, bracie?

Milczek wzruszył ramionami.

– To gdzie trzymacie maszyny na taką okazję?

Niemowa wykonał ruch głową mówiący „chodź za mną” i ruszył wzdłuż budynku.

* * *

Dzwoneczek od dłuższego czasu leżała już w łóżku, gapiąc się w sufit. Nie mogła zasnąć, targana złym przeczuciem. Nie wiedziała, czy było ono powodowane jutrzejszym zadaniem do wykonania, czy inną troską, ale na wszelki wypadek napisała do Stalówki z zapytaniem, jak Zjazd i czy wszystko tam u nich w porządku.

Odpowiedział jak na niego wyjątkowo szybko. Napisał: „W jak najlepszym. Jesteśmy po obradach i wiele się wyjaśniło. Teraz idziemy się bawić, bo jest pomysł na parę dodatkowych atrakcji”.

Przeczytała to sobie dwa razy na głos. Brzmiało normalnie, więc odłożyła telefon i wyraźnie uspokojona położyła się na boku i zasnęła. Śnił się jej Pan Proper liżący czerwoną kałużę.

* * *

Pierwszy nie nadawał się do niczego, więc Drugi z Kozakiem oparli go tylko o drzewo i ustawili się przed nim z nożami w rękach. Szablę Bliźniak stracił już dawno, dostając w zamian śliczną, głęboką ranę na lewym przedramieniu. Stało się to akurat, gdy próbował sztuczki „na Bohuna", czyli przerzucenia broni z jednej ręki do drugiej. Teraz ściskał w ręce zwykły nóż i mierzył wzrokiem zbliżających się Wężowych. Byli dobrzy, ale chyba rzadko zdarzało im się walczyć w większej grupie, bo kompletnie nie umieli współpracować. Gdy kilku ludzi atakuje jednego przeciwnika, to powyżej trzech już zaczynają sobie przeszkadzać. Tylko trochę, ale jeżeli walczą z wytrawnym zakapiorem zaprawionym w bojach, ten wie, jak to wykorzystać.

Tak było teraz. Wężowi, dawno już wystrzelani z amunicji, zbliżali się z nożami albo z gołymi pięściami, próbowali obchodzić, ustawiać się półkolem, po czym nagle zaatakowali naraz. Drugi doskoczył do najbliższego, zbił lewą ręką jego prawicę z nożem i uderzył serią sprawnych, szybkich ciosów w brzuch. Śledziona, wątroba, żołądek – kilka błyskawicznych uderzeń, odepchnięcie i już był przy następnym. Tego z całej siły kopnął w kolano, łamiąc mu nogę, przejechał ostrzem przez twarz i już półobrót, by sparować kolejny cios. Nóż zazgrzytał o nóż, Wężowy sapnął głośno, a potem jeszcze raz, gdy zarobił kolanem w brzuch. Drugi sprawnym ruchem poderżnął mu gard-
ło, ale zaraz sam wrzasnął, gdy jakaś klinga przejechała mu ze zgrzytem po

łopatce. Potknął się, zatoczył, jednak utrzymał równowagę, zdołał się nawet odwrócić.

– No dalej, skurwysynu – mruknął. – Spróbuj jeszcze raz, patrząc mi w twarz.

Wężowy spróbował, ale ledwie zrobił krok, coś wielkości armatniej kuli nadleciało ze świstem i uderzyło go prosto w nos. Rozległ się trzask i chrzęst, a motocyklista powoli osunął się na kolana. Drugi przyjrzał się pociskowi – urwanej, zakrwawionej głowie – a potem odwrócił się na moment. Tak, jak sądził, wkurwiony Kruszyna dopiero się rozkręcał.

Bliźniak uniósł rękę i pomachał grubasowi.

– Dzięki, maleńki! – krzyknął.

Kruszyna odmachał. Nie swoją ręką.

* * *

Pablo stał na tunelu strachów i bezradnie rozglądał się po okolicy. W ręku trzymał krótkofalówkę, ale wiedział, że gdyby się odezwał, nikt by mu nie odpowiedział. Byłyby to bowiem cenne sekundy, których absolutnie nikt teraz nie miał.

Tracił kontrolę. Nie był typem dowódcy jak Castor, nie umiał ogarniać większych biznesów ani bijatyk. Chociaż to już dawno nie była bijatyka, a nawet nie strzelanina. To była prawdziwa masakra. Walka nie o wpływy, nie o proszek nawet, po który przyjechali tu w pierwszej kolejności. Teraz była to dla każdego walka o życie!

A miało być tak pięknie. Kilka miesięcy temu Castor opowiadał o Zjeździe Trevorowi, wytatuowanemu jak Yakuza i wielkiemu jak troll ze skandynawskich baśni prezydentowi Battlesnake’ów. Wtedy wszystko miało się sprowadzić do spacyfikowania starszych Chłopców – Castor

mówił, że jest ich tylko sześciu plus Dzwoneczek – i sprawnego przekonania reszty, już i tak podświadomie gotowej na zmianę.

Wszyscy już dawno do tego dorośli, przekonywał, teraz trzeba im tylko dać nowy cel i stabilizację. No i nowe barwy, by nie popierdalali przez świat ze stłuczonym zegarkiem na kurtkach.

Wtedy brzmiało to wszystko przekonująco, nawet dla Pabla, który przecież znał starszych Chłopców osobiście. Jak to możliwe, że zapomniał? Jakim cudem wyleciało mu z tego pierdolonego łba, że spacyfikować ich, nawet tylko tych sześciu, to zadanie dla jebanej armii? No i trzeba było to zrobić raz a dobrze, a czy Mikołaj, Kaprys, Staccato i Kościej mogli pójść na zabicie przyjaciół nawet dla ogromnych zysków?!

– Kurwa, Pablo – przeklął się na głos. – Jak mogłeś być takim idiotą? Dlaczego nie zauważyłeś tego wcześniej?!

Odpowiedział mu paniczny pisk dziewczyn odkrytych przez któregoś Wężowego w starym, przewróconym wagoniku.

Pablo przyłożył krótkofalówkę do ust, żeby krzyknąć tamtemu, wyraźnie nakręconemu odkryciem łysolowi, by nie zajmował się teraz dupami, gdy gra idzie o życie. Nie zdążył.

Z ciemności wyskoczył nagle podrasowany dwuosobowy enduro. Za sterami siedział Milczek, a za jego plecami kucał Kościej z szablą w ręku.

– Uważaj! – wrzasnął Pablo, ale było już za późno.

Motocykl zrównał się z Wężowym, a wtedy Kościej wyprostował się gwałtownie i z góry ciął na ukos. Puścił szablę, która utkwiła w rozpłatanym motocykliście, po czym wykonał salto do tyłu i opadł do przyklęku.

Milczek przejechał jeszcze parę metrów i zawrócił prawie w miejscu, kładąc motocykl całkowicie na bok i jakimś nieprawdopodobnym cudem albo sposobem znanym tylko sobie wciąż utrzymując się na maszynie. Wyprostował, poderwał przednie koło i wrócił po Kościeja, który gładko

wskoczył na miejsce za przyjacielem, za oparcie dla stopy wykorzystując metalowy uchwyt za siedzeniem. Jadąc dęba, pognali z powrotem lunaparkową uliczką.

Pablo cisnął krótkofalówką i ukrył twarz w dłoniach.

Nie, to zdecydowanie nie miało tak wyglądać.

* * *

Studjent wstał i wytarł skrwawione ręce w spodnie. Leżący u jego stóp człowiek Castora, teraz niemal pozbawiony twarzy, jęknął coś, wodząc kikutem rozgryzionego języka po rozgniecionych na miazgę wargach. Chłopiec popatrzył na niego z pogardą i splunął wprost na opuchnięte oko.

– Mamy jakiś plan, co robimy dalej, czy po prostu czyścimy do końca? – zapytał stojącego nieopodal Kędziora, który już dawno uporał się ze swoimi oponentami i teraz czekał z założonymi rękami.

– Na razie szukamy Bliźniaków i Kruszyny. A potem... No cóż, mam w stodole niespodziankę na otwarcie lunaparku i myślę, że będzie w sam raz, by zrobić tu trochę zamieszania.

Studjent się wyszczerzył.

– No to, Kukuryku, że ja pierdolę, brachu. Brakowało mi tego jak nie wiem, powiem ci.

Rozłożył ręce i wyprężył pierś, by zadudnić w nią pięściami, wznosząc kolejny indiański okrzyk. Zostało mu z czasów, kiedy jako szczeniak obejrzał pod rząd *Tarzana* i *Tańczącego z wilkami* i trochę mu się pojebało fabularnie, a potem nie dawał sobie wytłumaczyć, że jest inaczej. Nabrał więc powietrza, zadarł głowę...

I dostał bełtem w pierś.

– Co do kurw... – stęknął, lekko się zataczając.

Wbiły się w niego dwa kolejne bełty.

Kędzior zorientował się za późno. W półmroku dopiero trzeci świst uzmysłowił mu, co się dzieje. Gdy tylko zdał sobie z tego sprawę, natychmiast rzucił się na przyjaciela, by powalić go bokiem na ziemię i jednocześnie nie wbić drewnianych pocisków głębiej. Nawet się nie zorientował, że podczas tej akcji ratunkowej sam zarobił w ramię. Patrzył tylko na przyjaciela bez słowa.

– Indianie – szepnął Studjent, a potem zaniósł się krwawym kaszlem. Z jego ust wyleciały różowe bąbelki. – Wiedziałem, że to będą Indianie.

A potem po prostu zamknął oczy.

Kędzior zacisnął zęby i szybko zamrugał, by pozbyć się łez. Zaraz jednak usłyszał kolejny świst, więc przetoczył się, wciągając na siebie Studjenta. W samą porę. Nadleciały dwa bełty, z których jeden utkwił w ziemi, a drugi w plecach trupa.

Mają niezłego cela, pomyślał olbrzym. Skąd lecą strzały? Pewnie z góry, ale też niespecjalnie z daleka, bo noc, ciemno i z daleka nie podołałby nawet Wilhelm Tell. Zatem...

– Młyn! – powiedział na głos.

Zaryzykował uniesienie głowy i zerknął w tamtą stronę. Rzeczywiście, gdy zmrużył oczy, na jednym z wagoników dostrzegł grupę złożoną z trzech ludzi. Jeden z nich mierzył z kuszy właśnie w tę stronę.

No i co teraz, Kędzior, cwaniaku, pomyślał. Ryzykujesz kolejny bełcik i spuścisz im wpierdol czy będziesz leżał jak ta pizda?

Oczywiście znał odpowiedź na to pytanie, zanim je zadał. Dwa razy odetchnął głośno i już miał się zerwać, gdy nagle dostrzegł, że spomiędzy drzew wystrzeliła jakaś postać, wzniosła się w powietrze i zatrzymała na wysokości wagonika. Następnie oddała kilka strzałów na przemian z dwóch pistoletów. Dopiero w rozbłys-
kach broni Kędzior w latającym egzekutorze rozpoznał Stalówkę.

Aż sapnął z wrażenia. To łysol ma jeszcze jakieś miłe myśli?!

Nie poświęcając jednak tej refleksji dłuższej uwagi, zrzucił z siebie ciało Studjenta, otrzepał spodnie i pognał w stronę szopy stojącej na tyłach domu. To przedstawienie zdecydowanie powinno się już kończyć.

* * *

Stalówka opadł na ziemię i schował pistolet do kabury, drugi podał Mikołajowi i uśmiechnął się.

– Nie mów Kędziorowi, ale zawsze chciałem zrobić coś takiego.

Gruby brodacz pociągnął się za brodę i zawołał basem:

– Ho, ho, ho! I tak oto Mikołaj pomógł spełnić marzenie kolejnego Chłopca.

Albinos parsknął.

– Pożyczyłeś mi tylko spluwę i trochę proszku. Gdzie Kaprys?

– Napadły go jakieś laski przy wagoniku. Mówił, że rzuciły się na niego jak dzikie, ale on tak lubi, więc wiedział, jak się zachować. Teraz zabrał je do budynku.

– OK. – Stalówka pokiwał głową. – Szukamy reszty i robimy trochę porządku, bo jak mama wróci, to się wkurwi.

– Tym się teraz martwisz najbardziej?!

Albinos spojrzał na niego zdumiony.

– A co jest ważniejsze?

Mikołaj potrząsnął głową, ale nie odpowiedział.

* * *

Kędzior dopadł do stodoły i mocnym szarpnięciem zerwał solidnie wyglądający skobel. Odchylił skrzyd-
ło bramy i spojrzał na stojącą w środku platformę. Jej boczna ściana

wystylizowana była na burtę statku, a znad niej w równym szeregu wystawały armaty.

Olbrzym wziął się pod boki.

– Wyglądacie prześlicznie, złotka – powiedział.

Wziął głęboki oddech, a potem podszedł do platformy i wykopał drewniane kołki spod kół. Następnie złapał za łańcuch i szarpnął mocno. Platforma drgnęła, najpierw tylko odrobinę, ale z kolejnym szarpnięciem ruszyła już płynniej.

Kędzior odwrócił się, wziął łańcuch na ramię. Sapiąc i postękując głośno, zaczął ciągnąć wielką, obciążoną armatami platformę.

* * *

Nadchodził świt, a wraz z nim sprawy były coraz bliżej rozstrzygnięcia. Około piątej rano zginął Staccato – jedna z przerażonych dziewczyn skoczyła na niego i dźgnęła go nożem w szyję. Wężowi próbowali zastawić pułapkę na Milczka i Kościeja, ale to było jak próba łapania tornada wirującego w fabryce żyletek – miejsca, gdzie ci dwaj odstawiali swe kozacko-akrobatyczne tańce, znaczyły poodcinane kończyny i kałuże krwi.

Nieopodal jeziora Drugi, słaniając się na nogach, bronił nieprzytomnego brata przed zdeterminowanymi niedobitkami Wężowych, którzy mieli do wyboru albo walczyć z Bliźniakiem, albo dołączyć do wciąż rosnącego stosu przeciwników Kruszyny. Trzeba było uczciwie przyznać, że opcja ucieczki za jezioro, tchórzliwa acz rozsądna, przyszła do głowy naprawdę niewielu z nich.

Z pierwszym brzaskiem Mikołaj dorwał Pabla i przyniósł go Stalówce w wielkim worku, znowu pokrzykując „ho, ho, ho”. Albinos uznał to za zakończenie walk i poszedł uruchomić lunaparkowy radiowęzeł.

* * *

Kędzior po raz kolejny przystanął, by złapać oddech. Lało się z niego, jakby właśnie wyszedł z rzeki, kurtkę już dawno powiesił na platformie. Był wykończony, ale nie przestawał, bo co to będzie za efekt! W sam raz, by uczcić śmierć Studjenta. Armaty biją na głowę nawet kuszę, trzeba być idiotą, by tego nie wiedzieć!

Nagle rozległ się głośny skrzek. Olbrzym natychmiast odskoczył na bok i spiął mięśnie, ale okazało się, że to tylko radiowęzeł. Po chwili z głośnika rozległ się głos Stalówki:

– Wystarczy. Chłopcy. Wystarczy.

Tylko tyle, ale Kędzior już widział, że po przeciwnej stronie jeziora wielu to rzeczywiście wystarczyło. Pojedyncze sylwetki i małe grupki wychodziły z ukrycia, niektórzy nawet z podniesionymi rękami.

Kędzior z rezygnacją patrzył najpierw na te sylwetki, a potem na swoje armaty. Wreszcie zrezygnowany usiadł na ziemi i zaplótł ręce na piersi.

– Kurwa – mruknął, marszcząc czoło. – Chrzań się, Stalówka, pierdolony zabawojebie.

* * *

Nocny SMS nie ukoił snu Dzwoneczka na długo. Kilka minut po szóstej zerwała się z łóżka i sięgnęła po telefon. Wybrała jedynkę na szybkim wybieraniu, co oznaczało Stalówkę.

– Tak? – odezwał się po ledwie jednym sygnale całkowicie przytomny, co nie wróżyło dobrze.

– Chciałam tylko wiedzieć, czy naprawdę wszystko u was w porządku, ta wiadomość w nocy...

– Nie było w porządku – odparł spokojnym głosem Stalówka. – Wiele się zmieniło. Ale opanowaliśmy sytuację.

– Kędzior wytoczył swoje największe działa?

Przez chwilę w telefonie panowała cisza.

– Wiedziałaś?

– O czym?

Stalówka zaśmiał się cicho.

– Aa, z tymi działami to metafora taka? No więc tak, Kędzior wytoczył swoje największe działa, mamo. Ale tym razem to nie on spowodował całe zamieszanie.

Dzwoneczek przełożyła telefon do drugiej ręki i prawą sięgnęła do stoliczka, skąd wzięła paczkę papierosów. Chrzanić Paragona! Zapaliła i zaciągnęła się dymem.

– Mam przyjechać? – zapytała.

– Jak już załatwisz sprawy – powiedział Stalówka. – Sytuacja naprawdę jest opanowana, ale teraz musimy posprzątać. Chwilę nam to zajmie.

– Poproszę Paragona, żeby mnie odwiózł i...

– Nie! – warknął Stalówka, zaraz się jednak opamiętał. – Nie, Dzwoneczku – powtórzył już spokojniej. – Naprawdę wystarczy nam tu obcych.

Chciała zaprotestować, powiedzieć, że Paragon nie jest obcy, ale albinos już się rozłączył.

Dzwoneczek siedziała jeszcze przez chwilę, gapiąc się na zawieszony na ścianie naprzeciw plakat z *Casablanki*. Paliła mach za machem, zupełnie nie zważając na to, że popiół spada na kołdrę. Minęła też chwila, zanim zorientowała się, że w progu jej pokoju stoi Monika.

Dzwoneczek spojrzała najpierw na nią, potem na trzymanego w ręce papierosa.

– Przepraszam.

Monika machnęła ręką i obejrzała się za siebie.

– Mnie nie przeszkadza, a Paragon chyba ci nie podskoczy, nie? – powiedziała. – Mogę?

Dzwoneczek włożyła zapalniczkę do paczki i rzuciła w jej stronę. Monika złapała w locie.

– Kłopoty w Nibylandii? – zapytała, wyciągając papierosa.

W kusej podomce, z burzą kręconych włosów i papierosem w ustach wyglądała oszałamiająco.

– Trochę – odparła Dzwoneczek. – Zostaw dzieci same, sama rozumiesz...

Monika potrząsnęła głową.

– Chyba nie. Jestem jedynaczką, a nie możemy mieć swoich – powiedziała spokojnie, choć dało się w tych słowach usłyszeć drobne ziarenka soli spadające na niezaleczoną ranę. – Ale przydadzą mi się porady i cudze doświadczenia, bo chcemy adoptować parę. Jak ty.

Dzwoneczek parsknęła śmiechem.

– No, ze mnie to akurat przykładu nie bierz, słoneczko.

– Dlaczego? – zdziwiła się Monika. – Paragon ci się udał.

Coś zaszurało za jej plecami. A zaraz potem w drzwiach pojawił się wywołany gospodarz.

– Co się udał... hej, papieros? – W ostatnie słowo włożył taką dawkę pogardy, że wręcz nią ociekało.

– Chciała być grzeczna i miła dla gościa, prawda, Moniko? – powiedziała Dzwoneczek.

Odrzuciła kołdrę i złapała za sukienkę leżącą na szafce. W samej bieliźnie ruszyła w stronę łazienki. Przechodząc koło Paragona, musnęła go zewnętrzną stroną dłoni po nieogolonym policzku. – No już, bez awantur, Paragon. Jak zaczniesz ją źle traktować, słowo daję, biorę ją dla siebie. I szykuj się, bo mała zmiana planów.

– To znaczy?

– Chcę jak najszybciej wracać – wyjaśniła Dzwoneczek. – A to oznacza, że musimy się z całą sprawą uwinąć przed jedenastą.

* * *

Około dziewiątej trzydzieści Dzwoneczek, ubrana w czarną, elegancką sukienkę i narzucony na ramiona żakiet, stawiła się w recepcji wieżowca Saphire. Bez trudu przekonała młodego recepcjonistę, że godzina jej spotkania musi być jakąś pomyłką i ona jest zgodnie z rozkładem. Dodała do tego kilka uśmiechów, zwiewnych ruchów ręką i oczywiście napisany pospiesznie jakiś numer telefonu. W zamian dostała plakietkę gościa z opcją wjazdu na czterdzieste trzecie piętro. Kolejne kilka uśmiechów powędrowało do ochroniarza przy windzie, a potem do dwóch młodych chłopaków w garniturach, którzy towarzyszyli jej przez krótką podróż do góry.

Wreszcie Dzwoneczek znalazła się na właściwym piętrze i ruszyła jasno oświetlonym korytarzem w stronę przeszkolonych drzwi. Pewnie je pchnęła i weszła do środka.

Miała szczęście, bo prezes Niedźwiedzki – mężczyzna wielki, jak zobowiązywało nazwisko, o gęstych włosach, które płynnie przechodziły właśnie z koloru wypłowiałej słomy w szlachetniejszą, srebrzystą biel – akurat flirtował z drobniutką, zgrabną sekretarką.

Zapewne dobierał ją sam, pomyślała Dzwoneczek. Więc to, że jest ruda, to dobry znak. Równie budujący był fakt, że ledwie tylko poruszyły się drzwi, prezes, do tej pory pochylony nad biurkiem, wyprostował się gwałtownie i poprawił marynarkę.

– Pani do mnie? – zapytał rzeczowym, mocnym głosem.

– Tak, panie dyrektorze – odparła Dzwoneczek.

Ruszyła przez pomieszczenie w stronę otwartych drzwi do przestronnego gabinetu. Te nie były już przeszklone.

– Tak, byłam umówiona. Możemy?

Kątem oka dostrzegła, że prezes wymienił z sekretarką zdziwione spojrzenia. Zaraz jednak Niedźwiedzki wyszczerzył się w swym wartym dziesiątki tysięcy uśmiechu i podążył za Dzwoneczkiem.

– Oczywiście, akurat mam chwilę.

Gabinet prezesa miał, przynajmniej w założeniu projektanta, łączyć w sobie tradycję i nowoczesność. Stąd pewnie wielkie, dębowe biurko i obite skórą fotele w zestawieniu z niekształtnymi posążkami i obrazami złożonymi z kolorowych, geometrycznych figur. Jedną ze ścian stanowiło wielkie okno z cudowną panoramą miasta. Dzwoneczek wyczytała gdzieś, że prezes Niedźwiedzki zablokował inwestycję pewnego developera tylko dlatego, że nowy wieżowiec zasłaniałby mu widok. To pasowało do niego bardziej niż zdjęcia rodziny stojące na biurku.

Widocznie prezes doszedł do tego samego wniosku, bo gdy już zamknął drzwi i stanął po swojej stronie blatu, dyskretnie położył największą ramkę zdjęciem do dołu. Dopiero wtedy uniósł głowę i ponownie się wyszczerzył, mierząc Dzwoneczka od stóp do głów.

– No dobra, skarbie – powiedział. – Kto cię przysłał i komu mam dziękować?

Dzwoneczek usiadła na poręczy fotela i założyła nogę na nogę. Kusa sukienka podjechała do góry, ale wróżka jej nie poprawiła.

– Nie jestem dziwką zamówioną przez pańskich kolegów, panie prezesie – odpowiedziała z półuśmiechem na twarzy. – Przyszłam w sprawie decyzji kredytowej.

Uśmiech natychmiast zszedł z twarzy Niedźwieckiego; palec powędrował w stronę przycisku interkomu.

– Nie trzeba – stwierdziła Dzwoneczek. – Naprawdę. Jak powiedziałam, nie jestem dziwką, ale na pana miejscu nie lekceważyłabym zapału i

umiejętności zdesperowanej kobiety. To może być nawet... – przygryzła wargę i na moment opuściła wzrok – ... przyjemniejsze.

Niedźwiedzki patrzył na nią przez chwilę, trudno stwierdzić, czy bardziej rozważając jej słowa, czy rozbierając ją wzrokiem. Wreszcie cofnął rękę od interkomu i wyraźnie się odprężył. Wyciągnął z kieszeni lewą dłoń uzbrojoną w małego pilota.

– Słonko, jeśli masz tam, na tych ślicznych cycuszkach podsłuch, kamerkę w majtkach czy cokolwiek jeszcze – powiedział – to uprzedzam z góry, że właśnie włączyłem zagłuszanie wszystkich takich zabawek i na nic ci się ta cała maskarada nie zda. Zatem...

Dzwoneczek wstała i rozpięła zamek sukienki, następnie kilkoma sprawnymi ruchami zrzuciła ją z siebie, pozostając w samej bieliźnie. Przechyliła lekko głowę.

– Widzi pan jakieś kable, panie prezesie? – zapytała. – Bo ja nie, za to, mówiąc szczerze, bardzo chętnie bym się jednemu przyjrzała.

Skinęła na niego palcem, a prezes oblizał wargi, po czym nagle wybuchnął śmiechem. Obszedł jednak biurko i stanął tuż przed nią. Ręką przejechał po jej gładkim udzie.

– Dziewczyno, jeśli myślisz, że to załatwi ci kredyt, którego nie dali ci moi specjaliści...

– Proszę tylko o ponowne rozpatrzenie sprawy – odparła Dzwoneczek.

Odsunęła jego rękę i powoli zsunęła się na kolana. Pewnym ruchem rozpięła prezesowi najpierw pasek, potem spodnie i delikatnie zsunęła je do kostek. Następnie przejechała ręką po jego slipach.

– I tak, myślę, że to powinno załatwić mi kredyt.

Wyciągnęła naprężonego, pokrytego żyłami kutasa, przejechała po nim ręką tam i z powrotem, po czym pochyliła się, otwierając usta.

Trwała tak przez moment, a potem ścisnęła penisa u nasady i puściła go. Wstała, wytarła rękę o marynarkę prezesa i sięgnęła po sukienkę.

Niedźwiedzki popatrzył na nią zdziwiony.

– Co robisz? – zapytał.

– Jak to co? – zdziwiła się Dzwoneczek. – Ubieram się. Panu też radzę, prezesie. Głupio załatwiać sprawy kredytowe ze spodniami na kostkach. Chyba że to taki tutejszy zwyczaj.

Prezes aż zamrugał. Wyglądał, jakby właśnie dostał w twarz. Trzeba mu jednak przyznać, nie trwało to specjalnie długo. Zaraz bowiem zaczerwienił się i zmrużył oczy.

– Jeśli sobie, kurwo, myślisz, że można tak ze mną pogrywać, to się grubo mylisz. Słyszysz? Grubo, kurwa, mylisz!

Dzwoneczek dopięła sukienkę, po czym podeszła do prezesa z uśmiechem na twarzy. Wsunęła nogę między jego nogi i przejechała udem po jego udzie.

– Już panu mówiłam, prezesie – powiedziała, zadzierając głowę do góry, by spojrzeć mu w oczy. – Nie jestem kurwą.

Z całej siły cofnęła nogę, szarpiąc za zwisające u kostek spodnie. Jednocześnie pchnęła prezesa tak, że poleciał do tyłu, prosto na swoje biurko. Wtedy kopnęła go w odsłonięte krocze i cofnęła się o krok.

– Radzę popracować nad zabezpieczeniami, prezesie – powiedziała. – Jak już pan je wyłączy, polecam sprawdzić maila. Zdjęcia i filmik, które pan tam dostał, wyglądają zdecydowanie bardziej atrakcyjnie niż to, co tu właśnie nastąpiło, ale mam wrażenie, że pańska cudowna małżonka będzie miała na ten temat nieco inne zdanie. A biorąc pod uwagę to, kto w waszym związku... – zrobiła pauzę, by zmierzyć prezesa wzrokiem od stóp do głów – ... nosi spodnie, obstawiam, że konsekwencje ewentualnego wycieku fotografii mogą pana zaboleć bardziej niż ten niewinny kopniak. Do widzenia, prezesie.

Niedźwiedzki nie odpowiedział, ale ledwie Dzwoneczek wyszła, schylił się, by podciągnąć spodnie i wcis-
nąć przycisk w pilocie. Następnie powoli, z trudem, obszedł biurko i włączył w laptopie program pocztowy. Rzeczywiście, dostał nowy e-mail, a

w nim, oprócz numeru sprawy do ponownego rozpatrzenia, zdjęcia i wideo z minionej właśnie sytuacji. Jak powiedziała, wszystkie one wyglądały na dość jednoznaczne.

Tym, co zdziwiło prezesa najbardziej, była jednak pozycja fotografa.

Wyglądało, jakby unosił się za oknem.

* * *

Dzwoneczek opuściła budynek i przeszła na drugą stronę ulicy. Tam w kawiarni zamówiła podwójne espresso, sernik i orzechową latte. Paragon dołączył akurat, gdy kawa pojawiła się na stoliku.

– Jak się latało? – zapytała i zanim to zrobił, wiedziała już, co odpowie.

– Zimno – stwierdził. – Nie wiedziałem, że na tej wysokości jest tak kurewsko zimno.

Odchyliła głowę i się roześmiała.

– Nie narzekaj. Ja miałam w tym układzie bardziej chujową robotę.

– To fakt. – Paragon również się uśmiechnął. Coś zabrzęczało w jego kieszeni, więc wyciągnął telefon i zerknął na nową wiadomość. – Mail od prezesa. Potwierdza, że załatwi sprawę, ale nie da się więcej szantażować. Każe ci się też pierdolić.

– A to akurat nie taka głupia myśl. – Dzwoneczek upiła kawy, po czym zerknęła na zegarek. – Podrzucisz mnie na dworzec?

– Jasne.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, sącząc kawę i patrząc wszędzie, tylko nie na siebie. W końcu Dzwoneczek odstawiła filiżankę.

– Wiesz, kiedy tu jechałam, myślałam, czy może... – zawahała się. – Czy nie chciałbyś...

– Wrócić? – podpowiedział.

– Tak.

Paragon przejechał ręką po twarzy, zupełnie niechcący eksponując złotą obrączkę.

– Każdego dnia o tym myślę przez minutę, dwie – stwierdził. – Gdy muszę zrobić coś, co jest gówniane, bezsensowne i dorosłe, od pierdolonego golenia po użeranie się w urzędach. Chciałbym móc załatwić to jak kiedyś albo w ogóle nie załatwiać, bo przecież jesteś. Ale potem pojawia się...

– Monika?

Pokręcił głową.

– Nie, Dzwoneczku. Potem pojawia się wizja was, zawieszonych w czasie, w tym waszym lunaparku, wiecznie dziecięcych, zaplątanych w magię, Skróty i odwieczne wojny z dawnego świata. Jak możesz mówić o tym, że jesteście wolni, gdy tak naprawdę tkwicie w klatce?

Nie odpowiedziała. Dopiła kawę, spojrzała na zegarek na ścianie.

– Wiesz co, Paragon? Chyba wezmę taksówkę – powiedziała, wstając.

– Jasne – skinął głową, obracając kubek. Nie patrzył już na nią, mówił też jakby nie do niej. – Dużo o tym myślałem. Nie tylko w ciągu ostatniej doby, ale przez te wszystkie lata. Dziś wreszcie pomogła mi moja szczęśliwa myśl. Ta, dzięki której wzbiłem się w niebo.

Dzwoneczek zawahała się przez moment, w końcu jednak ciekawość zwyciężyła.

– Jaka to myśl? – zapytała.

– Że znalazłem swoją Drogę – odparł. – I że jestem wolny.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Dziękuję za to, Dzwoneczku. Dziękuję i do zobaczenia.

– Proszę, Paragon – odpowiedziała uśmiechem gorzkim jak kawa, którą właśnie wypiła. – I żegnaj.

Położyła mu rękę na ramieniu, ścisnęła raz, po czym odwróciła się i wyszła, nie oglądając się za siebie.

* * *

Przeszło dwie godziny zajęło Chłopcom zebranie wszystkich ciał i usypanie ich na dwa stosy. Na jednym leżeli ci, którzy polegli, walcząc po stronie Zegara, na drugim członkowie Battlesnakes oraz ludzie od Castora i Pabla.

To były naprawdę wysokie stosy i nikomu z ocalałych Chłopców jakoś nie dodawał otuchy fakt, że ten usypany z braci jest jednak sporo mniejszy.

Gdy skończyli układać zwłoki i polewać je benzyną, ustawili się w ogromnym półkolu złożonym z trzech rzędów – z przodu najstarsi chłopcy, w ostatnim Dzieciaki – i w milczeniu patrzyli przed siebie. Pomiędzy obydwoma stosami klęczeli uwiązani Wężowi i zdrajcy, którym nie udało się uciec. Na samym przedzie Pablo, solidnie skatowany, ale wciąż żywy i przytomny.

Stalówka podszedł do niego, przykucnął, odpalił papierosa. Złapał byłego Chłopca za brodę i odwrócił, by pokazać mu najpierw jeden, a potem drugi stos.

– Żaden proszek nie był tego wart – stwierdził. – Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – wybełkotał Pablo, choć w jego rozkwaszonej, pozbawionej zębów wersji brzmiało to raczej jak „łjem”.

– Chcieliście odejść? Wystarczyło już nigdy tu nie wracać – kontynuował Stalówka – jak wielu przed wami i pewnie wielu po was. Nie trzeba było stawać przeciwko nam.

Puścił brodę Pabla i wsunął mu do ust papierosa. Przytrzymał, by tamten mógł się zaciągnąć, poklepał po plecach, gdy się zakrztusił. Wreszcie wstał.

– Gdybyś tylko próbował nas okraść, puściłbym cię – powiedział. – Pozwoliłbym, byś tłumaczył się prezydentowi swojego klubu z niepowodzenia. To samo, gdybyście wraz z Castorem spróbowali tylko

zbuntować chłopaków. Kto by odszedł, ten by odszedł, reszta trwałaby nadal. I tak każdy w zasadzie przechodzi na swoje.

Obejrzał się za siebie, popatrzył na równe rzędy Chłopców i stojących za nimi Dzieciaków. Splunął.

– Ale ty postanowiłeś, wy postanowiliście za wszelką cenę pokazać im, że nie da się wiecznie być dzieckiem. Tylko że to jest Nibylandia, Pablo. Tu jesteś albo dzieckiem... Albo piratem.

Pablo nie odpowiedział, kołysał się tylko miarowo, w przód i w tył, w przód i w tył, pojękując cicho.

Albinos raz jeszcze splunął, po czym uniósł rękę i za chwilę koło niego znalazł się Mikołaj z dwoma Chłopcami. Każdy z nich obwieszony był pasami na amunicję pełnymi strzykawek.

– Powinni to zrobić Bliźniacy i Kruszyna, bo im oberwało się od was najbardziej, ale muszę wam przyznać, udało wam się całą trójkę wysłać do szpitala. W dodatku kradzioną karetką Kędziora, czego Bliźniacy nie darują ci nigdy. Na szczęście to już nie będzie wtedy twój problem.

Wziął od Mikołaja pierwszą ze strzykawek, znowu przykucnął, odsłonił przedramię Pabla i wbił mu igłę w napęczniałą żyłę. Docisnął tłok do końca.

– Nie bój się, to czysty towar – zapewnił. – Znaczy chyba, bo znaleźliśmy to przy motocyklach ukrytych w lesie. To wasze, nie? Miały węże na bakach.

Mikołaj i pozostali wzięli się do szprycowania pozostałych jeńców. Kilku szarpało się przez moment, większość jednak była zbyt zmęczona i przyjęła to z bierną obojętnością.

Stalówka po raz kolejny się podniósł, po czym obszedł Pabla i sprawdził stalową linkę przywiązaną do jego stopy. Taką samą, z jednej strony przywiązaną do kostki, a z drugiej wbitą kołkiem w asfalt, miał każdy z jeńców.

– Milczek?!

Niemowa zjawił się jakby znikąd i zrobił pytającą minę.

Stalówka dostrzegł na jego piersi starannie przyszytą od góry odznakę z wielkim „B”. Wskazał na nią.

– Powinieneś to oddać Bliźniakom, jak wrócą. Albo Kruszynie. Oni dopiero dali czadu.

Milczek poruszył powoli głową w jedną i drugą stronę, jakby chciał powiedzieć „może”, ale zaraz stanowczo nią potrząsnął.

Stalówka uśmiechnął się smutno.

– Mikołaj na znak zapali stosy. Oba równocześnie, bo wszyscy są równi w obliczu największej z przygód, nie?

Milczek wzruszył ramionami.

– Tak czy owak obserwuj naszych wesołków. Jak tylko ten syf zacznie działać, a w ich głowach pojawią się szczęśliwe myśli... wiesz, co zrobić.

Niemowa pokiwał głową i odwrócił się na pięcie. Stalówka powiódł wzrokiem po ocalałych szeregach, po czym ruszył alejką w stronę platformy Kędziora.

– Wyjąłeś kule? – zapytał, gdy znalazł się już w zasięgu olbrzyma.

Ten skinął głową.

– Jak kazałeś – powiedział. – Choć cały czas sobie myślę, czy jak oni już będą... no wiesz. To czy nie lepiej ich potem z armaty...

– To ma być salut, nie strzelanie do rzutek, Kędzior – odparł Stalówka. – Salut dla Studjenta, dla Staccato i innych. Po prostu ich pożegnajmy, co? Bez dodatkowych atrakcji.

Kędzior poskubał się po brodzie, otworzył usta, ale zaraz je zamknął i ponownie skinął głową.

– To co, pomożesz mi? – zapytał.

Stalówka wskoczył na platformę i ustawił się obok olbrzyma.

– Po to tu jestem, bracie.

Odpalili pierwszą armatę, a zaraz potem zza lini drzew dostrzegli najpierw płomienie, a potem falujące powietrze. Rozległ się też głośny,

wręcz histeryczny śmiech dochodzący najpierw z jednego gardła, a potem następnych.

Huknęła kolejna armata.

Wtedy nad linię drzew zaczęły wznosić się ludzkie baloniki. Jeden za drugim, uwiązane na stalowych linkach, ze skrępowanymi rękami i nogami, zanoszące się śmiechem. Wiatr kołysał nimi tym mocniej, im wyżej się wznosili.

Stalówka odpalił armatę. I jeszcze jedną. Kędzior huknął dwoma ostatnimi.

– Nie zgrillują się od tych stosów? – zapytał.

– Nie sądzę – odparł Stalówka. – Są dużo wyżej, niż sięga żar.

Olbrzym wyjął z kieszeni metalową blaszkę w kształcie policyjnej odznaki z literą „B” pośrodku, wytarł ją o spodnie i położył na wyciągniętej ręce.

– Jak sądzisz, co mam z tym zrobić? – zapytał.

Stalówka obejrzał się na niego i uśmiechnął. Szczerze, sympatycznie. Zupełnie jak nie on.

– Zatrzymaj, zasłużyłeś.

– Studjent bardziej.

– Tak – zgodził się albinos – ale on nie żyje. Gdy umierasz, wypadasz z konkursu. Albo po prostu startujesz w nowym, o inne nagrody. Kurwa, nie wiem, Kędzior. Naprawdę nie wiem...

Raz jeszcze popatrzył na ludzkie baloniki, doros-
łych, którzy za sprawą narkotyku na moment znów stali się dziećmi.

W końcu proszek czy wesołek przestaną działać, pomyślał. A wtedy dorosną.

Szybko i boleśnie.

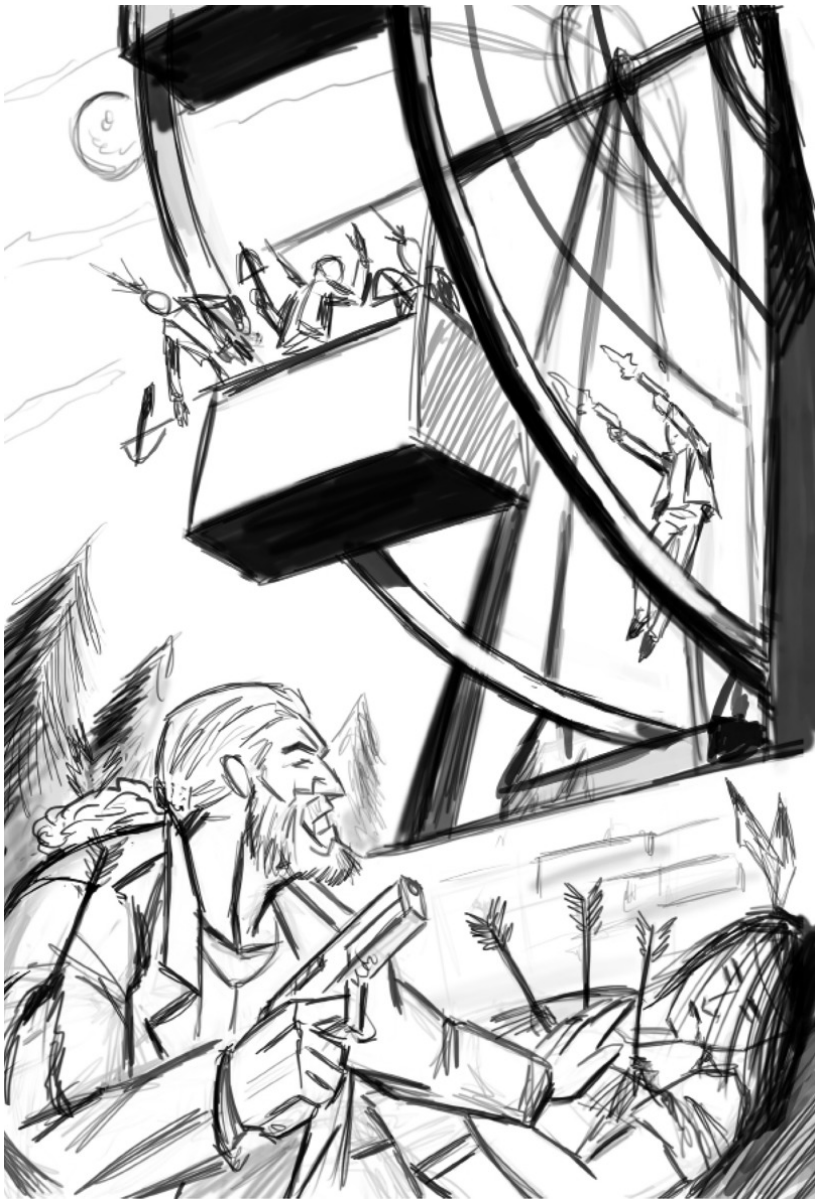

KOCI ŁAPKI

Tej nocy Kot źle wybrał łóżko. Już około ósmej obudziły go wpadające przez okno promienie słońca. Prychnął na nie, spróbował z siebie strącić, ale nie ustępowały, więc na moment wywalił się na grzbiet, prezentując słońcu podbrzusze, wreszcie przetoczył się jeszcze raz tam i z powrotem, a potem wyciągnął się, wypinając zad. Liznął się po łapie, raz, od niechcenia, potem tą samą łapą przejechał po pysku. Wreszcie wyprężył grzbiet, wytrząsnął resztki snu i zeskoczył na śpiącego na podłodze Dzieciaka.

Ten mruknął coś pod nosem, nie otwierając oczu, uniósł lekko głowę i po omacku nakrył się kocem. Przy okazji nakrył też Kota, któremu wyraźnie było to nie w smak. Ani przykrywanie, ani fakt, że skulony na podłodze chudy rudzielec najwyraźniej miał zamiar nadal spać. Bo Kot mógł mieć przecież plany, a to, że akurat ich nie miał, niczego nie zmieniało!

Wrócił na łóżko i rozejrzał się dookoła. Trzej pozostali lokatorzy pokoju – Dzieciaki jak ten na podłodze, ale tej nocy mający po prostu więcej szczęścia – wciąż spali w najlepsze, chrapiąc i popierdując w dawno nieprane śpiwory. Ich ciuchy, te, których Kot nie wziął sobie akurat na posłanie, walały się po całym pomieszczeniu, zwisały nawet z lampy. Było to, zdaniem Kota, na swój sposób kuszące. Trochę jak zabawka z pluszową myszką na nitce. Albo wisielec.

Teraz jednak nie było czasu na zabawy, więc zwierzak spojrzał jeszcze tylko w lustro, po czym wystawił pazury i... skoczył z materaca prosto na piegowatą twarz Dzieciaka.

Nie wbił się specjalnie mocno, uważał też na oczy, ale i tak reakcją był wrzask i rodeo. Tak Kruszyna nazywał sytuację, gdy ktoś znienacka zaatakowany przez Kota usiłował go z siebie zrzucić. Zwykle bez powodzenia.

Tym razem jednak żadna ze stron nie miała ochoty na zabawę, więc skończyło się na paru chwilach stłumionych okrzyków, skakania po pokoju do wtóru przebudzonych i rozbawionych współlokatorów. Wreszcie nastąpił atak kaszlu, gdy odrobina sierści dostała się rudemu nieszczęśnikowi do gardła. Dopiero wtedy Kot schował pazury, opadł zgrabnie na ziemię, wskoczył na łóżko i przetoczył się po nagrzanym słońcem materacu. Opadł na łapy i zadarł do góry łeb, prezentując szyję.

– Chce, żebyś założył mu krawat – podpowiedział żylasty łysol z tatuażem róży na karku.

Sądząc po głosie, świetnie się bawił kosztem kolegi, więc Kot łypnął na niego, postanawiając, że kolejną noc spędzi również w tym pokoju, ale już na innym łóżku. To należące do łysola stało przy drzwiach, więc poranne słońce nie stanowiło problemu.

– No, kurwa, nie mów – warknął Rudy.

Mimo to nie ruszył się z miejsca od razu. Potrzebował chwili, by uspokoić rozszalałe serce i otrzeć ślady krwi z twarzy. Dopiero wtedy trzęsącymi się rękami zdjął z oparcia łóżka mały, czerwony krawacik i nałożył go na szyję Kota.

– Proszę, Panie Proper.

Kot otarł się pyszczkiem o jego rękę i wyprężył ogon. Nie znaczyło to żadną miarą „przepraszam”, co to, to nie. Raczej: „Nie byłeś całkiem beznadziejny, Dzieciaku”.

Zeskoczył na podłogę i dumnie, wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Był głodny.

* * *

Po drodze do kuchni zauważył, że drzwi do sali makietowej są uchylone. Przystanął i przechylił lekko łebek. Lubił to miejsce, a rzadko miał okazję, by tam wejść i poprzestawiać figurki na makiecie, co tak bardzo denerwowało Kędziora. Kot nie lubił rudowłosego olbrzyma, samozwańczego opiekuna makiety, i tylko dlatego tak się zwykle starał nie przewracać ludzików, a raczej łapać je zębami za główki i przeciągać na drugi koniec wielkiej mapy. Zbrodnia doskonała – podczas szukania winnych nikt nie brał pod uwagę złośliwej pomysłowości Kota, więc ostatecznie Kędzior wkurzał się na Bliźniaków, najbardziej oczywistych podejrzanych, za którymi Pan Proper również nie przepadał, bo każdej zimy rzucali w niego śnieżkami. Zwycięstwo, jakkolwiek na to spojrzeć.

Jedynym, co powstrzymywało teraz kocią złośliwość, był nie głód, a dochodzące z wnętrza makietowej głosy. Oba należały do jedynych osób, których Kot się... nie, w zasadzie nie bał. Jedynych, które w całym tym zwariowanym miejscu naprawdę szanował. Dzwoneczek i Stalówka. Ona była prawie kocia, on miał oczy drapieżnika... no i właśnie głos. Tak szorstki i chropowaty, że Kot chętnie by się o niego otarł.

– Okup? Zażądałaś od nich okupu?! – pytał właśnie tym głosem, wyraźnie podekscytowany. I zły. A także... przestraszony? – Ty masz pojęcie, jak wielki jest to klub? Gdyby nagle wszyscy postanowili zwalić się nam na głowę...

– Toby się tutaj nie zmieścili, a my wystrzelalibyśmy ich z drzew jak partyzantka – odparła Dzwoneczek. – I przestań mówić do mnie tym tonem, Stalówka. Battlesnakes mogą sobie być wielcy, ale po pierwsze: nikt ich nie lubi za takie właśnie numery, po drugie: co, twoim zdaniem, miałam zrobić? Przeprosić, że broniliście swego i że spuściliście wpierdol bandzie chłystków atakujących pod osłoną nocy? Okup za znalezione motocykle i

kamizelki i tak nie pokryje poniesionych przez nas kosztów. O przywróceniu do życia...

Przerwała na moment i Kot usłyszał tylko szuranie figurek po stole. Przechylił łebek w drugą stronę i zafalował ogonem. Rzeczywiście miała w sobie coś z kota.

– Poza tym nie ma już o czym rozmawiać – podjęła Dzwoneczek po chwili. – Zgodzili się, a ich prezydent wydawał się szczerze zdziwiony i oburzony, cytuję: „samowolką swoich ludzi". Przyśle tu za parę dni kilku chłopaków, by dokonać wymiany. Grzecznie, spokojnie, przy świadkach...

– I tak każę Kędziorowi przeładować armaty.

Na dźwięk imienia kudłatego olbrzyma Kot otrząs-
nął się lekko. W sumie nie pamiętał już, dlaczego tak go nie lubił, ale ufał swojej skłonności do uraz. Niejednokrotnie ratowała go przed złym losem.

Raz jeszcze zamachał ogonem, ale wreszcie uznał, że tym razem daruje małym Indianom i piratom. Ponownie ruszył ścieżką w stronę kuchni.

* * *

Pożywiony świeżą rybą, która ostatnio co rano czekała na niego w misce, Pan Proper ruszył na podwórze. Po ostatnich wydarzeniach związanych ze Zjazdem wciąż panował harmider i chaos powszechnego sprzątania, ale na szczęście niektóre z ulubionych miejsc Kota już zostawiono w spokoju. Roboty przy innych też miały się ku końcowi.

Usiadł na schodku, ale ten zdążył się już nagrzać. Kot, zadarłszy łeb, z pogardą spojrzał na słońce. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „To już drugi raz dzisiaj, draniu. Jeszcze raz i się z tobą policzę". A potem powoli, z godnością wskoczył na murek, a z niego do niewielkiej piaskownicy, w której mały Kubuś grał na przenośnej konsoli. Kot lubił Kubusia, mieli parę wspólnych tajemnic.

– Co tam, proszę pana? – zapytał chłopczyk.

Kot machnął ogonem dwa razy, nisko przy ziemi i oblizał się, rozdziawiając pyszczek.

– Tak – zgodził się Kubuś – też mam dosyć tego sprzątania i wszystkiego. A także tego, że nikt nie chce mi powiedzieć, co tu się właściwie stało. I skąd ta cała sadza!

– Już ci mówiłem! – huknął wyłaniający się zza budynku Kędzior niosący naręcze świeżych mioteł. – Zachciało nam się rytuałów i pierdolonych obrzędów, to teraz mamy. Pylicy można dostać!

Na widok olbrzyma Pan Proper wyprężył grzbiet i syknął, ale Kędzior się tym nie przejął. Spojrzał tylko najpierw na Kota, potem na Kubusia i powiedział:

– I nie gadaj tyle ze zwierzętami, bo wiesz, co mówią o takich, co tak robią?

– Nie wiem – odparł Kubuś.

– Że są pojebani.

No i masz, pomyślał Kot, mrużąc oczy. Wróciła pamięć, a dzięki temu uraza jeszcze się pogłębiła. To się nazywa instynkt. Przez moment rozważał nawet, czy potraktować olbrzyma jak rano Dzieciaka, ale po pierwsze Kędzior był dużo silniejszy, a po drugie... Właściwie pierwsze wystarczyło. Znów instynkt.

Kubuś zadarł głowę do góry, chroniąc oczy przed słońcem daszkiem z dłoni. Patrzył tak przez chwilę na Kędziora, po czym zapytał:

– Mówiłeś o tym wszystkim Kruszynie? I czy mama Dzwoneczek wie, że znowu przeklinasz? Bo mogę jej powiedzieć, jak tylko skończę poziom.

Kędzior sapnął głośno i otworzył usta, by coś odrzec, ale zaraz je zamknął i ruszył przed siebie. Chłopczyk wrócił do gry.

– Bardzo przepraszam za niego, Panie Proper.

Kot machnął ogonem w lewo, prawo, lewo. „Nie ma sprawy”.

Nagle jednak uznał, że nie ma ochoty spędzać reszty dnia w Lunaparku.

* * *

Droga wzdłuż rzeki należała do jego ulubionych. Lubił wspinać się na zwalone drzewa, rozgarniać pyskiem liście wilgotne od wodnych rozbryzgów, lubił, gdy poduszeczki jego łap napotykały miękkość mchu. A czasem, choć nie przyznałby się do tego nikomu, lubił wytarzać się w błocie i potem w słońcu czekać, aż sierść obrośnie mu ziemistą skorupą. Późniejsza kąpiel i wydłubywanie drobinek ziemi już nie były tak miłe, ale nie bez powodu koty miały po dziewięć żyć – rozumiały doskonale, co znaczy poświęcenie dla sprawy.

Tego dnia Kot był jednak obrażony na słońce, więc raczej krył się w cieniu. Przemykał po sterczących nad wodą konarach, skakał z pnia na pień i to wspinał się po chropowatej korze, to znów opadał powoli na jednej z cieńszych gałęzi gnącej się pod jego ciężarem. Potem szybki sus na wielki, oślizły kamień na środku rzeki i już przyglądał się rybom drgającym w miejscu, jakby nie mogły się zdecydować, dokąd płynąć. Jednej z nich pomógł łapą, z której potem długo zlizywał krople, by zaspokoić pragnienie. Zwyczajne pochylenie się nad taflą i chłeptanie prosto z rzeki było dla niego poniżej godności.

Poza tym znowu musiałby patrzeć na swoje odbicie, które w krawacie wyglądało poważniej, mądrzej... i przez to bardziej niebezpiecznie. Co nie miałoby żadnego znaczenia, jeśli wciąż byłoby odbiciem, ale Kot lepiej niż inni wiedział, że do pewników lepiej się nie przyzwyczajać. Wbrew powiedzeniu nie znał kota, którego zabiłaby ciekawość, za to wiele takich, którym życie czy dwa odebrała rutyna. Sam wolał więc być ostrożny.

Gdy wreszcie znudziły mu się ryby, cofnął się do samej krawędzi kamienia, wziął rozbieg i skoczył w stronę brzegu. Ledwo mu się udało, ale nie dał tego po sobie poznać, tylko dumnym krokiem drapieżnika ruszył dalej wzdłuż rzeki. Miał zamiar przez resztę dnia wylegiwać się na starym,

kamiennym mostku, gdzie kiedyś z Kruszyną grali w kocie-patysie, a potem łowili ryby na wędkę z kijka i sznurka, co było trochę żenujące. Pan Proper naprawdę lubił grubasa, ale czasem bywał on tak strasznie dziecinny, że Kot naprawdę się zastanawiał, czy dobrze zrobił, wybierając akurat jego. Chociaż w sumie mógł trafić do któregoś z Bliźniaków. Albo Kędziora.

Tak rozmyślając, dotarł do mostku – kamiennego łuku porośniętego mchem, nadkruszonego tu i ówdzie, ale wciąż solidnego i na swój sposób dostojnego. Kocia miejscówka była już niestety zajęta. O kamienną poręcz stały oparte trzy rowery, dwa BMX-y i jedna damka z wiklinowym koszykiem zamocowanym do kierownicy, a na moście stali trzej chłopcy z pobliskiego miasteczka, dwunasto-, może trzynastoletni. Najwyższy z nich trzymał w ręku ciasno zawiązany, ruszający się worek.

Kot cofnął się o parę kroków, po czym skoczył na najbliższe drzewo, wspiął się na wysokość pierwszego grubego konara i stamtąd obserwował uważnie.

Pazury wysunęły się właściwie same.

* * *

Nie śpieszyło im się specjalnie. Pogoda była ładna, rzeka pod mostem szumiała przyjemnie, słońce prażyło z nieba, a wszyscy trzej – sądząc po ich przyspieszonych oddechach – zaliczyli przed chwilą dość forsowną jazdę przez leśne ostępy i teraz z przyjemnością dawali odpocząć obtłuczonym częściom ciała.

Byli weseli, roześmiani i rozgadani, jak przystało na dzieciaki podczas wakacyjnej przejażdżki rowerowej. Wśród tematów rozmowy nie pojawiał się trzymany przez jednego z nich worek, choć najniższy z chłopców, krępy gacek z wielką czerwoną bejzbolówką trzymającą się chyba tylko na jego

ogromnych, odstających uszach, co jakiś czas dyskretnie na niego zerkał i otwierał usta. Potem jednak je zamykał, oblizywał wargi i mówił coś zupełnie innego.

Bo to on właśnie mówił najwięcej, zasypywał kolegów tonami niezwiązanych ze sobą anegdot i ciekawostek wyczytanych lub zmyślonych, zawsze jednak trafiających w tematy najbardziej ekscytujące dla dzieciaków w ich wieku: filmy, seks, na którym wypadało się już znać, obrzydliwa makabra, komiksy... Sprawiał wrażenie, jakby był w grupie nowy i koniecznie chciał nie tylko zająć w miejsce w paczce, lecz także znaleźć sobie jakąś rolę.

Jego dwaj koledzy – trzymający worek, spalony na czerwono blondyn w koszulce z Homerem Simpsonem mówiącym po angielsku, że piwo jest jego drogą życia, oraz średniej postury brunet w słonecznych okularach i w niegdyś pewnie błękitnej koszulce polo – ewidentnie znali się dość długo, bo reakcje na słowa Gacka mieli bardzo podobne: uniesienie brwi, półuśmiech z wykrzywieniem jednego kącika ust i zmarszczeniem nosa, wypychanie językiem dolnej wargi. Dopiero uważny obserwator był w stanie dostrzec, że nie jest to zupełnie przypadkowe; brunet naśladował blondyna.

Ten ostatni zresztą zachowywał się jak szef paczki. Pewność siebie, jaka od niego biła, sposób, w jaki trzymał worek czy odzywał się do kolegów, świadczyły, że to on wyznaczał kierunek podwórkowych zabaw. Sądząc po strupach na łokciach i bladoróżowych kreskach blizn znaczących ręce, był prawdziwym weteranem. Jednym z tych, którzy nie tyle szukają zabawy, co potrafią ją zrobić z niczego.

Teraz też, zamiast zwyczajnie wrzucić worek do rzeki, postawił go na szerokiej, kamiennej balustradzie, odszedł kilka kroków i schylił się, by podnieść kawałek nadkruszonego muru. Podrzucił go w ręce i spojrzał na kolegów.

– To co, rzucamy od rowerów i kto trafi, zdobywa punkt, a kto wrzuci do rzeki, ten dziesięć? – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Spoko. – Brunet wzruszył ramionami.

Gacek od razu przykucnął i zaczął się rozglądać za jakimś solidnym kamieniem.

– Swoją drogą jest ponoć taka misja w nowym *Tomb Raiderze*, że jesteś w takiej wiosce i są totemy, i jak trafisz kamieniem w środkowego hipka, to...

– Twój stary hipek – rzucił Brunet od niechcenia, jakby wcale nie chciał koledze dogryzać, tylko zwyczajnie podniósł coś, co upadło.

Tak to też zostało potraktowane. Blondyn nawet się nie uśmiechnął, a Gacek zrobił tylko krótką pauzę, jakby nabierał oddechu.

– Jak trafisz – podjął – to Lara zostaje przyjęta do plemienia i jest filmik, jak jej malują farbą na gołych cyckach jakieś znaczki. I to są naprawdę gołe cycki tej aktorki i Amerykanie...

Blondyn nagle zamachnął się i cisnął kamieniem w worek. Rozległ się głuchy stuk, potem przeraźliwa seria miauknięć i pakunek zakołysał się lekko. Chłopak wyraźnie dumny z siebie przejechał dłonią pod nosem i splunął.

– Jeden.

Następny rzucał Brunet, który wcześniej znalazł kamień, ale przerzucił wysoko nad workiem, czym oczywiście rozbawił kolegów.

– Elf snajper, co? – parsknął Blondyn. – Powiem to Krzakowi, jak następnym razem będziemy grać.

– Wiesz, ten kamień nie miał plus pięć do zręczności – dopowiedział Gacek i obaj znowu się roześmiali.

Brunet, który nie zareagował na słowa Blondyna, po haśle Gacka wyraźnie ruszył w jego kierunku, zacis-
kając pięści.

– Masz coś do mnie, cwelu? – wycedził.

Gacek jednak nie ustąpił. Wyprostował się z kamieniem w ręku i szybko, wprawnym gestem obrócił czapkę daszkiem do tyłu. Widział to w jakimś starym filmie z Sylvestrem Stallone i bardzo mu się podobało.

– Cwel to cię robił – odburknął. – Przesuń się, moja kolej.

Brunet zawahał się i łypnął okiem na szefa, a potem zszedł z drogi, wciąż jednak zaciskając pięści. Burczał coś przy tym niezrozumiale, marszcząc nos. Potem jednak Gacek również chybił i wszystko wróciło do normy.

* * *

Kot w bezruchu obserwował chłopców. Nawet nie drgnął, ani gdy pierwszy kamień trafił w cel, ani gdy kolejne przy wtórze głośnych miauknięć i pisków coraz bardziej zsuwały worek w stronę krawędzi. Po prostu patrzył i czekał, aż wreszcie rozlegnie się głośny plusk, który zakończy zabawę.

Gdy to wreszcie nastąpiło, Pan Proper powoli się podniósł, przeciągnął i rozprostował łapy. Ruszył po konarze i stanął na niemal samym jego końcu, tam gdzie gałąź wydawała się już za słaba na jego ciężar. Odczekał, aż trójka z mostku nacieszy się swoim sukcesem, a potem, gdy tylko wsiedli na rowery i odjechali, skoczył.

Nie zamknął oczu, nie rozdarł rzeczywistości pazurami, po prostu leciał przed siebie zgrabnym susem, rozciągnięty w powietrzu, prosto w stronę srebrzącej się w słońcu tafli wody. Ale to wystarczyło, by świat nagle zaczął się zmieniać.

Z północy nadeszła smolista ciemność, która w mig pokryła niebo półprzezroczystą membraną przywodzącą na myśl płynny lateks. Ta sama substancja wytłoczyła się spod rzecznych kamieni i zmieniła wodę w bagno ropy. Okoliczne drzewa zasysały ową czerń i przybierały jej kolor. Natychmiast zrzucały nie tylko liście, lecz także korę, by ukazać pulsujące

pod nią oślizłe ciała pełne drobnych, cieniutkich żyłek. Gałęzie i konary pozbawione niewolącej je skorupy wiły się niczym węże, a pojedyncze dziuple rozchylały i zamykały jak bezzębne gęby.

W tym miejscu jedynie most nadal był mostem, kamienną konstrukcją jednakową pewnie we wszystkich czasach i wymiarach, choć i on, za sprawą porastającego go bluszczu, odrobinę się zmienił. Ciasno przylegające gałązki nie były już pokryte liśćmi. Teraz wiły się od małych, czarnych larw wspinających się po pnączach i sobie nawzajem, jakby wierzyły, że gdzieś tam, u szczytu kamiennej poręczy, gdzie teraz przysiadł wielki kruk, czeka je w życiu coś lepszego.

Ptak pożerał larwy i ich wiarę.

Kot wylądował w śliskiej mazi, wyraźnie płytszej niż rzeka po drugiej stronie, i przez chwilę brnął przez czerń, z każdym krokiem z coraz większą niechęcią łypiąc na swoje łapy. Ogon zadarł wysoko, by go tylko nie zamoczyć, łeb natomiast trzymał nisko, jakby gotował się do skoku.

Worek leżał może dwa metry dalej, zanurzony ledwie odrobinę i nieruchomy, choć z wnętrza dochodziło ciche charczenie i pojedyncze piski, które brzmiały jak chichot obłąkanego dziecka. Z obu brzegów smolistej rzeki łypały już spasione, pozbawione sierści szczury o czerwonych ślepiach, ale żaden się nie zbliżył. Czekały.

Kot podszedł do worka, obwąchał go, trącił łbem, a potem błyskawicznie odskoczył, unikając małego pazura, który naciął materiał i błysnął w mdłym świetle, dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą było kocie oko.

Cofnął się jeszcze o parę kroków i przez chwilę patrzył tylko ze znudzonym wyrazem pyszczka to na worek, to znowu na szczury. Wreszcie podniósł na łapie swój czerwony krawat, zlizał z jego końcówki całą czerń, ponownie podszedł do worka, wysunął pazur i jednym pacnięciem rozciął materiał.

Istoty, które po chwili wyszły ze środka, jeszcze niedawno mogły być kociakami, jednak zarówno kamienie, jak i woda, która stała się czernią, sprawiły, że teraz podobieństwo było bardzo odległe. Małe, nieporadne, o zdeformowanych od ciosów tułowiach i główkach, poruszały się niezdarnie, łypiąc wszędzie dokoła pokrytymi błoną oczami.

Kot patrzył na nie przez chwilę, oceniając, czy tym pozbawionym sierści, koślawym, wychudzonym istotom bliżej do kotów, czy może już do stojących na brzegu szczurów. Wreszcie podjął decyzję i ruszył w stronę lewego brzegu, dwukrotnie zerkając, czy kociaki idą za nim.

Szły, a właściwie na wpół człapały, na wpół płynęły w gęstej mazi, popiskując bądź też powarkując cicho, trudno było bowiem rozpoznać naturę tych dźwięków.

Nie wyglądały jednak na przestraszone. Gdy na któregoś spadło nagle kilka larw, pozostałe rzuciły się na niego, próbując je strącić, może zjeść. Przez chwilę kociaki turlały się w czerni, by jednak zaraz, napomniane głośnym syknięciem Pana Propera, znowu podążyć za nim.

Szczury na brzegu, choć niechętnie, rozstąpiły się przed Kotem, a potem próbowały zbliżyć do maleństw, ale ostatecznie żaden tego nie zrobił. Stały tam tylko, łypały czerwonymi oczkami i patrzyły, jak koślawy koci pochód wspina się po zboczu, by wyjść na ścieżkę.

* * *

Dojście do Drogi zajęło im wieczność. Dosłowną wieczność, która jednak w tym miejscu miała zupełnie inne znaczenie i bywało, że stawała się tylko chwilą, a potem znowu sobą, i tak w kółko. Kot nawet w tym szaleństwie umiał znaleźć swoją ścieżkę, która wiodła go tam, gdzie i kiedy chciał być.

Skrót nie był strasznym miejscem, gdy potrafiłeś być straszniejszy od niego, dlatego też Kot zupełnie nie miał się czego obawiać. To na niego

zerkały lękliwie zgarbione stwory przemykające między drzewami, blade, o nieproporcjonalnie długich kończynach i ustach wiecznie wykrzywionych niemym krzykiem. To przed nim swe gałęzie kuliło drzewo obwieszone małymi, porcelanowymi lalkami, którym ktoś wyłupił oczy i usta zakleił liśćmi akacji. Wszechobecne szczury pożywiające się na wszystkim, od trucheł leżących w krzakach po martwe sarny z przetrąconymi karkami i skórą odłażącą od gnijącego mięsa, tylko łypały na niego z nienawiścią, wściekłe, że nie obdarza ich choćby krztyną uwagi.

Co innego idące za Panem Properem kociaki, dla których wszystko było nowe, trochę przerażające, ale i na swój sposób ciekawe. Najbardziej ciekawski był ten idący na końcu, z lekko zakrzywionym uszkiem, grubszy od pozostałych i właściwie jedyny z całą głową. Kamieniem oberwał w miednicę, więc tylnymi łapkami w zasadzie bardziej powłóczył, niż nimi przebierał, ale to nie przeszkadzało mu pchać się wszędzie, obwąchiwać zwiędłe kwiaty i zadzierać łebek, ilekroć dojrzał nad sobą wielkiego czarnego kruka. A ten przelatywał często, drąc skrzydła o wyciągnięte, ostre gałęzie i kropiąc mały orszak swoją czarną jak ropa krwią. Pan Proper tylko raz z tego powodu zadarł łeb i syknął, a potem już zupełnie nie zwracał na ptaszysko uwagi.

Tuż przy samej drodze Kot dostrzegł znajomy cień, ale tamten tylko przyłożył widmowy palec do widmowych ust i zniknął, powłócząc lewą nogą, która była dłuższa i cieńsza od drugiej. Kot syknął i na niego, a potem wszedł na asfalt. Poczekał, aż wkroczą na niego wszystkie kociaki, a potem usiadł, wyciągnął tylną nogę i zaczął zlizywać z siebie czerń.

Trwało dłuższą chwilę, zanim na horyzoncie ktoś się pojawił. Kobieta w potarganych pończochach, z włosami w nieładzie, brudną twarzą i butem na obcasie ściskanym jak talizman szczęścia. Szła boso, na skrwawionych stopach pokrytych spękanymi bąblami, zostawiając na drodze krwawo-ropne ślady. Idąc, wyrzucała przed siebie najpierw prawe ramię, a potem dociągała resztę, jakby połowę jej ciała ogarnął niedowład. Głowę starała

się trzymać prosto, ale przychodziło jej to z coraz większym trudem, podobnie jak ciche, schrypiałe upominanie samej siebie, by przestała się mazać.

Na widok kobiety Kot przerwał mycie, podniósł się na łapy i miauknął, przywołując do porządku rozbiegane, bawiące się kociaki. Syknął, machnął ogonem i rzucił się biegiem, nie sprawdzając nawet, czy gonią za nim. Wiedział, że tak zrobią, kołysząc się i zataczając na swych koślawych łapkach.

Pędził co sił. Uszy położył po sobie, oczy zmrużył, łeb i ogon trzymał nisko. W pewnym momencie wskoczył na leżące na drodze rozkładające się zwłoki motocyklisty z przestrzeloną głową, wybił się i poszybował prosto na kobietę.

Wbił się w nią pazurami, wdrapał na czubek głowy, gdzie zaczął rozgrzebywać włosy i skórę niczym piasek w kuwecie. Jego ofiara jęknęła głośno i podniosła ręce, zaraz jednak z rezygnacją opuściła je bezwładnie i stała w miejscu, kołysząc się na boki i zawodząc, gdy tymczasem kot skrobał już gołą kość, ryjąc w niej głęboką bruzdę.

Gdy mu się wreszcie udało – a zajęło to znowu wieczność, a może tylko chwilę – wgryzł się w zawartość czaszki, część zjadł, część wygarnął łapami i powoli, moszcząc sobie miejsce, wszedł do środka i ułożył się tam jakby do snu. Zaraz też otworzył oczy kobiety, uniósł kąciki ust i zmusił ją do powolnego opadnięcia na kolana, a wreszcie położenia się na ziemi.

Akurat gdy to zrobił, dobiegły kociaki. Na moment przystanęły, nie wiedząc, co mają robić, ale zachęcone miauknięciem Kota wyszukały sobie dogodne miejsca i zabrały się do wgryzania w ciało. Robiły to niezdarnie, czasem krztusząc się strzępami ubrań, szarpiąc energicznie na lewo i prawo wyjątkowo mocny kawałek skóry czy reagując sykiem na fontannę krwi z rozerwanej tętnicy.

W końcu jednak, gdy wszystkie znalazły się w środku, Kot zamknął oczy – najpierw jej, a potem swoje – i zasnął.

Wieczność później zregenerowana kobieta z zabliźnionymi już ranami podniosła się z drogi. Zaczesała włosy, zasłaniając niewielką łysinę na środku głowy, i powoli ruszyła przed siebie pewnym, prostym krokiem, stawiając stopy w jednej linii i zgrabnie zarzucając biodrami. Jak kot.

Parę metrów dalej opuściła Skrót i wkroczyła w piękną, letnią noc.

* * *

Gacek wrócił do domu około dziewiętnastej. Już w progu przywitał go Arnie, wielki labrador, dziesięcioletni, ale w zachowaniu wciąż bardziej jak szczeniak, zwłaszcza wobec chłopca, z którym się wychował. Gacek poczochrał psa po łbie, poklepał po grzbiecie, po czym zdjął czapkę i wcisnął psu w zęby.

– Dobry Arnie – powiedział. – Teraz zanieś na miejsce.

Pies przechylił łeb, jakby chciał zapytać, gdzie jest to miejsce, ale zaraz zamerdał ogonem i podreptał w stronę komody. Wspiął się na tylne łapy i położył czapkę na blacie obok kluczy.

Gacek zaklaskał i ruszył na lewo w stronę kuchni.

– Cześć, mamo, co na obiad? – zawołał do korpulentnej ciemnowłosej kobiety stojącej przy blacie.

W jednej ręce trzymała ścierkę, w drugiej nóż, ale ani z jednym, ani z drugim nie zamierzała najwyraźniej nic zrobić, gdyż całą swą uwagę poświęcała małemu telewizorkowi w drzwiach lodówki. Ocknęła się dopiero, gdy Gacek szarpnął za drzwiczki, by zajrzeć do środka.

– O, jesteś już? – powiedziała z uśmiechem. – Obiad masz w mikrofali. Co robiłeś?

– Takie tam. – Machnął wyciągniętym właśnie kabanosem. – Jeździliśmy na rowerach.

– Z tym Cęclem i Kwiatkowskim, tak? – dopytywała. Odłożyła nóż, ręce wytarła w ścierkę. – Tata wreszcie poznał ojca tego Cęcla i mówił, że może wybierzemy się z nimi na wspólne wakacje w tym roku. Oni podobno mają taki duży domek na Mazurach i...

– Byłoby spoko, mamo – stwierdził Gacek i przeszedł przez kuchnię.

Z mikrofalówki wyciągnął spaghetti z sosem bolońskim, przyjrzał mu się uważnie, po czym odłożył kabanosa i zaczął wybierać palcami wiórki sera. Gdy uznał, że wyjął już wszystkie, włożył talerz do mikrofalówki i ustawił programator na dwie minuty.

– A tata pamięta, żeby mi dzisiaj kupić grę?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Zadzwoń i zapytaj. Ale nie teraz, bo ma właśnie zebranie.

– Tjaa.

Gacek wyrzucił wygrzebany ser do kosza, jeszcze raz podszedł do lodówki i tym razem wyciągnął z niej puszkę coli. W drugą rękę wziął talerz wyjęty z kuchenki. Ruszył w stronę przedpokoju i schodów na piętro.

– Zjem u siebie, dobra?

Matka mruknęła coś w odpowiedzi.

* * *

Ojciec Gacka wrócił koło północy. Wszedł do domu głośno, hałaśliwie jak zawsze, gdy wracał z konferencji, nie pijany, tylko – jak zwykł mawiać – „na lekkim rauszu, tak, żeby było przyjemnie”. Chłopiec miał nadzieję, że to nie jeden z tych dni, kiedy czysta doprawiona była syropem ojcowskiej miłości, bo wtedy zaraz by tu przyszedł, siedział na łóżku i opowiadał synowi, jak bardzo go kocha i jak bardzo mu na nim zależy.

Gacek wierzył, że to prawda, ale wolał, kiedy ojciec mówił to po prostu, bez alkoholowego wyzwalacza emocji. Nie to, żeby tata był pijakiem, co to,

to nie, ale czasem praca po prostu wymagała czegoś więcej. Jak tych konferencji.

Nie bez znaczenia był też fakt, że chłopiec właśnie przechodził trudny etap w *I'm Alive*, a ta gra naprawdę wymagała skupienia. Dlatego też włączył pauzę, wyciągnął z szuflady słuchawki i podpiął je do komputera. Następnie na palcach przeszedł przez pokój, by wyłączyć światło, licząc, że ojciec, zanim wejdzie, zerknie na szczelinę pod drzwiami i może upewni się, czy chłopiec nie śpi... Sam pewnie by nie pomyślał, ale od czego była mama?

Nacisnął wyłącznik. Wracając, zerknął odruchowo przez okno... i zamarł.

Po drugiej stronie ulicy w blasku trupiobladej lampy stała kobieta w poszarpanym ubraniu i patrzyła prosto w jego okna. Podrzucała kulę wielkości własnej dłoni i przechylała głowę na bok niczym zaciekawiony kot.

Gacek zadrżał i nagle odechciało mu się grania w ciemnym pokoju. Wrócił do włącznika, pstryknął światło, a potem jeszcze raz zerknął w okno. Podskoczył, gdy dostrzegł w nim bladą twarz, zaraz się jednak zorientował, że to przecież on sam. Zaśmiał się więc nerwowo i wrócił do biurka. Wyłączył *I'm Alive* i po chwili namysłu uruchomił *Need for Speed* ze ścieżką kariery rozwiniętą już w trzech czwartych. Jakoś tak odechciało mu się gier o świecie, gdzie ludzie zdziczeli do reszty i gotowi byli za kromkę chleba...

Rzucić kamieniem!

Wzdrygnął się na tę nagłą myśl i spróbował pozbyć się obrazu z dzisiejszego poranka. Wspomnienia jednak wróciły do niego falą, w dodatku przedstawione w innym świetle, zupełnie jakby ktoś wszedł mu do głowy i pokazał raz widzianą rzeczywistość z innego punktu widzenia.

Znowu ujrzał stojący na kamiennej poręczy drgający, wybrzuszający się worek. Słyszał ciche popiskiwanie, a potem świst kamienia i stłumione,

pełne bólu miauknięcie. I wklęsły punkt, jakby żaden z uwięzionych w środku kociaków nie chciał się znaleźć w miejscu, w które wcześniej uderzył kamień. Tyle że tych miejsc było coraz więcej i więcej, a zanim worek runął, przez płótno zaczęła się przesączać krew. Niewielka, lśniąca na czerwono kałuża. Ostatnia rzecz, jaką widział tam na mostku. Skrzyła się w słońcu niczym dziesiątki małych rubinów.

Potrząsnął głową i nagle zdał sobie sprawę, że siedzi wpatrzony w ekran, na którym jego dodge otoczony jest kilkoma radiowozami, a wielki napis miga oskarżycielsko: „Busted!”. Gacek skrzywił się i zdecydował, że chyba dosyć grania na dzisiaj.

Dosyć też siedzenia samemu, pomyślał i wyszedł z pokoju.

Nieprzyjemnym odkryciem był dla niego dom pogrążony w ciemności, a jedynym, co słyszał, było ciche buczenie lodówki, syk wentylatora klimatyzacji i Arnie chłepcący wodę. Gacek wciągnął powietrze i powoli ruszył w stronę sypialni rodziców. Drzwi do niej były uchylone, więc nie musiał się martwić, że robią „to” i będzie im przeszkadzał. Zresztą teraz i tak byłoby mu to obojętne. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że mogliby nawet na niego krzyczeć, byle byli w pobliżu i...

Tuż za nim zaskrzypiały schody. Chłopczyk odwrócił się błyskawicznie i zerknął zza węgła. Dostrzegł człapiącego na górę Arniego. Odetchnął i gestem przywołał psa do siebie, a potem poczochrał go za uchem i złapał za obrożę.

– Chodź ze mną – powiedział.

Razem ruszyli dalej. Jeszcze tylko dwa kroki, jeszcze tylko jeden. Pchnąć i...

Arnie warknął i szarpnął się tak gwałtownie, że chłopiec poleciał do przodu i runął prosto na uchylone drzwi. Potknął się o próg, upadł, a potem zdążył tylko zadrzeć głowę, by dostrzec, jak jego pies atakuje stojącą przy oknie postać. Kobietę z ulicy.

– Bierz ją! – krzyknął z całych sił Gacek. – Bierz!

Ale wtedy kobieta odwróciła się błyskawicznie i uderzyła psa na odlew z taką siłą, że zwierzak rąbnął o ścianę i osunął się po niej nieprzytomny.

Gacek wrzasnął, spróbował się podnieść, ale znowu się pośliznął. Podniósł rękę do oczu i dostrzegł, że utytłana jest w czarnej mazi. A może nie czarnej, przeleciało mu przez głowę, może po prostu nocą wszystkie mazie przybierają ten sam kolor?

Kobieta podeszła do niego, wciąż podrzucając trzymany w ręku przedmiot. Teraz dostrzegł, że to nie kamień, lecz kłębek włóczki. Przykucnęła tuż przy ślizgającym się na mokrej podłodze chłopcu. Mocnym, pewnym uściskiem złapała go za brodę i zmusiła, by spojrzał w jej pokrytą bliznami twarz. Miała kocie oczy.

– Dlaczego? – zapytała.

Brzmiało to trochę jak mruczenie, trochę jak chóralne miauknięcie. Nieludzko, ale z jakże ludzką ciekawością. Dla podkreślenia tej ostatniej kobieta przechyliła głowę na bok i powtórzyła:

– Dlaczego?

Gacek wiedział, o co pyta. Ten sam skołatany umysł, który przed chwilą wrzeszczał w panice, już przestał i podsuwał mu zobojętniałe myśli, słowa wymieszane z obrazami. Podświadomie czuł, że kobieta oczekuje właśnie takiej wymieszanej odpowiedzi, więc zaczął mówić, a wyobraźnia dopowiadała wizją.

– Lukrecja, kotka Robura – w głowie pojawił się obraz Blondyna w koszulce z Homerem – polazła gdzieś ostatnio i zaszła w ciążę. Nikt nie chciał małych kotów, więc tata Robura powiedział, że... Powiedział... I wtedy my z Grześkiem jeszcze...

Chłopiec zaczął płakać. Łzy ciurkiem popłynęły mu po twarzy, więc przetarł je brudną od mazi ręką, a potem pociągnął nosem i sapnął.

– Ja... przepraszam – powiedział. – Ja naprawdę przepraszam, bo...

Twarz kobiety wybrzuszyła się na policzku. Wielka gula pomknęła też od ramienia do nadgarstka, a kłębek włóczki poleciał w górę i w dół. W

górę i w dół. Wreszcie kobieta pochyliła się, otworzyła usta i zaczęła lizać chłopca po twarzy. Jednocześnie wybrzuszenia pojawiły się na całym jej ciele i zaraz spod skóry zaczęły wyłaniać się małe pazurki – kociaki wygryzały się na zewnątrz.

Gacek czuł i widział to wszystko, ale nie był w stanie się poruszyć. Nawet wtedy, gdy zwierzątka wydostały się już z ciała kobiety i zaczęły się do niego łasić, bodąc go głowami i ocierając się pozbawionymi sierści bokami. Dopiero gdy kobieta odsunęła się od niego, wstała i ruszyła w stronę drzwi, wyraźnie się chwiejąc, zdobył się na uniesienie ręki i pogłaskanie najgrubszego, najbardziej zadziornego malucha. Ten podczołgał się do niego i wtulił się w chłopięcą dłoń. Szarpnął za palec. „Chodź”, mówił ten gest.

Chłopiec wstał, tym razem bez trudu, wziął grubaska na ręce i pozwolił, by reszta wspięła się po nim jak po drzewie. Tak obwieszony kotami powoli podszedł do stojącej w progu kobiety. Chwycił wyciągniętą do siebie dłoń.

– Przepraszam – szepnął jeszcze raz.

Nie odpowiedziała, tylko pociągnęła go za sobą.

– To sen? – zapytał jeszcze, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Na dole przed drzwiami czekał już na niego rower. Pchnięty przez kobietę wsiadł na niego, pozwolił, by wystraszone kociaki weszły mu pod koszulkę, po czym ruszył.

Obejrzał się jeszcze. Kobieta stała w progu i machała mu tak, jak to czasem robiła mama, tyle że bardziej niezdarnie, koślawo. Mimo to chłopiec odmachał i powoli wyjechał na asfalt. A potem na Drogę...

Gdzie czekali już na niego Robur i Grzesiek.

* * *

Kot wrócił z samego rana. Przyszedł Skrótem, więc mało nie wpadł pod koła Kędziora, co oczywiście było winą motocyklisty, bo przecież powinien patrzyć, gdzie jedzie. Pan Proper tylko na niego syknął, potem prychnął i ruszył przed siebie. Trzymaną w zębach czerwoną czapkę z daszkiem cisnął do piaskownicy i przysypał piaskiem, by nie porwał jej wiatr, zanim znajdzie ją Kubuś. Następnie udał się do kuchni.

Po drodze spotkał Kruszynę i jak zawsze był dla niego miły, dał się nawet wziąć na ręce. Mruknął raz czy drugi, gdy grubas podrapał go pod brodą. Zrobił też smutną minę i duże oczy, gdy Chłopiec zauważył, że kot ma brudny krawat.

Właśnie w tym momencie z pokoju nieopodal wyszła Dzwoneczek, dopinając skórzane spodnie. Spojrzała w wielkie oczy kota i westchnęła:

– Pracowita noc, co? Trzeba będzie dzisiaj sprawdzić kronikę policyjną.

Kruszyna zaśmiał się, choć nie zrozumiał. Kot wcale się temu nie dziwił. Żeby zrozumieć, trzeba było mieć w sobie coś kociego.

SŁUCHAJ UCHEM, A NIE BRZUCHEM

Około południa wysłużony motorower Ogar 200 wjechał, terkocząc i brzęcząc, na podwórze za miejskim Domem Kultury. Zabytkowy pojazd prowadził mężczyzna w średnim wieku, drobnej postury, ubrany w sfatygowaną skórzaną kurtkę nałożoną na mundur listonosza. Gdy się zatrzymał, rozejrzał się wokoło, po czym zdjął kask, zsunął pękatą torbę z baku i postawił pojazd na podpórce. Następnie zsiadł i szybkim krokiem ruszył w stronę bocznego wejścia do budynku.

Osiem schodów wiodących na podwyższony parter pokonał w trzech susach, a potem ukłonił się starej kobiecie wychodzącej z czytelni i szybko przeszedł przez hol, zanim zdążyła go zapytać, czy nie ma czegoś dla niej. Tłumaczenie jej, że nie należy nawet do jego regionu, już dawno straciło sens.

Kolejne szesnaście schodów złamanych wąskim podestem i już, sapiąc lekko, znalazł się na piętrze biurowym. Szerokim łukiem minął sekretariat i zapukał do pokoju animatorów. Wszedł bez zaproszenia.

– Jest Kamil? – zapytał młodą dziewczynę siedzącą przy najbliższym biurku.

Skinęła głową, a potem uniosła rękę, wskazując miejsce tuż za listonoszem.

Odwrócił się i dostrzegł kolegę przy automacie z wodą. Kamil był niewysokim mężczyzną w typie serialowego informatyka – niemodna fryzura z przedziałkiem, koszula w kratę narzucona na T-shirt z niegdyś głupim, dziś już tylko zamazanym napisem, druciane okulary. W lewej

dłoni trzymał plastikowy kubek, nadgarstek prawej, opięty monstrualnie wielkim g-shockiem, ostentacyjnie wznosił przed oczy.

– Och, czyżby znowu dwa tygodnie opóźnienia? – zapytał kpiąco. – Zupełnie się ciebie nie spodziewałem, Maćku.

Listonosz westchnął głośno i zdjął torbę z ramienia. Położył ją przy drzwiach.

– Daj tej wody – poprosił, a gdy przyjaciel podał mu kubek, wypił jednym haustem, jakby gasił ognisko. W sumie trochę się tak czuł. – Masz to może dla mnie?

Kamil poskubał się po nosie, przeszedł przez pokój i wyciągnął z szuflady plik zadrukowanych kopert formatu A4. Na każdej widniał nadruk z adresem wydawnictwa, logo komiksowej serii „MakaBryczki” i naklejka z lokalnym adresem.

– Tym razem zrobiłem więcej, żebyś nie musiał tak tu ganiać i straszyć Magdy. – Uśmiechnął się do dziewczyny siedzącej przy drzwiach, ale ta nawet nań nie spojrzała, zbyt zajęta żuciem gumy i czatem internetowym. – Ale serio, stary. Nie możesz im powiedzieć, o co kaman? Przecież to nie twoja wina, że ci debile z wydawnictwa nie wiedzą, co znaczy punktualna prenumerata. Swoją drogą żeby można było kupić gazetę w każdym kiosku, zanim ci ją przyślą, to już naprawdę chujnia.

Magda uniosła wzrok i strzeliła białym balonem gumowej pogardy. Zanim jednak Kamil zdążył cokolwiek powiedzieć, listonosz podszedł do niego i wyszarpnął mu koperty.

Przyjrzał się uważnie pierwszej z nich, a następnie wrócił do torby, by wyciągnąć z niej trzy identyczne, zafoliowane „MakaBryczki”. Ostatni raz przyjrzał się okładce – bandzie muzyków rockowych na tle trzech wielkich amerykańskich ciężarówek i piaszczystego pustkowia – po czym kilkoma szybkimi ruchami zrobił z nich gotową, pękatą przesyłkę.

– Nie znasz ich – powiedział, wyciągając z kieszeni zestaw podwędzonych z poczty znaczków i pieczątek. – To naprawdę porządne

chłopaki, ale trochę nerwowe. A na punkcie tych komiksów mają prawdziwego świra. Zwłaszcza odkąd założyli prenumeratę i...

Przejechał językiem po pasku maleńkich kwadracików, nakleił je w prawym górnym rogu, po czym chuchnąwszy na pieczątkę, zaczął przystawiać stemple.

– Raczej nie zrobiliby mi krzywdy, co to, to nie. Ale ta prenumerata spóźnia się każdorazowo ponad dwa tygodnie względem kiosków i mogliby na przykład wkurzeni odwiedzić pocztę. Już raz prawie tak zrobili, wtedy, zanim wpadłem na ten pomysł. Więc wyznaczyłem sobie dzień graniczny, jak nie przyjdzie, i kupuję, a potem jak przychodzi właściwa paczka, mam dla siebie... i dwa dla innych może. Na prezenty. Nazywam to...

– Podatkiem od pracy, tak, wiem – mruknął Kamil. – Ciągle to powtarzasz, wiesz? Za każdym razem. I nadal uważam, że powinieneś coś z tym zrobić, bo to...

– To bandytyzm! – wtrąciła się nagle Magda.

– Niestety, koleżanko, za dużo liter, jak na hasło naszej krzyżówki. – Listonosz schował paczkę i założył torbę na ramię, lekceważąc ostrzegawczy syk kolegi. – A może chciałabyś iść i powiedzieć im to w twarz, co?

– Idź już! – przerwał mu ostro Kamil i postukał chudym palcem w wielki zegarek. – Spóźnisz się.

Listonosz sapnął jeszcze raz, po czym skinął głową.

– Masz rację – powiedział, spojrzał na Magdę i lekko schylił głowę. – Przepraszam, że tak na ciebie wyskoczyłem, a tobie, Kamil, dzięki jeszcze raz.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

* * *

Zdaniem wielu największym problemem trudnych pytań zadawanych przez dzieci nie jest wcale to, że są trudne. Po prostu mało który dorosły wystarczająco dobrze władał językiem dziecięcym, by należycie wyłożyć odpowiedź.

Dzwoneczek, która tym dziecięcym władała jak mało kto, uważała zupełnie inaczej. Największym problemem z tymi pytaniami było – według niej – to, że... gówniarze zawsze zadawali je nie w porę. Jak wtedy, gdy jedenastoletni Kędzior stał przed jej sypialną i pytał, co znaczy fellatio, akurat gdy mogła – jedynie uchylając drzwi – pokazać mu przykład.

Albo gdy Stalówka przyszedł z tymi wszystkimi pytaniami o Bogu i jego miłosierdziu w dniu, gdy styrana pracą na dwie zmiany Dzwoneczek dowiedziała się właśnie o nakazie opuszczenia mieszkania.

Tak, jeżeli Dzwoneczek mogła powiedzieć, że nauczyła się czegoś, będąc matką, to były to właśnie dwie święte zasady rozmawiania z dziećmi. Pierwsza mówiła, że żadne pytanie samo w sobie nie jest za trudne dla dziecka, wystarczy samemu rozumieć odpowiedź, mieć czas i ochotę na tłumaczenie, a wtedy się dogadacie. Druga brzmiała: pytanie nigdy nie padnie w porę, więc na te, które możesz, przygotuj sobie odpowiedź zawczasu.

Tego dnia owa maksyma sprawdziła się co do joty.

* * *

Mały Kubuś wszedł do pokoju, akurat w chwili gdy Dzwoneczek, już elegancko ubrana, kończyła robić makijaż. Odprasowany żakiet pachnący jeszcze czyszczeniem i nutką lawendy wisiał na oparciu krzesła, aktówka, z której wystawały dokumenty do przedstawienia na sesji Rady Miasta, stała obok.

Kubuś rozejrzał się po pokoju, poprawił znalezioną niedawno czerwoną czapeczkę i zapytał:

– Mamo, a czemu ja właściwie nie chodzę do szkoły?

Dzwoneczek cofnęła od oka dłoń trzymającą kredkę i spojrzała na chłopczyka z uśmiechem.

– Och, to proste, kochanie – odparła. – System edukacji leci na pysk, więc wolę kształcić cię w domu.

– Aha. – Kubuś przeszedł przez pokój i rzucił się na łóżko. – A kształcisz?

– Oczywiście, synku. Przecież czasem rozwiązujesz ze mną zadania matematyczne, czytamy dużo, uczysz się historii...

– Historie to ja akurat znam, różne takie, od Kędziora, ale wątpię, żeby właśnie tego uczono w szkołach.

Dzwoneczek odwróciła się i zmarszczyła brwi.

– Co takiego ci powiedziała ta kudłata niewyparzona gęba?

Chłopczyk wzruszył ramionami.

– Mówi, że samą potrzebną wiedzę. Na przykład ostatnio spytał mnie, ile mam lat. Jak mu powiedziałem, to stwierdził, że jestem w odpowiednim wieku, żeby zapytać cię o fellatio.

– Kurwa.

Dzwoneczek, nie bacząc na makijaż, przejechała ręką po twarzy.

– E nie, spoko – Kubuś machnął ręką – to akurat już wiem. Bliźniacy mi pokazali na filmie, ale nadal się zastanawiam, czy ta cała szkolna wiedza, której tu nie mam, nie będzie mi jakoś potrzebna, no wiesz, kiedyś.

Wróżka westchnęła, pokręciła głową i podeszła do łóżka. Usiadła obok Kubusia i wzięła jego rękę w swoją.

– Spróbuję trochę bardziej się zająć twoją edukacją, Kubusiu – powiedziała. – A do szkoły nie mogę cię puścić, bo, jak wiesz, nie jestem twoją prawdziwą mamą i gdyby to wyszło, zabraliby cię i zawieźli do domu dziecka, a tego naprawdę byś nie chciał.

– Wiem. – Kubuś uścisnął jej dłoń i się uśmiechnął. – Widziałem, jak przyjeżdżają te maluchy w autobusie. Myślę, że są strasznie smutne, bo śpią na piętrowych łóżkach, mają zajęcia w grupach i nie mogą mówić „kurwa”.

– Ty też nie możesz – stwierdziła Dzwoneczek.

– No, ale oni nie mogą naprawdę.

Wyprostował się i pocałował ją w policzek, a potem poprawił okulary i przez chwilę uważnie patrzył jej w oczy.

– Wiesz, mamo, że kiedyś będziemy musieli usiąść i poważnie porozmawiać o moich prawdziwych rodzicach, prawda?

Uśmiechnęła się smutno.

– Wiem, kochanie – odparła.

Kubuś jeszcze przez moment patrzył na nią z powagą, po czym nagle wyszczerzył się i przesunął daszek czapki na bok.

– Ale to nie teraz, bo się spóźnisz na to ważne spotkanie. I naprawdę będziemy tu mieli prawdziwe wesołe miasteczko?

– Tak.

– Świetnie.

Zsunął się z łóżka i ruszył w stronę drzwi. Dzwoneczek patrzyła za nim przez chwilę z tym samym smutnym uśmiechem, przypominając sobie pewien kobiecy głos zza ściany i dom, w którym mały chłopiec stworzył sobie iluzję rodziców.

– Czego ja bym cię jeszcze mogła nauczyć, skarbie? – pomyślała. – Czego, skoro już jesteś mądrzejszy?

Jakby przywołany tymi myślami chłopczyk obrócił się w progu.

– A, mamo, jeszcze dwie sprawy – powiedział. – Po pierwsze, to cię kocham, a po drugie, chłopaki pytają, czy w drodze powrotnej kupisz nam nowe PlayStation, bo to się zjebało.

Wybuchnęła śmiechem.

* * *

Gdy pół godziny później wyszła na podwórze, zauważyła wszystkich starszych chłopców zgromadzonych wokół starego motoroweru. Przez moment zrobiło jej się żal drobnego listonosza, nad którym górowali w zasadzie wszyscy. W tej chwili musiał się czuć jak mała złotowłosa w otoczeniu wygłodniałych, wkurwio-
nych niedźwiedzi.

– Ktoś zakpił z mojej prenumeraty – mruknęła niskim głosem i się roześmiała.

Na szczęście tym razem listonosz miał to, na co czekali. Drżącymi rękami wyciągnął z torby paczkę formatu A4 i podał ją Milczkowi.

– Znowu wysłali w jednej kopercie, chuje – warknął Pierwszy. – Kurwa, oszczędzają...

– ... na czym tylko się da – dokończył Drugi.

Stalówka wziął paczkę do ręki i popatrzył na stempel.

– No i znowu dwa tygodnie opóźnienia, zobaczcie. – Przeniósł wzrok na listonosza, który w myślach zdążył się już skląć za nieprzestawienie datownika. – Czyżby opierdalała się poczta?

– Ja, nie... to znaczy...

Listonosz poczuł nagłe uderzenie w plecy, od którego cały zdrętwiał. Gdzieś w głębi rozbłysła iskierka nadziei, że to było przyjacielskie klepnięcie tego olbrzyma. I rzeczywiście.

– Do ciebie nic nie mamy, stary – wyjaśnił Kędzior. – Ty jesteś w porządku, masz tę swoją pierdziałkę i nakurwiasz. Ale powiedz tym u siebie, że następnym razem, jak nam tak znowu opóźnią, to będziemy perforować wybór osobisty.

Milczek zamigał coś do niego, ale Kędzior tylko wzruszył ramionami.

– Znalazł się, kurwa, niemy językoznawca! Perforować, preferować, chuj, ważne, że zrozumiał. – Olbrzym pochylił się nad listonoszem tak, że ich twarze dzieliło teraz najwyżej dziesięć centymetrów. – Bo zrozumiałeś, nie?

– Jasne. Oczywiście, że tak. Zrozumiałem doskonale i osobiście tego dopilnuję.

Wiedział, że tak będzie. W przyszłym miesiącu po prostu czeka go wizyta w hurtowni i trochę kombinowania. Może łapówka?

Olbrzym wyprostował się i wyciągnął rękę po pakunek, ale ten trafił już w ręce Kruszyny, który rozerwał kopertę i wyjął jeden egzemplarz. Zdążył go rozfoliować, zanim Kędzior i Bliźniacy otworzyli swoje, po czym szybko przekartkował. Jego uwagę przykuł plakat na trzeciej stronie okładki. Pokazał go braciom.

– Ej, widzieliście? – zawołał. – Wrocław. O szlag, to dzisiaj! Mało brakowało, a byśmy nie zauważyli.

Listonosz poczuł, że zrobiło mu się zimno. A potem gorąco i znowu zimno. Tak mało brakowało, jeden dzień różnicy i mogło być tak źle. Wzniósł oczy do nieba i wyszeptał nieme: „Dziękuję”.

– Co tam jest takiego? – zapytała Dzwoneczek, podchodząc do zaklętego chłopięcego kręgu. – Co tam znowu macie i co jest dzisiaj?

– Spotkanie z autorami „MakaBryczek” – szepnął Kruszyna z nabożnym szacunkiem. – Będą dzisiaj wieczorem podpisywali komiksy we Wrocławiu, będzie też spotkanie i... „wielki konkurs dla fanów najbardziej makabrycznego komiksu w kraju”. Możemy jechać, prawda? Możemy?

Dzwoneczek wzruszyła ramionami, jeszcze bardziej rozbawiona.

– A od kiedy wam bronię wyjazdów? – zapytała. – Tylko skoro macie zdążyć, to musielibyście się zbierać już, nie? I puśćcie wreszcie biednego listonosza, pewnie ma jeszcze mnóstwo przesyłek do rozwiezienia.

– Nie tak znowu... – zaczął listonosz, ale dostrzegł mrugnięcie Dzwoneczka i zaraz skwapliwie przytaknął.

Kędzior natychmiast się przysunął, podniósł motorower wraz z pasażerem i odwrócił go w stronę alejki wiodącej do bramy.

– No to już, znikamy, panie Pocztylion – powiedział i pchnął pojazd.

Poczekał, aż mężczyzna zniknie za pierwszym z budynków, a potem odwrócił się do Chłopców i zatarł ręce.

– Dobra, to idę po Ślicznotkę.

– Tylko pamiętajcie... – zaczęła Dzwoneczek, ale nie dali jej dokończyć.

– Żadnych skrótów! – odpowiedzieli chórem.

Uśmiechnęła się. Wyglądali na podekscytowanych, wszyscy, nawet Stalówka. Przy ostatnich zmianach, problemach z Wężowymi, urzędem i kredytami, po porzuceniu magii potrzebowali czegoś, co wciąż było stałe, niezmienne i czego mogli się trzymać. A niewiele rzeczy bardziej czyni chłopców chłopcami niż komiksy.

– No to już, szykować się, a mama jedzie wam załatwić wesołe miasteczko – powiedziała.

Gdy ruszyli biegiem, zawołała jeszcze:

– Kędzior, bierzesz Kubusia.

Olbrzym zatrzymał się i zwiesił ręce.

– Serio? Muszę? – mruknął. – A czemu ja? Kruszyna ma więcej miejsca.

Milczek zatrzymał się i zamachał rękami, ale Dzwoneczek była nieubłagana.

– Nie, Milczek, Kędzior weźmie małego i będzie dla niego miły, jakby od tego zależało, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu zarucha. Bo, prawdę mówiąc – ruszyła w stronę olbrzyma – tak właśnie będzie. Jeżeli mały poskarży się choć słowem, że byłeś dla niego niedobry, nie spełniałeś każdej zachcianki albo, co gorsza, że czegokolwiek nie pamięta, nakarmię twoimi jajami Pana Propera. I ty już doskonale wiesz za co, prawda?

Ostatnie słowa powiedziała, zadzierając głowę, by spojrzeć olbrzymowi w twarz, teraz wykrzywioną autentycznym lękiem.

– Za Zjazd? – zapytał, zaciskając nogi i chroniąc krocze wielkimi dłońmi.

– Myślałeś, że się nie dowiem, co? – Dzwoneczek pokręciła głową. – Ale spisz się dzisiaj i zapominamy o sprawie.

Olbrzym cofnął ręce i przykucnął, by pocałować ją w policzek.

– Dzięki, mamo! – zawołał i pognał za resztą.

Milczek natomiast podszedł do Dzwoneczka wyraźnie niezadowolony, z kieszeni wydobył portfel i podał jej stuzłotowy banknot. Zamigał coś lewą ręką.

– Jak to skąd wiedziałam, że się przyzna? Zawsze to robi, jak odpowiednio zagaić – odparła wróżka. – Naprawdę, znam was tyle lat i jeszcze nie dotarło, że wiem o was wszystko?

Milczek wzruszył ramionami, tęsknie patrząc za banknotem. Zauważyła to i po chwili namysłu go oddała.

– Następnym razem zatrzymam – stwierdziła, nadstawiając policzek do pocałunku, a potem zadarła rękę, by poczochrać jego blond włosy. – No już, lećcie, bawcie się dobrze i dbać mi tam o Kubusia, bo flaki wypruję.

Milczek zasalutował.

* * *

Jechali kolumną: Kędzior z Kubusiem na przedzie, za nim Stalówka z Milczkiem, Bliźniaki i na końcu Kruszyna, który na ten wypad wziął specjalnie przyczepkę dla Pana Propera. Kot ostatecznie nie zdecydował się jechać, ale nie było już czasu na odpinanie, więc zostało w razie czego wolne miejsce. Milczek zapewnił, że się nie zmarnuje.

Przemieszczali się szybko, ale bez szaleństw, nie śpieszyło im się aż tak, a poza tym utarczki z policją, choć zawsze w cenie, teraz niespecjalnie ich nakręcały. Wiedzieli, że są w życiu rzeczy ważniejsze i przyjemniejsze

niż pokazanie faka mundurowemu z drogówki, który prawie popuszcza na twój widok. Może więc w drodze powrotnej...

Najwspanialsze w tej podróży było to, że znowu czuli pod sobą Drogę. Nie Skrót, nie po prostu asfalt, ale Drogę – żywy twór, który dla każdego zaczyna się i kończy gdzie indziej, ale tak naprawdę nie ma początku ani końca. Sama sobie jest czasem, sama celem, a przemierzanie jej to wracanie do życia po odsypianiu na postoju. Jadąc teraz, czując opór powietrza wpychający się między ich rozpostarte ramiona i to przyjemnie niepokojące drżenie bestii, których dosiadali okrakiem, Chłopcy mieli wrażenie, jakby z żył wypompowano im właśnie krew i wstrzyknięto paliwową mieszankę. Tłok serca pracujący jak szalony, ciśnienie aż rozsadza od środka i nagle eksplozja euforii rozlewa się po całym ciele. Ryk silników był tak naprawdę krzykiem wzbierającym im w piersi, był ich pianiem, głośnym Bangarang na cześć szczęś-
liwych myśli.

W takich chwilach nie potrzebowali proszku, bo żaden z nich nie miał ochoty ani skracać tej drogi, ani wzbijać się ponad nią.

* * *

Na spotkanie dotarli przed czasem, więc gremialną decyzją udali się do pobliskiego baru na piwko albo dwa. Prowadził Milczek, który bywał we Wrocławiu u takiej jednej i tylko on mógłby o sobie powiedzieć, że zna okolicę. Po chwili namysłu zabrał resztę do małej speluny w podziemiu, nieopodal rynku.

W środku było chłodno, ciemno, śmierdziało potem i zleżałym piwem. Z głośników dobiegał jazgot, który brzmiał trochę jak tegoroczny wakacyjny przebój. Przy barze siedziało trzech wyraźnie stałych bywalców, a za kontuarem zgrabna dziewczyna ze szpetną brodawką koło brwi czytała

gazetę. Długopis trzymany w ręce sugerował, że zasadzała się też na krzyżówkę.

Kędzior rozejrzał się po wnętrzu i splunął na podłogę.

– No brawo, brachu – stwierdził. – Idealne miejsce na seks w kiblu bez gumy.

Milczek uniósł brew i zamigał.

– Po prostu – odparł Kędzior. – Na miejscu hifa czy innej kiły bałbym się, że mi tężec z kumplami wpierdol spuści. Gdzie siadamy?

Bliźniaki weszli do drugiego pomieszczenia, a po chwili wrócił Pierwszy i zawołał pozostałych.

– Tam jest duży stolik – oznajmił. – Śpi przy nim jakiś pacjent, ale...

Dobiegł ich nagle siarczysty potok bluzgów, przerwany suchym trzaskiem, jęknięciem, wreszcie brzękiem tłuczonego szkła. Zaraz potem z pomieszczenia wyleciał żylasty chudzielec, poruszając się w tempie dużo większym niż to, na które w innych okolicznościach pozwoliłby mu płynący w żyłach alkohol. Pierwszy usunął się na bok, by go przepuścić.

– No dobra, wolne – stwierdził i uśmiechnął się do barmanki, która na krótki moment uniosła wzrok znad pisma. Nie odpowiedziała uśmiechem.

– To co? – zawołał Kędzior, zacierając ręce. – Siedem browców na rozgrzewkę?

– Ja nie piję piwa – odparł Kubuś.

Zdjął okulary i zaczął je przecierać rąbkiem koszulki.

Olbrzym puścił oko do Stalówki, a albinos wzruszył ramionami. „Twoja sprawa”, mówił ten gest.

– Zrobimy dziś wyjątek – stwierdził Kędzior – jeśli żaden z nas nie powie o tym mamie, co ty na to?

– Nie rozumiesz. – Kubuś nałożył czyste już okulary i palcem wskazującym wsunął je na nasadę nosa. – Nie piję, bo mi nie smakuje. Kup mi colę.

Za plecami olbrzyma Kruszyna parsknął śmiechem, a Stalówka poklepał Kubusia po głowie. Kędzior natomiast zmarszczył brwi i znowu strzyknął śliną na podłogę.

– Mógłby pan tego nie robić? – syknęła na niego dziewczyna zza baru.

– A, sorry. Nie pomyślałem, że trochę śliny też łapie się jako sprzątanie. Sześć z kija i colę.

– Pepsi mamy – powiedziała barmanka.

– To jednak piwo – zdecydował Kubuś.

* * *

Siedzieli tam już dobrą godzinę, sącząc kolejne browary i słuchając zapętlonego wakacyjnego przeboju. Choć w sumie równie dobrze mogła to być po prostu składanka aktualnych hitów – zarówno jakość nagłośnienia, jak i samych utworów nie pozwalały mieć w tym zakresie pewności.

Trochę się im wszystkim nudziło, ale żaden nie proponował wyjścia na zewnątrz, bo tam nudziliby się pewnie tak samo, tyle że w upale. Dlatego też siedzieli. Kubuś uczył Kruszynę grać w szachy na małej magnetycznej szachownicy, Drugi spał z rękami splecionymi na piersi, a Pierwszy, przełamawszy się wreszcie do brodawki, dymał barmankę w kiblu. Nawet dwa pomieszczenia dalej słychać było, że dobrze się bawią.

– Przypomnijcie mi potem, żebym nie dawał mu komiksu, zanim nie odkazi rąk – powiedział Kędzior, podnosząc wzrok znad kartkowanych właśnie „MakaBryczek”.

Milczek, który maltretował stół, wystukując coraz szybsze rytmy czubkiem noża śmigającym między rozcapierzonymi palcami, skinął głową.

Stalówka chciał coś odpowiedzieć, ale w tym właśnie momencie zadzwonił jego telefon. Albinos odebrał i przyłożył go do ucha:

– Halo, halo... ha... kurwa!

Wstał i szybko pognał na górę, by oddzwonić. Kędzior zerknął za nim, po czym wrócił do kartkowania komiksu. Doszedł właśnie do reklamowej wkładki i zmarszczył brwi. A potem uniósł je wysoko i wyszczerzył zęby.

– Oż wy, hakiem w dupę jebani – zawołał wesoło. – Chłopaki, konkurs jest! W sensie: opisany, o co chodzi.

Ucichło stukanie noża, a Drugi otworzył oczy i przeciągnął się dyskretnie.

– Co jest, jaki konkurs? – zapytał.

– No, na własną „MakaBryczkę”. – Kędzior pokazał ogłoszenie palcem, a potem przeczytał. – „I ty masz szansę współtworzyć nasz komiks. Wyobraźnia wysrała ci do głowy porąbaną i krwawą historię? Podziel się nią i wjedź z nami na Drogę!” No kurwa, raczej nie inaczej, panowie! Raczej, kurwa, nie inaczej!

– Co się dzieje? – W progu pojawił się Pierwszy, dopinając spodnie. – Drzesz się, kurwa, jak stary kolejarz. Na ulicy słychać.

– Jeżeli ludzie dodali do tego niedawne sapanie z łazienki – powiedział Kubuś – pewnie uznali, że w tej piwnicy ukrywa się tajny peron z pociągiem do Hogwartu.

W pierwszej chwili nikt nie zareagował, ale Kędzior dość szybko sobie przypomniał, że miał być miły, i zaśmiał się uprzejmie.

– Howard, młody. – Klepnął się w udo. – A to dobre!

Kubuś dosunął okulary i skrzywił się pogardliwie.

– Hogwart, ignorancie.

Olbrzym jednak już nie słuchał, na powrót zajęty ogłoszeniem. Przeczytał je uważnie jeszcze raz, kończąc akurat w momencie, gdy wrócił Stalówka.

– No, chłopaki – stwierdził albinos – wygląda na to, że załatwiliśmy ostatecznie sprawę Wężowych. Chcą wpaść na spokojnie, po otwarciu, pogadać...

– Ciekawe o czym – mruknął Pierwszy, macając się po świeżo zrośniętych żebrach. – Jeśli im się zdaje, że urazy zabliźniają się nam tak szybko jak rany, to...

Stalówka usiadł i dopił resztkę piwa.

– Startujemy z biznesem, Pierwszy – powiedział. – Wartym parę milionów z naszych oszczędności i drugie tyle z kredytu. Sądzę, że powinniśmy przyjąć „przepraszam”, gdy klub w sile...

– Czekaj, zaraz. – Kędzior zadarł głowę. – My mamy jakieś oszczędności?!

– Mama ma. – Stalówka uciął temat i zerknął na zdezelowany zegarek na ścianie. – Mamy jeszcze prawie godzinę. Ktoś coś pije?

Zamówili następną kolejkę. W międzyczasie Kędzior zdążył zapomnieć o oszczędnościach i na nowo pogrążył się w marzeniach o zostaniu scenarzystą komiksowym. Chodził teraz po sali tam i z powrotem, komiks trzymał w splecionych z tyłu dłoniach i coś mamrotał do siebie.

Wreszcie przystanął.

– Wiem! – zawołał. – Opowiem im o krwiożerczych dziwkach!

Jeśli spodziewał się entuzjazmu, srogo się przeliczył. Nikt, z wyjątkiem może małego Kubusia, nie zareagował nawet uniesieniem głowy. Olbrzym był jednak tak podekscytowany, że nawet ta nikczemnie skromna reakcja najmłodszego z ekipy wystarczyła, by podsycić jego zapał własnym pomysłem.

– Ty, młody, nie znasz jeszcze tej historii, nie? – zapytał, dosiadając się do chłopczyka. – Nie słyszałeś jeszcze o krwiożerczych dziwkach, prawda?

Kubuś pokręcił głową.

– No, nie bardzo. A co, fajna?

– Nie wiem, czy na pewno dla ciebie – wtrącił się Stalówka, ale Kędzior zbył go machnięciem ręki.

– Stary, w zeszłym tygodniu, jak się mały przyssał do urugwajskiego gore, to nawet mama rozważała podanie mu łez, więc wiesz... To jak, mały,

posłuchasz? Powiesz, czy się nadaje, żeby z tego zrobić komiks! Co?

Chłopczyk podrapał się po potylicy, w końcu zrezygnowany przesunął gońca o cztery pola.

– Szach mat – westchnął, po czym odwrócił się frontem do Kędziora, założył nogę na nogę i zaplótł dłonie na kolanie. – No to opowiadaj.

Olbrzym zaczął...

* * *

Nie pamiętam, skąd wtedy wracałem, chyba z Gdańska albo z Mazur, bo do domu miałem w cholerę daleko i coś mi we łbie kołacze, że miałem ze sobą kąpielówki. Nie potrafię też powiedzieć, czemu jechałem normalnie, a nie Skrótem. Może to ta pora roku, chłodny wietrzyk i księżyc w pełni, że nic tylko pójść w plener i jebać młode poetki, a może zwyczajnie posiałem gdzieś woreczek. Mniejsza...

W każdym razie jadę sobie, Ślicznotka mruczy mi pod dupą i robi dobrze drżeniem silnika, a ja jadę sobie wzdłuż przerywanej niczym nożyczki po prefo, porfo... Stul łapy, Milczek! No, po tej linii, co zwykle pisze „tu ciąć”. W każdym razie stara dobra Droga, ja na niej, a po obu stronach zmienia się krajobraz i tak drzewa, pola, miasto, drzewa, pola miasto. Jest fajnie.

Pamiętam, dojechałem gdzieś... chyba pod Poznań czy jakoś kawałek za, i strasznie zachciało mi się lać. No to zjechałem sobie na pobocze, zsiadłem, podrapałem się po jajach, rozpinam spodnie... Nie gap się tak, Stalówka, co to nie można się nawet we własnej opowieści po jajach

podrapać?! No więc stoję, leję do rowu, ale grzecznie, kulturalnie, jechał jakiś samochód, to nawet pomachałem. Ręką, rzecz jasna. Wolną...

Chciało mi się mocno, więc trochę to trwało. W międzyczasie rozglądam się na boki i widzę, że tak mi się stanęło trochę w zagłębiu, bo choć godzina późna, siedzą sobie trasunie pod drzewami parędziesiąt metrów dalej albo przechadzają wzdłuż pobocza, takim krokiem charakterystycznym mówiącym „dosiadałam więcej koni niż Clint Eastwood”. No to tak sobie pomyślałem, że w sumie czemu nie, jak się jakaś fajna znajdzie, to przecież mam chwilę, nigdzie mi się nie śpieszy, a na chacie i tak pewnie posucha, więc albo jedna taka, albo znowu własnoręcznie trzeba będzie zadbać o szczęśliwe myśli.

Tak sobie stoję i szczam małą rzekę, a tu najwyraźniej mnie zauważyły, bo się kilka podniosło spod tych drzew, a i ze dwie z pobocza ruszyły w moją stronę. No to co? Uśmiechnięty trzymam fason, a potem lekko go strzepuję i chowam, ale z takim założeniem, że tylko na chwilę. Tak, Milczek, panie, kurwa, śmieszny. Nazwałem go sobie fason.

W każdym razie szły do mnie, taką większą grupą, co jeszcze można wyjaśnić porą i trochę desperą, ale raz, że nic nie mówią, dwa, że patrzą trochę nieobecnym wzrokiem, zero uśmiechów. Coś mnie tknęło, więc cofnąłem się o kroczek po obrzyna z sakwy, tak na wszelki.

Ale to nie były szczury, żadne tam przebicie, to wiesz, od razu widzisz po oczach, po chodzie, po tym, jak gryzonie pulsują pod skórą. Coś było z dziewczynami nie tak, ale nie klasycznie, żebym zaraz pomyślał, że jestem w dupie. Stałem więc po prostu, a gdy zbliżyły się nieco, zacząłem zagadywać.

No i pytam o takie tam, tradycyjne: cennik, co w menu i czy obsługują karty, a one zaczynają odpowiadać, ale tak jakby trochę nieskładnie. I znowu nie jak szczury, ale jak ktoś, kto zapomniał, jak się mówi. Jakby każdą literę każdego słowa musiały sobie przypominać, a potem i tak nie szło im to specjalnie. Było to trochę straszne, nie powiem, zwłaszcza w tym

świetle księżyca, który sprawiał, że drzewa wyglądały trochę jak na Skrócie, więc stwierdziłem, że może jednak własna graba to nie taka straszna opcja i nonszalancko zrobiłem w tył zwrot, wsiadając na ślicznotkę. I wtedy się zaczęło.

Zobaczyły, że zamierzam zniknąć. Rzuciły się w moją stronę i zaczęły coś krzyczeć. Jedne wyglądały na złe, inne na przestraszone, a wszystko było zupełnie ludzkie i przez to jeszcze straszniejsze. Krzyczały, tak po swojemu, z przerwą po każdej głosce: j-a-k n-a-z-y-w-a-m? k-i-m j-e-s-t? k-t-o? d-l-a-cz-e-g-o?

Jedna czy druga nawet płakały, a że ja jestem wrażliwy na kobiece łzy, przemknęło mi nawet przez głowę, czy nie zostać. Ale wtedy znikąd, z rowu, gdzie chwilę wcześniej lałem, wylazła jeszcze jedna, śliczna taka, mała drobna blondyneczka, ale z twarzą wykrzywioną wściekłością. I złapała mnie za nogawkę, mówiąc coś o zegarze. No to wyładowałem z kopa tak, że poleciała na drzewa, zryw i wbiłem na Drogę. A one za mną jeszcze szybciej. Któraś musnęła moje ramię, gdy śmigałem koło nich, łapiąc prędkość, ale odepchnąłem i wyprułem do przodu.

Kiedy po przejechaniu kawałka obejrzałem się, część jeszcze krążyła po asfalcie, ale tak jakby trochę zagubione były, jakby nie miały pojęcia, co tam robią. Znowu zjechałem na pobocze, wyłączyłem światło i patrzyłem, jak wracają pod te swoje drzewa albo na pobocze, jakby nic się nie stało. Wtedy już wiedziałem, że to nie były szczury ani nic, co znaliśmy i co wyłaziło ze Skrótu.

Oczywiście gdy zjechałem do domu, zaraz pognałem do mamy i jej o tym mówię, bo wiesz, może to jakieś kobiece sprawy, zawsze się mówi o tych dniach w miesiącu i może są takie, co je przechodzą jeszcze ciężej, więc stadnie. Nie, tak poważnie, to nie wiedziałem, kurwa, co zrobić, więc mama wydawała się dobrym rozwiązaniem.

I tak było. Posadziła mnie w kuchni, zrobiła kakao i wysłuchała całej historii. A gdy skończyłem, westchnęła i powiedziała...

* * *

– To, o czym mówisz, przypomina mi pewną historię.

Dzwoneczek usiadła na krześle i przysunęła kolana pod brodę, naciągając na nogi luźną koszulkę, stanowiącą teraz, obok luźnych, męskich bokserek jej jedyne odzienie. Przez chwilę patrzyła w ścianę, z miną, jakby usiłowała sobie coś przypomnieć.

Kędziorowi przyszło do głowy, że wróżka wygląda teraz trochę jak te dziewczyny z drogi, i mimowolnie zadrżał. Miał wrażenie, że zaraz usłyszy jedno z tych dziwnych, przeciągniętych, niegramatycznych pytań, nasyconych międzygłoskowymi pauzami.

Zamiast tego Dzwoneczek spojrzała na niego i uśmiechnęła się smutno.

– Nie wyglądały jak dziwki, prawda? – zapytała. – Te dziewczyny. Nie wyglądały jak zwykłe trasunie...

Kędzior podrapał się po potylicy.

– No, jakby się tak zastanowić... – Przywołał obraz tej blondyneczki z rowu, która, gdy tak ją sobie odtwarzał z pamięci, miała na sobie czarną, wyjściową sukienkę, przyzwoity makijaż, a na palcu ręki, którą złapała go za gacie... cholera, pierścionek. Ładny, jak zaręczynowy. – Jak się tak zastanowić, to wcale nie – odpowiedział wreszcie.

Dzwoneczek pokiwała głową, po czym wstała, podeszła do szafek i przez chwilę otwierała je po kolei, wyraźnie czegoś szukając. Wreszcie znalazła słoik na ciasteczka z napisem „Stalówka” i wyjęła z niego paczkę papierosów. Wyłowiła jednego, włożyła do ust i odpaliła od palnika kuchenki. Wzięła popielniczkę z suszarki na naczynia.

– Opowiem ci historię o Piotrusiu, chcesz? – zapytała, wracając na swoje miejsce.

Znowu podciągnęła kolana pod brodę i zasłoniła nogi koszulką. A potem zaciągnęła się dymem i nie czekając na pozwolenie, zaczęła.

– Nie pamiętam, która z nich to była ani jak naprawdę miała na imię... Po tej pierwszej, po Darling, wszystkie je nazywaliśmy, jak pamiętasz, Wendy. A może nie pamiętasz, bo wtedy wszyscy byliście nieszczęśliwie zakochani w Tygrysiej Lilii i syreny dużo się musiały napłakać nad waszym losem...

* * *

W każdym razie mieszkała w takim małym miasteczku gdzieś na angielskiej prowincji. To było jedno z tych miejsc pełnych małych, wąskich domków, jeden pub, tyleż sklepów. Trudno powiedzieć, czy ktoś już tam wtedy miał samochód, czy w ogóle były już samochody...

Wendy mieszkała sobie w jednym z takich domków i Piotruś do niej przylatywał. To był akurat ten zwariowany czas, kiedy wieczny chłopiec postanowił, że dojrzewanie może też być przygodą, byle tylko nie przesadzić. No więc oczywiście cały ten jazz z seksem, odkrywaniem własnej intymności. Zanim pukał w okno, długo patrzył, zaglądał też przez maleńkie okienko łazienki. Czasem przylatywał tylko po to, właśnie w porze kąpieli...

Nie wiem, jak znalazł akurat tę dziewczynę, pewnie przypadek lub los, jak zwykle, ale była idealna na ten jego czas. Nosiła się na czarno, wierzyła, że świat skończy się lada chwila i że nie warto nic odkładać na później. Była nieco starsza, niż Piotruś umyślił sobie być, a w dodatku doświadczona mimo młodych lat, więc na nauczycielkę nadawała się w sam raz. No, może gdyby nie te jej trupie goto-ciągoty, ale przecież nie mogło być idealnie.

Przylatywał tam do niej, kiedy się dało, bywało, że co noc, i wtedy zostawał do świtu albo nawet czekał następnego wieczoru, by móc ją zobaczyć. Co tam się działo, mogę się domyślać, ale bez pewności, bo

zawsze szczelnie zasłaniali okna, a Cienia Piotruś zostawiał w Nibylandii. Smutno było wtedy patrzeć na widmowego biedaka, gdy tak siedział na cieniu krzesła rozciągniętym na ścianie i smętnie zwieszał ręce albo próbował tupać naciągniętą nogą – tą, którą Piotruś zwykle go do siebie przywiązywał.

To była właśnie taka noc, kiedy Piotruś postanowił zabalować do rana. Czy byłam zazdrosna? Nie wiem. Jakiś powód tego, że wtedy za nim poleciałam, musiał jednak być. A może była to zwykła ciekawość, obawa, że Piotrusiowi to dorastanie za bardzo się spodoba, że dostrzeże więcej korzyści niż wad i wszystko... no, wszystko się spierdoli. Wtedy jeszcze seks kojarzył mi się bardzo dorośle, jak coś, co Hak robił portowym kurwom, zanim je ciął.

Poleciałam za nimi, spodziewając się znowu zasłoniętych okien, ale mimo pochmurnego dnia oni postanowili wybrać się na spacer. Na cmentarz, oczywiście, bo gdzie indziej? Pamiętam, jak tak szli, ona wtedy specjalnie uszyła mu taki frak, ciemna, zgniła zieleń, postrzępiony jak jego ubranie, ale nadal frak, do tego cylinder i laska z gałką w kształcie ptasiej czaszki. Groteskowa elegancja. Turpistyczny szyk.

Ona w czerni, gorset i pajęczyny koronek, kapelusz z woalką, szkielet parasola oparty o ramię, i tak szli niezaczepiani przez nikogo w stronę cmentarza. Patrzyłam na nich i już wiedziałam, że tego dnia coś jest nie tak, że coś się zmieniło, może nie ułożyło, ale nie wiedziałam co.

Potem siedzieli już na nagrobkach, nie jak zwykle obok siebie, tylko w pewnym oddaleniu – ona na grobie Mary jakiejśtam, którą tyfus zabrał kochającemu mężowi i dzieciom, on na ułamanym krzyżu Johna Dee, a może Doe. Na pewno nie było tam dat, tylko „ur.” i „zm.” jak puste rubryki w formularzu. Siedzieli i patrzyli na spłakane anioły strzegące zrujnowanego mauzoleum.

Rozmawiali, ale sprawiało to raczej wrażenie jakiejś wydumanej teatralnej sztuki zrealizowanej przez ambitną, ale pozbawioną talentu

nauczycielkę angielskiego. Żadnego dialogu, tylko sentencje wygłaszane na zmianę, pełne wyrzutu, co mogłam stwierdzić, nawet nie rozumiejąc słów.

A potem Piotruś znowu stał się Piotrusiem, zaczął szaleć, wściekać się, wreszcie zdarł z siebie ten frak i latał tak nago po cmentarzu, aż Wendy zaczęła się śmiać. I wtedy właśnie spadł deszcz, a zaraz potem pojawili się oni.

Czy to były żywe trupy? Pojęcia nie mam, ale skoro pojawiły się zewsząd na cmentarzu, to chyba musiały nimi być. Zwłaszcza, że sunęły tak powoli w ich stronę, jakby zapomniały kompletnie, jak się chodzi, i uczyły się tego na nowo. Zadawały też pytania. Takie właśnie przeciągnięte „co i kto”, z przerwą po każdej głosce. Bogaci i biedni, piękni i brzydcy, wszyscy nagle zjednoczeni i zrównani swym poziomem. Zbliżali się coraz bardziej i bardziej.

Wtedy jeszcze nie znaliśmy szczurów, ale Piotruś wiedział, że cokolwiek się święci, to nie będzie nic dobrego. Podbiegł więc najpierw do fraka, z którego coś wyciągnął, a potem do tej swojej Wendy, objął ją w pasie i powiedział:

– Trzymaj mnie mocno i pomyśl o czymś miłym. Pomyśl o najszczęśliwszej myśli na świecie.

Więc ona spojrzała na dół, na jego golutkiego, sterczącego pindola...

* * *

– Jezu, Kędzior, jak ty pierdolisz – odezwał się Pierwszy. – I ktoś ma ci uwierzyć, że mama zaczęła ci opowiadać o pierdolonym pindolu Piotrusia? Za każdym razem zmieniasz wersję.

– Wcale nie – zaperzył się olbrzym. – Po prostu tobie nie mówię o pindolach, bo się wtedy nakręcasz.

Pierwszy złapał za kufel i udał, że bierze nim zamach, ale zamiast tego podniósł go do ust i upił łyk ciepławego piwa. Skrzywił się z niesmakiem.

– No, Kędzior, co było dalej? – zapytał wyraźnie roz-
ochocony opowieścią Kubuś. – Opowiadaj.

Olbrzym jednak najwyraźniej stracił ochotę na snucie narracji.

– Mama opowiedziała, jak Piotruś walczy z zombie, a potem kazała mi dopić kakao i poszła po coś do pokoju – powiedział. – Wzięła stamtąd dwie walizy broni i poszła rozprawić się z dziwkami. Potem wróciła z jakimś facetem i ujeżdżała go do rana. Koniec.

Dopił piwo, a potem dorwał jeszcze kufel Pierwszego i opróżnił go, bezczelnie patrząc bliźniakowi w oczy. Tamten jednak nie przejął się specjalnie.

– Naplułem tam – powiedział.

Kubuś natomiast prychnął tylko i poprawił okulary na nosie.

– To nie była specjalnie straszna historia, wiesz? – powiedział. – I nie nadaje się do „MakaBryczek”.

– Byłaby – warknął Kędzior – bo najlepsze się dopiero zaczynało, ale oczywiście musi się zawsze znaleźć jakiś „wiem lepiej, bo właśnie ruchałem w brudnym kiblu i to robi ze mnie jebaną alfę i betę”... Spierdalaj, Milczek! Specjalnie tak powiedziałem, więc wsadź sobie te łapy w dupę.

Wstał gwałtownie, przewracając krzesło, i ruszył w stronę wyjścia. Zatrzymał się jeszcze w progu izby.

– A powiem ci tylko, mały, że najlepsze się dopiero zaczynało, bo podobno Piotruś zrobił na tym cmentarzu niezły rozpierdol, a mama na drodze jeszcze większy!

Wyszedł, by po chwili wrócić prawie biegiem.

– Hej, lamusy! – zawołał. – Wiecie, że już się zaczęło i jesteśmy, kurwa, spóźnieni? Tam pod księgarnią stoi kolejka wielka jak murzyński kutas.

Wszyscy błyskawicznie zerwali się do wyjścia.

* * *

Dzwoneczek siedziała na leżaku na trawniku przed domem. Ubrana wreszcie luźno, w swej ulubionej koszulce z napisem „Lepiej we mnie uwierz, dziwko!” sączyła piwo, słuchając muzyki dobiegającej z głębi domu. Leciało akurat coś przyjemnego, czego nie potrafiła zidentyfikować, ale co kojarzyło jej się z zielonymi trawami albo wysokimi falami wzburzonego morza. Kojarzyło się przyjemnie, więc oddawała się pieszczocie gitarowych solówek, delikatnych i zmysłowych jak dobry masaż stóp.

Z oddali dobiegł ją ryk silników, więc uniosła głowę, ale tylko trochę i na moment, by zerknąć, a potem wolną ręką sięgnęła pod leżak po pistolet. Nie znała się na motocyklach tak dobrze jak Stalówka, nie rozpoznawała ich z oddali po silnikach, a po ostatnich wydarzeniach z Battlesnakes wolała mimo wszystko mieć się na baczności. Niedługo potem dostrzegła jednak charakterystyczne sylwetki swoich Chłopców wyłaniające się z mroku.

Poczekała, aż zsiądą z maszyn i wyłączą silniki. Dopiero wtedy zapytała:

– Jak było?

Stalówka, który był najbliżej, wzruszył ramionami.

– Zasiedzieliśmy się w knajpie i trochę się spóźniliśmy – stwierdził.

– I nie byliście na spotkaniu? – Dzwoneczek parsknęła śmiechem. – Naprawdę?

Albinos ponownie wzruszył ramionami.

– Potem to już były takie kolejki, że nam się nie chciało – wyjaśnił. – Pewnie gdyby się Kędzior nie uparł...

– Ty, czekaj, co tam się wierci w przyczepce Kruszyny?

– Upór Kędziora – włączył się do rozmowy Drugi. – Ale tylko scenarzysta, bo rysownik był sprytny i nawiał.

Dzwoneczek westchnęła, kręcąc głową.

– Tylko nie róbcie mu krzywdy. Głupio byłoby zacząć historię naszego Lunaparku od czegoś głupiego.

Stalówka jeden zrozumiał.

– Znaczy mamy wsparcie miasta? Załatwiłaś, jak trzeba?

– Oficjalnie przyklepane i załatwione. Kędzior, chodź no tu. Co zamierzasz z nim zrobić?

Olbrzym włożył kciuki za pasek i staną na szeroko rozstawionych nogach.

– Będę mu, kurwa, muzą! Dam mu takie opowieści, że...

– Dobra, dobra. – Dzwoneczek machnęła ręką. – Tylko żeby nas potem nie pozwał. I odstaw grzecznie, gdzie będzie chciał. No i...

– ... żadnego Skrótu, się wie. – Kędzior zasalutował i ruszył w stronę przyczepki, dobywając noża. – Milczek, pomożesz mi go rozwiązać?

Wróżka obserwowała to wszystko z nieskrywanym rozbawieniem. To był najwyraźniej dobry dzień dla nich wszystkich. Wciąż jeszcze nie wiedziała, jak to będzie dalej, co się teraz zmieni, gdy zajmą się prawdziwym biznesem, gdy to wszystko stanie się uporządkowane i wpisane w księgi, rejestry, podlegające kontrolom. W jakim stopniu zaszkodzi to jej chłopcom, jak bardzo ich zmieni. A może raczej... jak to wszystko będzie możliwe z ich szaleństwem? Z ich podejściem prostym jak nakreślona na piasku strzałka z gry w podchody.

Potrząsnęła głową. To nie czas, by się nad tym zastanawiać. To doskonała myśl na jutro. Wieczne jutro.

Upiła łyk piwa i dopiero wtedy dostrzegła, że koło jej leżaka siedzi Kubuś. Jak on się tu zakradł tak cicho?

– Wszystko w porządku, maluchu? – zapytała.

Wolno pokręcił głową i poprawił okulary.

– Musimy pogadać – stwierdził rzeczowo, co w jego wykonaniu jak zawsze wyglądało na swój sposób słodko... i niepokojąco. – Coś mi się nie zgadza w opowieści Kędziora.

– Której opowieści? – zmarszczyła czoło, ale chłopczyk jeszcze raz pokręcił głową, tym razem energiczniej.

– Pójdziesz ze mną do kuchni? I zrobisz mi kakao?

Dzwoneczek odstawiła piwo i spojrzała na Kubusia. Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, po czym wstała z leżaka.

– Chodźmy – powiedziała.

* * *

W kuchni, nad kubkiem parującego kakao, Kubuś streścił Dzwoneczkowi przebieg wieczoru, skupiając się najmocniej na opowieści Kędziora. Dzwoneczek słuchała go z uwagą, od czasu do czasu wzdychając i kręcąc głową. Wreszcie, gdy chłopczyk skończył, upiła łyk ze swojego kubka i powiedziała:

– Nie dają ci taryfy ulgowej, co?

– Lubię, jak traktują mnie jak dorosłego – odparł Kubuś. – Tak jest dobrze.

– Ale chciałbyś usłyszeć koniec tej historii? O tej całej masakrze? Czy raczej dwóch?

Kubuś znowu wolno i z rozmysłem pokręcił głową.

– Właściwie, mamo, to ja nie za bardzo wierzę, że tam była jakaś masakra. Ta historia się nie trzyma kupy!

Dzwoneczek się uśmiechnęła. Jesteś sprytniejszy od przeciętnego misia, co? – pomyślała.

– Dlaczego tak sądzisz, Kubusiu?

– No bo popatrz. – Chłopiec odsunął kubeczek i rozłożył ręce na stole. – Jak się pojawiają szczury, to wszystko robisz szybko, wydajesz rozkazy, chowasz mnie, jedziecie. A tu nagle, gdy zjawia się Kędzior, opowiada coś o dziwkach...

– Prostytutkach – poprawiła Dzwoneczek, ale Kubuś zbył to machnięciem ręki.

– Niech będzie – powiedział. – W każdym razie zjawia się, mówi coś takiego, a ty opowiadasz mu historyjkę gore o Piotrusiu i jego pindolu...?

Uniosła brwi, ale Kubuś znowu pokręcił głową.

– Aaa, nie wspomniałem? No to nie pytaj. W każdym razie opowiadasz historyjkę, a potem jedziesz tam sama załatwiać kogoś na drodze? Kurczę, przecież ja jestem może mały, ale nie głupi! Tam był jakiś morał, prawda? W tej opowieści o Piotrusiu? Powód, dla którego chciałaś zrobić to sama i dlaczego wiedziałaś, że nie musisz się śpieszyć.

Dzwoneczek patrzyła na chłopczyka przez dłuższą chwilę z mieszaniną niepokoju i podziwu. Wreszcie wstała, podeszła do lodówki i wyciągnęła z zamrażarki butelkę wódki. Z szafki wyjęła dwie literatki i jedną z nich postawiła przed chłopczykiem. Nalała do obydwu, choć do tej Kubusia tylko odrobinę, raptem na mały łyk.

– Jako mama trzymałam się zawsze jednej zasady – powiedziała. – Kiedy dziecko dojrzało, by zadać jakieś pytanie, to znaczy, że dojrzało do odpowiedzi. Do tej pory to się świetnie sprawdzało. Ale twój mózg, Kubusiu, bywa starszy niż mój.

Wzniosła literatkę i poczekała, aż chłopczyk zrobi to samo.

– Gdy już przełkniesz, szybko popij – poradziła i opróżniła swoją szklankę.

Kubuś zrobił to samo i choć zakrztusił się w pierwszej chwili, choć łzy naleciały mu do oczu, zniósł to całkiem mężnie jak na pierwszy raz. Odczekał chwilę, zanim popił.

– Parzy w gardło – stwierdził prawie szeptem.

Uśmiechnęła się smutno.

– Ta opowieść o Piotrusiu nie miała w sobie żadnych pindoli, a Kędzior najwyraźniej kompletnie jej nie słuchał. Może słusznie, bo nie była kierowana do niego.

Zrobiła pauzę, spodziewając się oczywistego pytania, ale Kubuś milczał. Odgarnęła więc grzywkę i podjęła wątek:

– Nie każda Wendy reagowała na Piotrusia jak ta pierwsza. Nie każda zaraz otwierała okno i rzucała się w wir przygody. Czasem zdarzało się, że Piotruś pukał w jedno czy drugie okno, one mówiły nie albo w ogóle go nie zauważały, nawet gdy robił swoją pokazówkę z łapaniem cienia. Wtedy odlatywał, bo przecież na świecie tyle jest okien, tyle jest Wendy... Ale z tą jedną było inaczej. Tej jednej nie potrafił odpuścić. Może rzeczywiście było tak, że wtedy postanowił na chwilę dojrzeć i to był zły moment. A może dziewczyna naprawdę była wyjątkowa... W każdym razie gdy okazało się, że nie działają na nią żadne klasyczne sztuczki, Piotruś postanowił powiększyć skalę. I tak, był cmentarz, był frak, była dziewczyna w żałobnej sukni i mnóstwo ludzi o posępnych twarzach, którzy pytali w kółko „dlaczego?”, tyle tylko, że to był...

– Pogrzeb! – zawołał nagle Kubuś. – Ktoś umarł.

Dzwoneczek pokiwała głową.

– Ojciec Wendy, bardzo szanowany, były sędzia, mer miasta. To był bardzo dobry człowiek i dlatego na jego pogrzebie zebrało się całe miasto, nikt też nie mówił o niczym innym przez wiele dni. A Wendy nie zwracała uwagi na nic i nikogo, wciąż tylko siedziała w swoim pokoju, z ciężkimi kotarami zaciągniętymi tak, by nie wpadała do środka nawet drobina światła. Wszystko miało swoje uzasadnienie, ale ty, kochanie, nie znałeś Piotrusia...

Wróżka przerwała na moment, przez chwilę patrzyła w punkt nad głową chłopczyka, wreszcie szybkim ruchem nalała sobie kolejną pięćdziesiątkę, wypiła i otarła usta.

– Uważał, że cały świat się kręci i wszystko toczy się tylko wokół niego – podjęła. – Tak więc gdy Wendy zasłoniła okna, oczywistym było dla Pana, że to po to, by się przed nim ukryć. A nawet gdy mu mówiłam, że przecież ojciec, śmierć, śmiał się tylko i odpowiadał, że to głupota, bo przecież śmierć...

– ... jest tylko kolejną przygodą – dopowiedział Kubuś.

Wiele razy słyszał to już od Chłopców.

– Największą z przygód – poprawiła Dzwoneczek. – Tak, tak właśnie uważał. W końcu jednak zrozumiał, że ludzie myślą o tym inaczej, że czują żal i tęsknotę za kimś, kto będzie żył już tylko w ich pamięci, nigdy naprawdę. Zrozumiał i postanowił coś z tym zrobić.

Dzwoneczek przymknęła oczy...

* * *

Tamtego dnia, gdy się zjawił, miał na sobie poszarpany frak, nadżarty przez mole cylinder i laskę z gałką w kształcie ptasiej czaszki. Wyglądał na swój szalony sposób elegancko, a na pewno tak się czuł.

Gdy się wtedy spotkaliśmy, akurat zwijał ogromny skórzany worek i próbował schować go między gałęziami rozłożystego dębu. Zapytałam, po co mu to, ale on wtedy przyłożył palec do ust i powiedział:

– Przyszedłem tu, by pomóc mojej Wendy. Już wszystko gotowe.

Pamiętam, chciałam go jeszcze o coś zapytać, ale wtedy dobiegły nas z oddali dźwięki trąb żałobnego konduktu, więc obejrzałam się, a gdy chciałam znów spojrzeć na Piotrusia, jego już tam nie było. Wzbiłam się więc nad tłum i tak dotarłam w okolice świeżo rozkopanego dołu, gdzie na pastora już czekała mównica, a na najbliższą rodzinę – ławki.

Obserwowałam, jak wszyscy zajmują swoje miejsca, jak sprawnie porusza się orkiestra, wciąż nie przestając grać, jak najpierw kapłan, potem

rodzina, wreszcie grabarze – wszyscy wypełniają swoje powinności, wykonują przydzielone im zadania, spokojnie, taktownie, z największym szacunkiem dla zmarłego.

A potem pojawił się Piotruś. Dostrzegłam go, zanim zauważyli go inni, ale to dlatego, że wiedziałam, czego się spodziewać, wiedziałam, że w ogóle coś się szykuje.

Piotruś pojawił się na dachu starego grobowca, wsparty na lasce, z cylindrem zawadiacko przekrzywionym na bok i do przodu. Najpierw głośno zapiał, a gdy wszyscy zwrócili na niego uwagę, zawołał:

– Przestańcie się smucić, przecież zawsze mogło być gorzej. Mógł zostać przeklętym piratem!

Ludzie byli w szoku, choć zaraz ktoś zaczął krzyczeć, by Piotruś natychmiast stamtąd złaził. Kilku starszych chłopców, wyczuwając okazję do zabawy na pogrzebie, rzuciło się, by ściągnąć Pana z dachu, ale gdy próbowali się wspinać, prał ich laską po rękach. Potem rzucił się do przodu, wykonał w powietrzu piękne salto i wylądował tuż przed swoją Wendy. Chciał uchylić cylindra, ale ten już dawno mu spadł, więc wieczny chłopiec tylko się jej skłonił, a potem rozpoczął indiański taniec deszczu, którego kiedyś nauczył go znajomy wódz, ojciec Tygrysiej Lilii.

– To dla ciebie, Wendy. Zapomnij!

Ktoś wtedy znowu rzucił się w jego kierunku, ale nagle stało się coś dziwnego. Oto chłopiec uniósł laskę, a potem natychmiast zawołał mnie do siebie. Wiedział, że cały czas tam byłam i że się przyglądam. Wiedział też, że przylecę, bo mimo wszystko zwykle go słuchałam, przynajmniej wtedy.

Więc podleciałam, a on nagle szarpnął za ptasią gałkę i laska otworzyła się, zupełnie niespodziewanie stając się parasolem. Skryliśmy się pod nim w ostatnim momencie, bo zaraz potem na ziemię lunął deszcz. I to nie taki zwykły, tylko prawdziwa ulewa, która wdziera ci się do nosa, oczu, gardła i w jednej chwili sprawia, że jesteś cały mokry. Nas pewnie też by to spotkało, gdyby Piotruś zaraz nie wzbił się w powietrze, szybko,

gwałtownie, przebijając się przez nisko zawieszoną chmurę na bezdechu. Dopiero znad niej odważył się wciągnąć powietrze. Zamknął parasol i zapiał najgłoś-
niej, jak tylko potrafił.

Potem spojrzał na mnie i powiedział:

– Pomogłem jej, pomogłem im wszystkim. Możemy wracać.

Ale nie wróciłam z nim tego dnia. Czekałam, aż deszcz minie, a potem, spodziewając się, z czego była Piotrusiowa chmura, wyglądałam, jaka będzie reakcja żałobników na taką ilość syrenich łez. Jeszcze nigdy nie stosowaliśmy ich w takich ilościach, jeszcze nigdy na taką skalę.

* * *

Dzwoneczek przerwała, po czym nalała sobie jeszcze raz i wypiła na szybko.

– Gdy deszcz się skończył, ludzie rzucili się na siebie, Kubusiu – powiedziała. – Jedni uciekali, inni atakowali, tłukąc słabszych pięściami, kamieniami, szarpiąc i gryząc. Deszcz łez zmył z nich nie tylko pamięć ich samych, ale całe człowieczeństwo, pamięć pokoleń, która ukształtowała ich takimi, jakimi byli ludzie ich czasów. Zostały tylko rzeczy niezmywalne, czyste, pierwotne emocje: strach, wściekłość, żądza...

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wreszcie Kubuś zapytał:

– Wrócił tam kiedyś? Piotruś znaczy?

– Kazałam mu – odpowiedziała Dzwoneczek. – Mówiłam, że musi zobaczyć, co zrobił, ale on się uparł, że zrobił jak należy i teraz powinniśmy zapomnieć o całej sprawie. A potem wypił całus łez i... rzeczywiście zapomniał.

Kubuś pokiwał głową, a potem zamoczył palec w kakao i wyłowił kożuch. Wsunął go do ust, zjadł ze smakiem.

– Mogę jeszcze o coś zapytać?

– Jasne, kochanie.

– Do kogo mówiłaś? Komu opowiadałaś tę historię tak naprawdę?

Dzwoneczek pokręciła głową z niedowierzaniem. Ten chłopczyk już chyba nigdy nie miał przestać jej zadziwiać.

– Do tego, kto to zrobił. Kto użył łez, by ukryć swoje paskudne czyny, i tak bardzo się bał, że się dowiem, że przesadził z ilością łez, które podawał swoim... ofiarom. Nie wiedziałam, kto to, więc użyłam opowieści, by zobaczyć, kto na nią zareaguje. Bo to nie były dziwki, Kubusiu. Ani nawet prostytutki...

– I wtedy właśnie to pojechałaś sprawdzić? Czy masz rację?

– Tak.

Kubuś uniósł wzrok, minę miał poważną, dorosłą.

– A ten ktoś, kto to zrobił... Nie ma go już, prawda? Nie tutaj, tylko w ogóle...

Dzwoneczek zacisnęła zęby. Jeszcze nigdy nie prag-
nęła złamać żadnej swojej zasady tak bardzo jak w tym momencie. Mimo to wolno pokiwała głową.

– Tak, Kubusiu. Zabiłam go.

Chłopczyk patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym dopił kakao na jeden łyk, otarł usta rękawem i zsunął się z krzesełka. Podszedł do Dzwoneczka i ją objął.

– Dziękuję, że powiedziałaś mi prawdę, mamo – powiedział. – Teraz pójdę posłuchać, co Kędzior opowiada temu panu od komiksów, by poznać jego historyjkę, ale zapamiętam tę twoją, dobrze?

– Dobrze, kochanie – uśmiechnęła się smutno.

Chłopczyk pocałował ją w policzek, po czym nagle odsunął się i zmarszczył brwi.

– Ale nie podasz mi łez, żebym o tym zapomniał?

Pokręciła głową.

Uwierzył.

TWÓJ STARY

Wschodzące słońce powoli wzbiło się ponad korony drzew i rozświetliło blaskiem kabiny diabelskiego młyna, rozlało się złotem po jeziorze. Sekunda po sekundzie złowrogie cienie remontowanych od paru dni atrakcji – obudowanych rusztowaniami, podtrzymywanych na linach dźwigów – wydłużały się coraz bardziej i bardziej, jakby chciały odpełznąć, ukryć się przed światłem pod kamieniami. Ptaki rozpoczęły swoje trele, od paru chwil z cichym sykiem pracowały też zraszacze rozpylające tęczową mgiełkę na świeżo zasadzoną trawę. Dzień jak co dzień nad Drugą Nibylandią.

Kędzior siedział rozwalony na ławce i pił piwo z puszki, gapiąc się na budynek i balkon. Lewą ręką wystukiwał rytm, do którego nieudolnie próbował coś zanucić.

– Nareszcie – powiedział, gdy w pewnej chwili z krzaków wyłonił się Milczek. – Już myślałem, że dziś nie przyjdziesz. A warto, stary, bo wczoraj przyprowadziła nowego.

Milczek usiadł na ławce obok olbrzyma i wyciągnął z przenośnej lodówki puszkę piwa. Zamigał coś wolną ręką.

– Nie, nikt z robotników – pokręcił głową Kędzior. – Zobacz, tam stoi jego maszyna. Motochłopiec, wyobraź sobie.

Brodą wskazał na zmęczonego drogą turystyka BMW stojącego w cieniu po drugiej stronie parkingu.

Milczek znowu zamigał pytanie.

– Przyszli późno, a potem słychać ich było ledwie przez chwilę, więc będziemy mieli flaka jak... stary. To może być święty Graal tych naszych

poranków. Kurwa, ale się napaliłem!

Milczek mignął i wyszczerzył się głupio, a potem odsunął się przed ciosem brata.

– Nie, kretynie. – Olbrzym usiadł prosto, dopił piwo, zgniótł puszkę i cisnął ją za siebie. – Nie na kolesia mamy, tylko... O, patrz, balkon się otwiera.

Błysnął słoneczny refleks i na balkon wyszła Dzwoneczek. Przeciągnęła się, a potem wyciągnęła paczkę papierosów, zapaliła jednego i oparła się o poręcz.

– Ciekawe, ile mu zajmie zejście po schodach – zastanawiał się Kędzior, sięgając po następne piwo. – Wiesz, na jego miejscu... Au! Kurwa, Milczek, co mnie w żebra tłuczesz, mózg też ci posłuszeństwa odmówił?

Ale Milczek, zamiast wyrazić skruchę, złapał olbrzyma za brodę i pociągnął do góry, a potem wskazał ręką na balkon, gdzie stała już nie jedna, a dwie osoby. Średniej postury mężczyzna z chustą na głowie obejmował mamę w pasie i właśnie brał od niej papierosa.

Kędzior oswobodził się z Milczkowego uścisku i aż cmoknął z uznaniem.

– No, kto by się spodziewał, że zamiast marszu wstydu koleś zaliczy też balkon. Przecież z takim kaprawym, starym ryłem, i jeszcze ta blizna...

Nagle do niego dotarło. Odwrócił głowę, by spojrzeć na Milczka.

– Czy to jest... – zaczął, a blondyn skinął głową, a potem zamigał coś szybko i gwałtownie.

Coś, z czym Kędzior zgodził się natychmiast.

– Tak, brachu, kurwa, jak ja jebię!

Wstał, podrzucił trzymaną w ręku puszkę, po czym jeszcze raz – tym razem chroniąc oczy dłonią przed słońcem – przyjrzał się mężczyźnie na balkonie. Wreszcie splunął.

– Nie no, nie ma wątpliwości – stwierdził. – To Mat. To musi być, kurwa, Mat! Wrócił, stary skurwysyn. Osiemnaście jebanych lat mu zajęło!

Milczek nie zareagował. Wciąż wpatrzony w balkon, z rękami skrzyżowanymi na piersi mógł tylko tak stać i patrzeć. Nie powiedziałby teraz nic... nawet gdyby umiał.

Po prostu nie było nic więcej do dodania.

* * *

Pierwszy po raz ostatni poprawił linię, po czym odłożył kredę, podniósł się z klęczek i otrzepał brudnymi rękami równie brudne kolana. Mrużąc oczy przed słońcem, skubiąc wielkiego strupa na prawym łokciu, uważnie przyglądał się swojemu dziełu.

– Trochę krzywo – stwierdził Drugi, stając obok. – No i trzeba narysować bazy. Może cegłą?

Pierwszy wciąż skubał strupa. Jak każdy szanujący się dwunastolatek miał ich na swoim ciele całe mnóstwo, ale ten na łokciu, dorodny, zaschnięty, ale wciąż trochę miękki jak pęcherz na pięcie, był jego ulubionym. Miał nadzieję, szczerą, prawdziwą, że będzie go miał już zawsze.

– Może być cegła – zgodził się w końcu. – Ale musielibyśmy iść na ogródki, bo tymi, co ostatnio leżały na podwórku, Kędzior grał niedawno w kaczki nad rzeką.

Drugi splunął i roztarł plwocinę trampkiem na asfalcie szkolnego boiska.

– To jest jednak debil – stwierdził. – Nie da się puszczać kaczek cegłą. Kamień musi być płaski, żeby...

– Nie puszczał kaczek – wyjaśnił Pierwszy. – Grał w nie. Bierzesz cegłę, celujesz w kaczkę... – Klepnął się nagle w nagie udo. – Ty, a może Mat coś ma! Ostatnio trzymał na nich swój motor.

– Motocykl. Stalówka twierdzi, że Mat się wkurza, jak mówisz motor, bo motor to jest...

– ... w kosiarce, wiem. Ale ja sądzę, że Stalówka tylko zgrywa ważniaka, a Mat ma gdzieś i jest ponad to. To co, idziemy do niego?

Drugi wzruszył chudymi ramionami i jeszcze raz przyjrzał się narysowanemu na asfalcie boisku. Choć trochę krzywe, nadal wyglądało całkiem porządnie i głupio byłoby teraz zrobić coś na odwal. Zerknął tylko na niebo, jakby się zastanawiał, czy pogoda nie zniweczy ich wysiłków. Błękit nieskażony był jednak nawet chmurką.

– No dobra – zdecydował w końcu i znowu splunął. – Ale jak się ten siwus znowu będzie mądrzył, to słowo daję, że mu jebnę.

– Się wie!

Pierwszy wziął spod drzewa butelkę po wódce, teraz do połowy wypełnioną mineralną z sokiem malinowym, upił solidny łyk i otarł usta brudnym przedramieniem. Na twarzy została szeroka, czarna smuga.

– Bez spóły – zastrzegł, gdy brat wyciągnął rękę po butelkę. – Jak się facetka czepiała, że we flaszce po wódce, to się śmiałeś, a teraz...

Drugi prychnął z pogardą.

– Wal się! Kupię se potem.

Ruszył na ukos przez boisko. Pierwszy wziął jeszcze jeden łyk, największy, jak tylko mógł, po czym uznał, że nie chce mu się nosić butelki, więc wylał resztę zawartości na trawę i cisnął flaszkę w krzaki. A potem pobiegł za bratem.

Mieszkali niemal na przeciwko szkoły, ledwie kilkadziesiąt metrów krótką, ślepą uliczką wiodącą do ich bloku, ale żeby dojść do garaży, musieli w pewnym momencie obejść starą, zamkniętą fabrykę albo dwa razy przeskoczyć przez płot i przejść na skróty kawałkiem zamkniętego terenu. Oczywiście gdy jesteś dwunastoletnim chłopcem, to żaden wybór – kto by chciał łazić w kółko, gdy możesz trochę pouciekać przed starym stróżem i nazwać go cwelem, choć nawet nie wiesz, co to znaczy.

Tym razem jednak nie było ani stróża, ani nawet jego psa, wyliniałego owczarka niemieckiego, którego chłopcy zależnie od nastroju czasem obrzucali garściami żwiru, a czasem karmili kanapkami z szynką, więc trochę zawiedzeni po prostu przeszli po zakazanym terenie, przeskoczyli przez drugą siatkę i znaleźli się w labiryncie garaży.

Do nich należał trzeci po lewej, mama dostała go w pakiecie, gdy wynajmowała mieszkanie, ale dopiero gdy zamieszkał z nimi Mat, zaczęli go używać. Nowy facet mamy siedział tam teraz przez większość dnia – zwykle ze Stalówką, który wpadał do niego zaraz po szkole – i albo coś komuś naprawiał na telefon, albo grzebał przy swojej maszynie. Enola Gay – tak ją nazywał, a na baku miała malunek faceta siedzącego okrakiem na bombie i machającego czapką.

Mat był facetem średniej postury, zwykle gładko ogolonym, jeśli nie liczyć zarośniętego podbródka. Mapę blizn na całym ciele miał gęstszą niż wszyscy chłopcy razem wzięci, a przedramiona i bicepsy całe w tatuażach. Było tam wiele twarzy, motocykle, samochody, dzikie koty i dużo krwi, uschnięte drzewa i martwe lalki, a także słowa, które wszystkie znaczyły to samo, tylko w różnych językach: „Droga”. W kąciku jego ust wiecznie tkwił papieros, na głowie zawsze czerwona bandana Marlboro albo znoszona baseballówka Chicago Bulls odwrócona daszkiem do tyłu. Do tego biały, przepocony podkoszulek, starte jeansy i skórzana kamizelka ze śladami po odprutych naszywkach – to dopełniało obrazu całości. No i oczy. Wiecznie zwężone, zmrużone, nadające twarzy groźny wygląd czającego się do skoku drapieżnika.

– Co tam, kserówki? – zapytał teraz, podnosząc się z klęczek i sięgając po brudną szmatę wystającą z tylnej kieszeni. – Blady, weź no tam dokręć... – Zakręcił palcem młynka, wyraźnie szukając w głowie słowa.

Stalówka jednak wcale go nie potrzebował. Doskoczył do maszyny i zabrał się do roboty. Mat skinął z zadowoleniem głową.

– Właśnie tak, zajebiście. No więc, co tam, chłopaki?

Pierwszy podrapał się po strupie.

– Cegły kawałek potrzebujemy, takiej czerwonej najlepiej.

– Boisko do masy rysujemy – uzupełnił Drugi – i chcemy, żeby było na wypasie.

Mat rozejrzał się po garażu i rozłożył ręce.

– To se znajdźcie, były tu gdzieś ostatnio. Kruszyna chciał z nich postawić budę dla bezdomnych kotów, ale chyba mu się, kurwa, odwidziało. A już nawet chciałem mu pomóc, żeby tych sierściuchów jebanych do domu nie znosił.

Cisnął w kąt niedopałek i wyciągnął z wymiętej paczki nowego papierosa. Odpalił.

– A to boisko – zapytał – to w jakich wymiarach zrobiliście?

Bliźniacy popatrzyli po sobie.

– Noo... na dwadzieścia tip-topów długie i dwanaście...

– Sam jesteś, kurwa, tip-top.

Mat podszedł do ściany i wziął do ręki długi, gruby pręt. Wyszedł z nim z garażu, mrużąc oczy przed słońcem, i zaczął rysować na piasku boisko do masy.

Najpierw nakreślił duży prostokąt, a potem na dwóch rogach, po przekątnej wpisał okręgi. Następnie w środku tej figury wpisał dwa mniejsze prostokąty, równe rozmiarami. Potem podkreślił bazy, wymazał zbędne linie i jeszcze raz sprawdził, czy wszystkie wejścia i wyjścia się zgadzają. Gdy już był tego pewien, splunął na ziemię i spojrzał na Bliźniaków.

– Dobra, to jest tak, że tu jest pole jednych, a tu drugich, tak? – Pokazał najpierw pierwszy niedomknięty prostokąt, a potem drugi. – I ci biegną tędy – wskazał ścieżkę, przestrzeń między ścianką boczną prostokąta w środku a tego zewnętrznego – i nie mogą wypaść za żadną linię, aż nie wybiegną do wyjścia, tak?

– Tak. – Pierwszy skinął głową. Nie wiedział, po co Mat o to pyta. Przecież grał z nimi raz czy dwa po pijaku. – Jak ich wciągną albo wypchną, to wypadają.

Mat przytaknął i poskubał się po nosie.

– No właśnie. Ale wypadasz dopiero, gdy dotkniesz nogą ziemi po drugiej stronie linii, nie?

– Albo inną częścią ciała – dopowiedział Drugi, ale Mat zbył go machnięciem ręki.

– Chodzi o to, że jeżeli przelecisz nad zakazanym polem, ale wrócisz na trasę, po której masz biec bez dotykania pola wroga, to wszystko jest okej, nie? I to jest właśnie mój pomysł, dlatego pytam, ile ma boisko. A dokładniej, ile ma połowa boiska. – Wskazał jeden z niedomkniętych prostokątów.

– Nooo – Drugi się zawahał. – Dziesięć tip-top...

– Nie dziesięć – wtrącił się Pierwszy – bo jeszcze ścieżki po obu stronach na jednego. Dziewięć.

– Odlicz.

Mat podał Pierwszemu pręt, a ten zaznaczył na ziemi kreskę. Potem, stawiając stopę za stopą, odliczył dziewięć małych kroczków. Tam zaznaczył kolejną kreskę.

– Gotowe – powiedział.

– Świetnie. – Mat kiwnął głową. – A teraz odlicz kolejne dziewięć i zrób drugą kreskę.

Bliźniak wykonał polecenie.

– A teraz odłóż pręt, weź rozpęd od końca tej drugiej dziewiątki i... przeskocz pierwszą.

Pierwszy cisnął pręt na ziemię, przybrał pozycję i pognał, a potem przeleciał nad polem, zostawiając linię w tyle. Ucieszony wrócił do Mata.

– Nieźle – ocenił mechanik – ale musisz uważać, żeby wylądować w miejscu, bo jak polecisz dalej, przelecisz przez linię zewnętrzną i też

wypadniesz z gry.

Chłopcy popatrzyli na Mata, na rysunek boiska, a potem na siebie.

– Czy ty mówisz, że mamy... mamy przeskoczyć ich boisko i wylądować...

– Przy samym wylocie ścieżki, tak. – Mat wskazał punkt, gdzie duży prostokąt się nie domykał. – Wymaga to oczywiście odwrócenia uwagi tych, co pilnują wyjścia z waszego pola, może nawet poświęcenia kogoś, ale jakby to dobrze poćwiczyć...

– Przecież to oszustwo! – oburzył się Pierwszy.

Nie miał nic przeciwko kłamaniu i oszukiwaniu na co dzień, ale gra w masę była święta. Mat jednak tylko pokręcił głową i się uśmiechnął. Wyjął z kącika ust dopalonego papierosa, którym ani razu się porządnie nie zaciągnął, i cisnął go na ziemię.

– Nie, synu. To skrót, który możesz wykorzystać – powiedział, sięgając znowu do wymiętej paczki. – Skróty bywają przydatne, ale tylko wtedy, gdy cel jest ważniejszy niż droga.

Zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nosem. Lubili, gdy tak robił, wyglądał wtedy jak jakiś demon.

– Dlatego nie stosujcie tej zagrywki, ale wyćwiczcie ją na dzień, gdy, wiecie... będziecie się mogli popisać wygraną przed jakąś dupą albo zagracie na kasę. Wtedy się przyda. Skrót to przewaga.

Bliźniaki znowu popatrzyli na niego, potem na rysunek, na siebie i znowu na Mata.

– Kurwa, to dobre jest! – stwierdził wreszcie Pierwszy. – Dzięki, Mat. Jesteś najlepszy!

Mężczyzna znowu się uśmiechnął i poklepał Pierwszego po głowie, a potem gładko zmienił ten gest w poślizgowy w potylicę.

– To teraz weźcie te cegły i wypierdalać. Mamy z Bladym robotę.

* * *

Zebrali się w sześciu w makietowej. Kędzior, który wziął na siebie sprawne, ale przy tym dyskretne sprowadzenie wszystkich o tak wczesnej porze, musiał się przy tym solidnie naganiać – a Bliźniaków dodatkowo spacyfikować, uśpić eterem, przynieść i dobudzić na miejscu, bo byli trochę oporni – ale w końcu się udało. Wreszcie po ostatniej szybkiej przebieżce po korytarzach zziajany opadł na krzesło i machnął ręką w stronę Milczka.

– Ty mów – wysapał.

Milczek przez chwilę patrzył na niego jak na debila.

– A, fakt. – Olbrzym klepnął się w czoło. – No dobra, więc ja... tylko chwila.

Sapnął jeszcze kilka razy, spiorunował wzrokiem Kruszynę, który mimowolnie zaczął przestawiać figurki, a potem przymknął oczy i powiedział:

– Nie reagujcie zbyt gwałtownie, ale do mamy przyjechał facet...

Zrobił pauzę, bo wciąż brakowało mu oddechu, ale pozostali zrozumieli to opatrznie jako koniec zdania. Stalówka prychnął i wstał.

– Nie pierwszy i nie ostatni – stwierdził. – Kto wie, może nawet nie ostatni dzisiaj, bo niedawno tak coś sporo gadała z robolami remontującymi atrakcje. Jeżeli po to nas tu ściągnąłeś, to słowo daję...

Przerwał i spojrzał na Milczka z niedowierzaniem.

– Co ty tam mignąłeś? – zapytał.

Milczek powtórzył gest.

– O kurwa – mruknął Pierwszy. – Jesteście pewni? Przecież on już wtedy był stary, mógł mieć...

– ... ze trzydzieści lat – odruchowo dokończył Drugi, a potem nagle zdał sobie sprawę, co powiedział. – To nie tak znowu dużo, brachu. My tyle mamy.

Stalówka złapał za kieszeń i wyciągnął z niej papierosy. Wysunął jednego, ale zaraz spojrzał na wymiętą paczkę i pokręcił głową. Schował paczkę z powrotem.

– Ciekawe, czego tu chce – powiedział. – Przecież mama wyraźnie powiedziała mu, że nie ma u nas czego szukać.

– Nie wyglądała dziś, jakby specjalnie chciała podtrzymywać tę opinię, wiesz? – odparł Kędzior. – Pytanie, co zrobimy my.

– Wy róbcie, co chcecie. – Kruszyna podniósł się tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, runęło na podłogę. – Ja nie chcę go tu widzieć. Albo on, albo ja. Chodźmy, Panie Proper.

Dopiero wtedy zauważyli kota, który siedział na parapecie, tuż za firaną. Teraz zwierzak przeskoczył na makietę i bardzo ostrożnie przeszedł pomiędzy małymi drzewkami. Gdy już miał zeskoczyć, spojrzał na Kędziora i uniósł łapę. A potem przewrócił figurkę kapitana Haka.

– Jebany sier... – zaczął Kędzior, ale Stalówka błys-
kawicznie skoczył do niego i zasłonił mu ręką usta. Jednocześnie ustawił się między nim a grubasem.

– Idź, Kruszyna – powiedział. – My tu sobie pogadamy. Tylko prośba, póki czegoś nie ustalimy, czy mógłbyś nie...

Grubas przechylił lekko głowę.

– Nie kończyć tego, co zacząłem? – zapytał. – Nie wiem, Stalówka. Mogę się co najwyżej postarać.

* * *

To nie był udany grill. Nie dla Kędziora, który przyszedł spóźniony, a na pytania, co się stało, burknął coś w odpowiedzi i pobiegł zaraz w stronę jeziora. A potem przez większość czasu siedział tam, na przemian zaciskając i luzując pięści, gapiąc się w wodę i mrucząc coś do siebie.

Przychodzili do niego po kolei, a to z kiełbaską, a to pogadać, dźgnąć patykiem, by się wkurzył, wreszcie po prostu pomilczeć. Wszyscy za wyjątkiem Dzwoneczka i Mata, którzy siedzieli na zwalonym pniu i przyglądali się całej sytuacji z pewnego oddalenia. To znaczy Dzwoneczek się przyglądała, bo Mat zajęty był raczej piciem piwa i mało dyskretnym macaniem wróżki po tyłku.

– Pójdę do niego – stwierdziła wreszcie Dzwoneczek. – Muszę się dowiedzieć, co się stało.

Mat spojrzał na nią i beknął głośno.

– Robisz z nich prawdziwych mężczyzn, wiesz? – zakpił. – Byle pierdoła i już przylatuje mamusia, by potrzymać za siurka. Kurwa, dziewczyno, daj im trochę luzu. Radzą sobie.

– Właśnie widzę. – Brodą wskazała na szybujący nad jeziorem talerz z karkówką.

Mat sapnął.

– Dobra, chuj – mruknął, podnosząc się mozolnie. – Ja pójdę i z nim to załatwię. Ale za to w nocy nie będzie jęczenia, że... znaczy czekaj, będzie jęczenie, ale... kurwa!

Uśmiechnęła się.

– Zdecydujesz się później – stwierdziła. – Choć właśnie zaczęłam się zastanawiać, czy w ogóle nadajesz się do jakiejkolwiek rozmowy. W tym stanie.

– Dziewięćdziesiąt procent męskich problemów załatwia się po pijaku, mała – odparł. – Reszta to te, gdzie w grę wchodzą noże.

Zataczając się lekko, minął palenisko i przystanął przy Bliźniakach czających się za kamieniem.

– Wiem, że chcecie mu pomóc, chłopaki, ale jak dźga-
nie patykiem nie pomogło, to rzucanie w niego korą też nie zadziała – powiedział. – Lepiej idźcie nastawić udka na grilla albo co. Zaraz przyjdę i coś bym opierdolił. A jak się wtedy nie da, to pewnie kogoś.

Pierwszy zachichotał. Drugi nie zrozumiał, ale zaufał poczuciu humoru brata i również się roześmiał, a potem obaj wyprostowali się i pognali w stronę ziemianki pełniącej funkcję lodówki.

Mat podszedł do Kędziora i opadł ciężko na ziemię. Wygrzebał ze spodni paczkę papierosów i zapalił. Przez chwilę siedział w milczeniu, a potem pierdnął głośno. Kątem oka dostrzegł, że kącik ust Kędziora uniósł się lekko. Zaraz potem rudzielec zmarszczył nos i zamachał przed nim ręką.

– Dobra – stwierdził Mat. – Ja już wyrzuciłem z siebie to, co mnie cisnęło. Twoja kolej.

Kędzior westchnął, ale nie odezwał się słowem. I gdy już wydawało się, że tego w ogóle nie zrobi, zapytał:

– Czy mama jest kurwą?

– Ode mnie nie bierze ani złotówki. – Mat wypuścił dym nosem. – A co, ktoś ci tak powiedział?

Kędzior wzruszył ramionami.

– Tak jakby.

– Nie wiem, co taki tekst znaczy dzisiaj, ale jak ja byłem młody, to nazwanie czyjejś matki kurwą to był rodzaj zaproszenia.

– Jak to?

Tym razem wypadła kolej Mata, by wzruszyć ramionami.

– Normalnie, znaczyło to mniej więcej: „Zapraszam cię do wnętrza moich bebechów. Zanim staniesz na wątrobie, starannie wytrzyj buty”.

Jeśli Mat myślał, że to rozbawi rudzielca, to się przeliczył. Chłopiec tylko machnął ręką.

– Gdyby mówili to do mnie i wprost, to nie byłoby problemu – powiedział. – Ale oni tak mówią za moimi plecami, szepczą, spiskują, a co gorsza to samo mówią ich rodzice. Że mama to kurwa. I teraz słyszę to tyle razy, i wiem, że muszę się o nią bić i w ogóle, ale tak z całym światem? I co, jeśli rzeczywiście nią jest?

Mat milczał przez chwilę, a potem nagle wstał i poszedł po dwa piwa. Gdy wrócił, otworzył oba i jedno podał Chłopcu. Ten wziął bez słowa i od razu upił duży łyk.

– Wracając do tematu – powiedział Mat, rozsiadając się na piasku i odpalając kolejnego papierosa. – Parę dni temu rano wasza mama chciała, bym zrobił coś z tym listonoszem, któremu nie chce się włazić do góry z poleconymi i ciągle zostawia awizo. Powiedziałem, że nie będę się mieszał, ale ona zrobiła mi laskę. I co? Dziś paczuszka była na górze, a listonosz przyniósł ją prawie w zębach. Znaczy tych, co mu zostały.

Zrobił przerwę na dopicie piwa i cisnął puszką w jezioro.

– I teraz co? Ubiliśmy biznes, w grę wchodził seks, więc ktoś tu się skurwił. Tylko pytanie: kto? Ona czy ja?

– No... chyba ty – spróbował Kędzior. – Albo ona... sam nie wiem.

Mat klepnął go w plecy.

– To ja ci powiem, rudy. Nieważne. Nie ma to pierdolonego znaczenia, bo to nie jest niczyja sprawa, ani jak zarabiamy, ani czy któreś z nas lubi w dupę. Dopóki nikomu nie dzieje się krzywda, każdy ma prawo robić, co chce, a reszta ma się nie wpierdalać. A kiedy ktoś nagle zacznie, to tak jakby ci wlazł do domu w Teksasie. Wiesz, jak tam się to załatwia?

Kędzior pokręcił głową.

– Krótkie „wypierdalaj”, a potem ładujesz w niego, czym popadnie – wyjaśnił Mat. – Odpowiadając na twoje pytania: tak, mały, masz się o nią bić i to z pierdolonym całym światem, nawet ze mną, jeśli będzie trzeba. Bo to twoja mama. Zrozumiałeś? Tak? To zapierdalaj do ogniska!

Kędzior wahał się przez moment, ale w końcu wstał.

– A, jeszcze jedno, rudy. – Mat złapał go za rękę.

– Tak?

– Naucz się doceniać kurwy, chłopie, tak na przyszłość. One przynajmniej stawiają sprawę uczciwie. W obu znaczeniach.

* * *

Pierwszy wrócił do Makietowej, stanął w progu i rozłożył ręce.

– Nie ma ich, obojga. Pokój pusty, sprawdziłem kuchnię, piwnicę... Na zewnątrz też nie. Motocykl stoi, ma na baku jakiegoś hipka w hełmie i z włócznią.

– Może wstąpił do jakiegoś klubu, kiedyś już był, nie? A co do tego, gdzie są, gdzieś być przecież muszą –
stwierdził Kędzior. – Nie wierzę w tajne przejścia pod parkiem. To znaczy w takie, których nie znamy, nie Milczek? Poza tym... Ej, kto się tam, kurwa, tak tłucze?!

Pierwszy obejrzał się przez ramię.

– Kruszyna – odparł.

– A co właściwie robi?

Pierwszy spojrzał jeszcze raz.

– Kruszyna, co ty właściwie robisz?

Usłyszał odpowiedź i pokiwał głową.

– Mówi, że stara się nic.

– Nic co? – nie zrozumiał olbrzym.

– Nic nie robić. To pewnie przez to, co wcześniej powiedział mu Stalówka, żeby, no wiesz... Więc napierdala piąchą w ścianę.

Do pokoju wrócili Stalówka z Drugim. Albinos usiadł na krześle, oparł nogi na rogu makiety i odchylił się do tyłu. Minę miał taką, że Kędzior zmilczał uwagę na temat niszczenia plaży i kawałka wydmy.

– Nie ma ich – powiedział Drugi. – Wyjechali.

Milczek machnął ręką, a Kędzior zaraz się z nim zgodził.

– No właśnie, Gaduła dobrze mówi. Jak pojechali, jeśli maszyna stoi? Mat jako plecak u mamy? No weź, kurwa, przestań.

– Wzięli samochód. – Stalówka wyciągnął z pomiętej paczki równie wymiętego papierosa i obrócił go w palcach. – Ale motor zostawił, więc wróci.

Kędzior postukał się po nosie, zastanawiając się, czy zależy mu na koronie mistrza taktu. Nie zależało.

– Stary, jeżeli chciałeś wkurwić Mata, mówiąc „motor”, to raz, że on zawsze miał na to wyjebane, a dwa, że go tu nie ma, wiesz?

Stalówka jednak albo w ogóle nie usłyszał jego słów, albo postanowił się nimi nie przejąć. Obracając tylko w palcach papierosa, mrużył oczy i ściągnął usta.

– Po co tu przyjechał? – powtarzał sobie cicho. – Po jaką właściwie cholerę?

Przez chwilę patrzyli po sobie, słuchając szeptów Stalówki i rytmicznych uderzeń pięści Kruszyny o mur.

Pierwszy odbił się plecami od ściany i podszedł do makiety. Podniósł jeden z wigwamów, postukał w niego palcem, odłożył.

– A może to niewłaściwe pytanie? – mruknął. – Może raczej powinniśmy zapytać: dlaczego właśnie teraz?

Stalówka przestał bawić się papierosem i wepchnął go za ucho. Pozwolił, by przednie nogi krzesła opadły na podłogę, a potem ściągnął buciory z makiety, ku wyraźnej radości Kędziora.

– Sugerujesz, że przyjechał tu, bo zwietrzył kasę?

Pierwszy wzruszył ramionami.

– Wiesz, w świat poszła wieść, że inwestujemy, w prasie i sieci parę artykułów, że ruszamy z lunaparkiem. Śmierdzi szmalem, a kto wie, w jakie kłopoty władował się tym razem, nie?

Stalówka powoli pokiwał głową, po czym nagle zerwał się na równe nogi.

– Kurwa, dajcie mi numer do banku!

* * *

Drzwi były uchylone, ale żeby dostać się do środka, trzeba było naprzeć na nie i przesunąć leżący regał. Najwyraźniej upadł już po tym, jak wyszli. Pierwszy wchodził Kruszyna, zaraz za nim Kędzior uzbrojony w tulipana z butelki po oranżadzie. Wyglądałby z nim naprawdę groźnie, ale czkawka, którą wywołało pospieszne wypicie gazowanego napoju, skutecznie psuła efekt.

Pozostała czwórka trzymała się razem, by jak przyjdzie co do czego, zaatakować kupą, zwalić z nóg i kopać, gdzie się da, dokładnie tak, jak opowiadał im kiedyś Mat, gdy w mieście zaczęto mówić głośno o szwendającym się elemencie obnoszącym się z workami z klejem.

Okazało się jednak, że nie było takiej potrzeby, bo sprawców zamieszania już w mieszkaniu nie było. Był za to pobity do nieprzytomności, zakrwawiony Mat na środku dywanu, opróżnione szafki, powywracane meble i potłuczone szyby w regałach. Poduchy kanapy rozcięto wzdłuż i wszerz, obrazki i zdjęcia leżały pogniecione w stłuczonych ramkach.

W takich chwilach natychmiast okazywało się, kto jest wśród Chłopców niekwestionowanym przywódcą. Pięć par oczu skierowało się na Stalówkę, który z rękami na biodrach rozglądał się po bałaganie. Nie wyglądał na przestraszonego. Wręcz przeciwnie. Był wściekły.

– Kurwa mać – cedził – jak mama wróci, to go dobije zwyczajnie. Po prostu go, kurwa, zapierdoli.

Leżący na ziemi Mat zaskrzeczał coś bełkotliwie i zaraz zorientowali się, że został pobity, gdy był już na solidnym znieczuleniu. Ostatnio coraz częściej mu się ono zdarzało i zdawało się, że z każdym kolejnym razem szedł w to coraz głębiej i paskudniej. Po ostatniej takiej akcji mało się nie zabił na motocyklu i mama, gdy tylko poczuł się lepiej, chciała go

wyrzucić, ale przepraszał ją na kolanach cały dzień, a potem inaczej przez całą noc i wreszcie ustąpiła, dała jeszcze jedną szansę. Teraz nie minął tydzień, ona wyjechała na dwa dni i wszystko, od mieszkania po obietnice, poszło w diabły. A przecież dzisiaj, za parę godzin miała wrócić. I do czego? Do kogo? Stalówka miał ochotę jednocześnie płakać i sam dokończyć robotę za obcych.

Tymczasem Drugi podszedł do Mata i obejrzał go dokładnie, dotykając rąk, żeber, zalanej krwią twarzy i obserwując reakcje.

– Co robimy? – zapytał. – Chyba trzeba by mu pomóc, nie? Solidnie mu wtłukli.

Stalówka pokręcił głową, po czym wyciągnął przed siebie rękę i zaczął komenderować:

– Najpierw ważniejsze sprawy. Milczek, idź do sypialni mamy, sprawdź, czy nie zabrali kasetki spod listwy. Kędzior, obadaj kosztowne straty, zwłaszcza co się stłukło, co jest do wymiany, a co da się uporządkować. Kruszyna, zacznij sprzątać szuflady. Pierwszy... Przykro mi, tym razem padnie na ciebie.

Bliźniak westchnął.

– Pani Kazia?

– Ta jest – potwierdził albinos. – Smutne oczy, rzewna historyjka. Pożycz, ile się da w gotówce. Pan Włodek ogarnie nam szyby ekspresem, ale po ostatnim nie zrobi tego na krechę. Drugi, zobacz, czy wanna czysta, i odpal junkers, a potem przyjdziesz mi z nim pomóc.

Wszyscy błyskawicznie wzięli się do pracy, a Stalówka jeszcze raz rozejrzał się po pokoju i powoli podszedł do leżącego Mata. Zdjął z siebie koszulkę polo, w którą był ubrany, i najpierw otarł mężczyźnie usta ze śliny, a potem spróbował choć trochę zetrzeć z jego twarzy zaschniętą krew. W międzyczasie kilka razy przedramieniem ocierał własne łzy, słone i gorące. Czerwone oczy lśniły jak dwa rubiny.

– Kim oni byli? – pytał szeptem. – Z kim znowu zadarłeś, Mat? Czego szukali?

Mężczyzna zdołał tylko coś wybełkotać i z trudem unieść na moment rękę. Stalówka znów wytarł mu ślinę z kącika ust.

– Dlaczego nam to robisz, Mat? Dlaczego robisz to jej? Myślisz, że potrzebny nam w życiu jeszcze jeden pierdolony Piotruś?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo właśnie wtedy zjawił się Drugi i razem zanieśli mężczyznę do łazienki. Rozebrali go, a potem ostrożnie i z niemałym trudem włożyli do wanny z letnią wodą.

Na szczęście pod skorupą krwi nie wyglądało to tak źle. Nic, czego nie dałoby się wytłumaczyć wspólną, może trochę zbyt brutalną zabawą. Oczywiście jeżeli miałoby to być wiarygodne, trzeba było jeszcze dopilnować paru szczegółów, ale Stalówka wiedział, że z tym nie będzie problemu.

– Idź, powiedz chłopakom, że jak tylko ogarniemy Mata, to się szykuje naparzanka na kije. Bez ochraniaczy, bo ma to potem wyglądać.

Drugi pokiwał głową, minę miał jednak całkowicie poważną. Bo przecież wcale nie chodziło o zabawę. Nie tym razem. Ruszył, ale zatrzymał się w progu.

– Stalówka, ale mama go nie wyrzuci, prawda? – zapytał.

– Mam nadzieję, że nie – odparł albinos.

– Ja też mam nadzieję. Bo on jest prawie jak...

– Idź już! I zapytaj Milczka, co z kasetką, a potem wyślij, niech się dowie, komu Mat tym razem leci kasę i ile.

– Jasne.

Stalówka odczekał, aż bliźniak wyjdzie, po czym przełączył wodę na zimną i odkręcił pełen strumień.

– Ostatni raz, Mat – powiedział, spłukując rdzawy pył z niemal bezwładnego ciała. – Nieważne, jak bardzo mógłbyś być naszym... To ostatni raz. Przyrzekam na mamę... Na ciebie.

Przykręcił zimną i odkręcił gorącą wodę. Polała się mocnym strumieniem.

– Ostatni, kurwa, raz.

* * *

– Kurwa! – Stalówka prawdziwym wysiłkiem woli zmusił się, by nie cisnąć telefonem o ścianę. – Zajęte! Cały czas, kurwa, zajęte.

– Ciągle dzwonisz do tego banku? – zapytał Pierwszy. – Czy już gdzie indziej?

– Do banku.

Stalówka jeszcze raz wybrał numer i przyłożył aparat do ucha. Ale zaraz odsunął go jeszcze bardziej wściekły.

– No żeż kurwa pierdolona mać!

Kędzior wstał i poprawił pasek.

– Dobra, panowie – stwierdził – najwyższa pora, żeby jebać zasady. Kto ma proszek? Jak się uwiniemy, będziemy w miasteczku przed nimi.

Stalówka otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale stojący za nim Milczek podsunął mu swój telefon pod nos. Albinos szybko przeczytał SMS-a.

– Kto to napisał? – zapytał.

Milczek zamigał.

– Dobra robota. To teraz niech uprzedzi koleżanki w innych okienkach, no i kierownika. To jednak nadal nie rozwiązuje sprawy, bo jak Mat się uprze, to nakłoni mamę do przelewu, a to mogą zrobić przecież skądkolwiek i...

Drugi pokręcił głową.

– Ja w ogóle cię nie rozumiem, Stalówka. Znaczy skąd taki pomysł – powiedział. – Ile razy Mat podebrał nam kasę? Ile razy pokazał, że o to mu

chodzi? Zrobił to raz, a potem oddał bez gadania. I owszem, odpierdolił potem parę akcji, w tym tę ostatnią, ale przecież to...

– ... Mat – dokończył Pierwszy. I zaraz klepnął się w czoło. – Ty, a próbował ktoś w ogóle zadzwonić na komórkę mamy?

Stalówka natychmiast wybrał numer, ale odpowiedziała mu poczta głosowa.

– Kurwa!

Telefon w ręce Milczka zawibrował i niemowa odebrał kolejną wiadomość. Przeczytał szybko i pokazał Stalówce.

– Szlag – mruknął tamten. – Jak ja nienawidzę mieć racji. Jednak przyszli.

Ale Milczek pokręcił głową i zamigał.

– Kelnerka? – zdziwił się Stalówka. – Kurwa, Milczek, ile ty masz dup w tym cholernym mieście?

Blondyn wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko, a gdy telefon zawibrował raz jeszcze, pokazał wiadomość Stalówce bez uprzedniego czytania.

– Są w kawiarni Cała w Trawie – powiedział albinos. – I jest z nimi kilku innych motocyklistów.

– Jakieś barwy? – zapytał Pierwszy.

Milczek spojrzał na niego z politowaniem, a potem schował telefon do kieszeni i zamigał do Stalówki. Ten pokiwał głową.

– Tak. Jedziemy – zadecydował. – Bliźniacy, zostańcie z Kruszyną, żeby nie zrobił niczego głupiego, i dajcie znać, jakbyśmy się z nimi rozminęli.

Zrobił krok, ale zawahał się, przystanął.

– Jakby Mat się tutaj zjawił, to go zatrzymajcie. Choćby nie chciał. Choćby mama nie chciała. Bo to niemożliwe, żeby wrócił ot tak, z sentymentu. Skur-
wiel nie ma sentymentów.

Idący za nim Milczek uniósł rękę, by zamigać, ale zaraz ją opuścił. Uznał, że nie warto.

* * *

Nawet wędrówka do spożywczaka wyglądała inaczej, gdy szedł z nimi Mat. Czuli się wtedy jak prawdziwy gang ze starych filmów, trochę jak ci goście z *West Side Story*, tylko bez tego całego pedalskiego tańczenia. Jak im było? Odrzutowce, no właśnie. A drudzy to Rekiny.

A my jesteśmy po prostu Chłopcami. Zadrzyj z nami i jesteś zgubiony! – pomyślał Milczek i uśmiechnął się pod nosem. Uznał, że, cholera, fajnie byłoby to powiedzieć na głos, może chłopaki by podłapali. Miganiem to jednak nie to samo. Zupełnie jak wtedy, gdy migał Bangarang. Albo Kukuryku...

Szli teraz we czwórkę: Mat, Kędzior, Kruszyna i Milczek właśnie, mężczyzna w środku, grubas od ulicy. Szli tym wyluzowanym, sprężystym chodem, gdy nigdzie się nie śpieszysz i masz gdzieś, że zajmujesz cały chodnik, bo przecież nikt ci nie podskoczy. Aż szkoda było wchodzić gdzieś do sklepu – wąskie drzwi za nic miały lans i najwyraźniej nie było dla nich lepszych i gorszych wejść. Wszystkie liczyły się jednakowo, dla wszystkich było to samo dzyń dzwonka umieszczonego nad framugą.

Mat zatrzymał się pod spożywczym i sięgnął do kieszeni. Wyciągnął wymiętą paczkę papierosów i zwitek jeszcze bardziej pogniecionych banknotów.

– Dla mnie fajki – powiedział. – Jakby nie chciała wam sprzedać, to powiedzcie, że tu stoję. A tu macie gdzieś listę od mamy... Gdzieś, czekaj. Nie, chyba zgubiłem.

– Mleko, mąka, dżem i jajka – wyrecytował Kruszyna. – Mają być naleśniki, więc wiem, co trzeba.

Mat i Milczek popatrzyli po sobie i niemal równocześnie wzruszyli ramionami, wymieniając uśmiechy. Grubas natomiast pchnął drzwi i wszedł do sklepu. Kędzior zawahał się, obejrzał, ale po chwili również ruszył do środka.

Milczek już miał podążyć ich śladem, gdy nagle zauważył mężczyznę obok wielkiego turystycznego motocykla stojącego na parkingu naprzeciwko. Akurat z miejsca od strony ulicy odjechał telekomunikacyjny Żuk. Maszyna i jej właściciel stali się doskonale widoczni. Milczek pokazał ich Matowi.

Ten zaśmiał się pod nosem, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– O proszę – powiedział, po czym sprawdził zawartość paczki i ruszył przez ulicę. – Poczekaj tutaj.

Milczek nie miał zamiaru się sprzeciwiać, choć korciło go ogromnie, by poznać tego mężczyznę, wyglądającego dość niezwykle w starej lotniczej kurtce z futrzanym kołnierzem, goglach i kasku przypominającym wojskowy hełm. Szyję miał ów jegomość owiniętą grubym, poszarzałym szalikiem, a na dżinsowych spodniach naszyte wielkie płaty skóry, jak u kowbojów. Chłopiec ostatnio widział takie albo bardzo podobne w jakimś filmie ze „Starego Kina”.

Przez ramię mężczyzna miał przewieszoną żołnierską pałatkę i wyglądał, jakby się zastanawiał, gdzie powinien ją upchnąć. Nie było to z pewnością proste zadanie, gdyż jego motocykl był już przeładowany – miał nie tylko ogromne sakwy po obu bokach, ale też tobołek podwieszony pod kierownicą i wielki plecak przywiązany gumowymi linkami do stelaża za siedzeniem. Parciana wojskowa kostka leżała obecnie na siedzeniu i Milczek był pewien, że mężczyzna podczas podróży wiezie ją na brzuchu.

Mat zbliżył się do motocyklisty, uścisnął mu rękę, jakby znali się od dawna, a potem poczęstował wymiętym papierosem. Tamten skorzystał, ale nie zapalił, tylko schował do kieszonki na piersi. Potem o coś zapytał, a Mat odpowiedział, kładąc mu rękę na ramieniu i ściskając.

Chwilę to trwało i w międzyczasie Kruszyna z Kędziorem zdążyli już wrócić. Rudzielec zapytał, co się dzieje, a gdy Milczek wyjaśnił, zaczął przedrzeźniać rozmawiających. A zwłaszcza Mat.

– Słuchaj, łazęgo – mówił, siląc się na lekko schrypiały, skrzekliwy głos mężczyzny. – To miasto jest za małe dla nas dwóch. Po prawdzie to jest tak małe, że jak chcę wyciągnąć mojego ze spodni, to muszę ruchać już kogoś z wioski obok. Więc zabieraj się stąd, póki...

– E, źle – mruknął Kruszyna. – Przecież oni się wyraźnie lubią. Zupełnie nie umiesz tego robić.

Kruszyna obruszył się na moment, ale zaraz podjął kolejną próbę.

– Oż ty w dupę, stary. Zostałeś zawodowym żulem! Kurde, a jak o tym mówiłeś w szkole, to nikt nie wierzył, że ci się uda...

Przerwał. Zerknął najpierw na Kruszynę, potem na Milczka, ale żaden z nich nie zareagował. Machnął więc ręką i ułamał kawałek zakupionej przed chwilą bagietki.

– A chuj wam w dupy, ponuraki. Co jeden, to większy Stalówka.

Tymczasem Mat skończył pogawędkę i wrócił biegiem do chłopców. Wyraźnie promieniał.

– Trzeba powiedzieć waszej mamie, że będziemy mieć dzisiaj gościa na kolacji. A potem rozbije sobie namiot na działce i rano pojedzie dalej.

– Znasz go? – zapytał Kędzior. – Jak się nazywa?

– Tacy jak on nie mają imion – odparł Mat, biorąc od Kruszyny świeżą paczkę papierosów. – Nie potrzebują, bo albo mówisz bezpośrednio do nich, albo zwykle nie mówisz wcale. To Wagabunda. Jeden z wielu. A może jedyny i ciągle ten sam.

Milczek zamigał pytanie, a Mat wzruszył ramionami.

– Nie wiem, mały. Trudno mi powiedzieć, dlaczego tak mnie cieszy jego widok – odpowiedział. – Może dlatego, że dawno żadnego nie widziałem, a tacy jak on to dobry znak.

– Znak? – zdziwił się Kruszyna.

– Wszyscy żyjemy na Drodze – wyjaśnił Mat. – Czasem robimy postoje, ale zwykle jesteśmy w ruchu, nie? Czy wy, czy ja... wszyscy. Każdy albo od czegoś ucieka, albo za czymś goni. A oni po prostu są. Jak Droga. Bo Droga.

Zapalił świeżego papierosa, zaciągnął się i przez chwilę patrzył na żar. A może przez żar na Wagabundę... A potem nagle jakby się otrząsnął i powiódł wzrokiem po chłopcach.

– Spółdzielcza czternaście przez osiem, prawda? Nie pojebałem adresu?

Milczek pokręcił głową. Wszystko się zgadzało.

* * *

Tuż przed samym wyjazdem dokonały się małe przetasowania, bo okazało się, że Bliźniacy też chcą jechać, i to od razu we dwóch. A że Kruszyna sam zostać nie mógł, Pierwszy i Drugi jak zwykle ograli Kędziora w marynarza. Stalówce było to nawet na rękę, bo w razie czego rudowłosy olbrzym był jedynym, który mógłby dać radę – przynajmniej dłużej niż chwilę – grubasowi i jego kotu.

Kruszyna, Kędzior i Pan Proper siedzieli więc teraz w trójkę na tej samej ławce, na której rano olbrzym siedział z Milczkiem. Patrzyli przed siebie tępo. To znaczy Kruszyna patrzył, bo Kędzior wiercił się trochę, rozglądał i ewidentnie nudził. W końcu przerwał milczenie.

– No więc tego... Mat. Tak jakby chujowo, nie?

Kruszyna nie odpowiedział, tylko potrząsał zakrwawioną ręką i patrzył przed siebie. Wreszcie Pan Proper wdrapał mu się na kolana i jakby od niechcenia zaczął zlizywać krew. Grubas pozwolił mu na to i próbował pogłaskać zwierzaka lewą ręką. Na to jednak nie pozwolił kot.

W końcu po długiej, ciągnącej się w nieskończoność chwili ciszy Kruszyna westchnął i powiedział:

– Czasem tęsknię.

Kędzior, który akurat zaczął przysypiać, potrząsnął mocno głową i przetarł oczy wierzchem dłoni.

– Tęsknisz? – upewnił się, czy dobrze usłyszał. – Za Matem?

– Za mamą – odparł Kruszyna. – Za mamą, jaka była wtedy. Z nim.

Olbrzym objął grubasa ramieniem i westchnął.

– Mimo wszystko fajnie było, kiedy był z nami, nie? – stwierdził. – Więc może nie zapierdol go tak od razu? Skoro mama mu wybaczyła...

Kruszyna strącił jego ramię i wstał.

– To znaczy, że jest głupia! – warknął. – I że nie możemy jej ufać!

– Opiździałeś?! Nie ufać mamie?!

A wtedy Kruszyna przechylił głowę i uśmiechnął się tak paskudnie, tak dorośle, że olbrzyma przeszły ciarki. A potem aż zadygotał, gdy grubas zapytał:

– A co będzie, jeśli tak samo wybaczy innemu Piotrusiowi? Prawdziwemu?

* * *

Ta najgorsza ze wszystkich noc zaczęła się od kociego wrzasku. Zaraz po nim rozległ się donośny huk, brzdęk i głośna, nieco bełkotliwa wiązanka przekleństw.

Kruszyna pierwszy poderwał się ze swojego łóżka i jako jedyny zdążył opuścić nogi na podłogę i włożyć kapcie, nim drzwi do pokoju otworzyły się z hukiem i do środka wpadł, zataczając się, Mat.

– Gdzie on, kurwa, jest? – wydyszał ciężko. – Gdzie ten pierdolony sierściuch, który nasrał w kuchni?

Pierwszy parsknął śmiechem. Choć natychmiast przysłonił usta ręką, Mat posłał mu gniewne spojrzenie i ruszył w jego stronę.

– To cię śmieszy? Co jest takiego, kurwa, zabawnego w tym, że mało się nie zabiłem, bo jebany tłuścioch nie potrafi się powstrzymać przed znoszeniem do domu jebanych, kurwa, wyleniałych sierściuchów?!

Odwrócił się gwałtownie i wsparł ręką o ścianę. Patrzył teraz na Kruszynę z takim gniewem, taką wściek-
łością, jak jeszcze nigdy na żadnego z nich. A przecież w ostatnich tygodniach zdążyli się już przyzwyczaić do jego wybuchów i humorów. Od przeszło miesiąca Mat każdego dnia coraz mniej był sobą, a coraz bardziej zapijaczonym, czepiającym się wszystkich dorosłym. Tak zdenerwowany nie był jednak jeszcze nigdy.

– No, grubasie, gdzie jest ten jebany, pierdolony sierściuch?

Kruszyna wtulił głowę w ramiona i głośno przełknął ślinę. Odpowiadać nie zamierzał, bo, po pierwsze, nie miał pojęcia – kot mógł być gdziekolwiek w mieszkaniu – a po drugie, był całkowicie pewien, że Mat zrobi mu jakąś paskudną krzywdę. Chłopiec wolał już samemu oberwać, niż pozwolić, by skrzywdzono niewinne zwierzątko.

Mat ruszył w jego stronę, wkładając sporo wysiłku, by iść prosto. Poruszał się przez to trochę jak rewolwerowiec, lekko przechylony na bok, z ręką odstającą od ciała. Wzrok skupił na Kruszynie.

– Wiesz, że go znajdę i zajebię, prawda? Wiesz, gruba...

– Przestań się drzeć!

Mat odwrócił się i dostrzegł stojącą w progu Dzwoneczek. Miała na sobie jego podkoszulek, sięgający jej prawie do połowy uda, za to częściowo odsłaniający drobne piersi. Twarz miała skupioną, w oczach śpiochy i odrobinę strachu, usta ściągnięte. Włosy, spięte pospiesznie spinką, sterczały w każdą stronę. Nie wyglądała groźnie, ale mimo to Mat poczuł potrzebę, by się wytłumaczyć.

– Grubas znowu zniósł do domu jakiegoś sierściucha. On cię, kurwa, w ogóle nie słucha. Ani mnie!

Uderzył się w pierś i zatoczył, ale udało mu się utrzymać równowagę. Charknął i splunął na podłogę.

– Ani mnie – powtórzył.

Dzwoneczek wzięła głęboki oddech, na moment zamknęła oczy, po czym otworzyła je i spróbowała się uśmiechnąć. Weszła do pokoju i powiodła wzrokiem po przestraszonych twarzach chłopców. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wszyscy prócz Kruszyny odpowiedzieli tym samym. Wróżka wsunęła się pod uniesione ramię Mata i wtuliła w niego.

– Jutro się tym zajmiemy, dobrze? – szepnęła. – A teraz chodźmy już do łóżka.

Pociągnęła go lekko w stronę drzwi, a on nawet zrobił dwa niepewne kroki, ale zaraz potem przystanął.

– Nie jutro – mruknął. – Nie jutro, tylko teraz. Muszę... muszę znaleźć i zajebać sierściucha.

– Nie musisz, Mat – odparła Dzwoneczek. – Naprawdę powinniśmy się już poło...

Nie dokończyła, bo nagle wyrwał się jej gwałtownie, wypchnął ją przed siebie i z całej siły uderzył pięścią w twarz.

– Nie mów mi, kurwa, co mam robić – warknął. – Nie próbuj być jak oni wszyscy, kurwo.

Dzwoneczek opadła na kolana i złapała się za twarz. Spomiędzy palców popłynął strumień krwi, chlapiąc na dywanową wykładzinę w samochody.

Może i dobrze, pomyślała Dzwoneczek. I tak mieliśmy ją zmieniać, bo stara już jest i... Zaraz jednak tę irracjonalną myśl wyparła inna, przerażająca wizja tego, co się zaraz stanie. Uniosła głowę i odsunęła ręce od twarzy, by zawołać: „Chłopcy, nie!”.

Ale było już za późno.

– BANGARANG! – wrzasnął z górnego łóżka Kędzior i cisnął w Mata wielką, puchową poduszką, a potem skoczył w ślad za nią, uwieszając się na plecach mężczyzny.

Pozostali także zerwali się z łóżek, również z tym samym okrzykiem na ustach, z zaciśniętymi pięściami i dziką wściekłością w oczach.

Bliźniacy rzucili się do kolan, Stalówka z Milczkiem złapali za ręce, Kruszyna bykiem wyrżnął Mata w brzuch. Bez trudu obalili go na ziemię, by tam gryźć, drapać i okładać pięściami po twarzy.

Mężczyzna oczywiście walczył zaciekle, szarpał się i próbował oswobodzić. W pewnej chwili nawet zrzucił z siebie Kruszynę, ale chłopiec wrócił, ściskając w ręku model myśliwca na metalowym stojaku. Wyrżnął nim Mata w czoło, tnąc głęboko, do kości.

Dzwoneczek podniosła się z kolan, otarła twarz ręką i włożyła dwa czerwone od krwi palce do ust. Gwizdnęła głośno.

Chłopcy zatrzymali się w pół ruchu, a potem powoli, niechętnie zsunęli z mężczyzny i wycofali pod swoje łóżka. Powoli docierało do każdego z nich, co się stało. Co właśnie wspólnie zrobili i jakie będą tego konsekwencje. Tak naprawdę jednak wciąż czekali, co zrobi Dzwoneczek, co zadecyduje mama.

Wróżka stanęła przed Matem, pociągnęła nosem, charknęła i splunęła na bok krwią. Następnie wyciągnęła rękę. Mężczyzna ją chwycił, a potem z trudem się podniósł. Wielki płat skóry zwisający mu z czoła odgarnął jak grzywkę i przytrzymał lewą ręką.

– Masz pół godziny, żeby zebrać stąd wszystkie swoje rzeczy i zniknąć z naszego życia – powiedziała Dzwoneczek hardo, groźnie. – Twój motocykl zatrzymuję pod zastaw tego, co jesteś mi winien, ale resztę zabieraj i się wynoś. A jeśli jeszcze kiedykolwiek zobaczę cię w pobliżu moim lub chłopców, zabiję cię. Słyszysz?

Pokiwał głową, dysząc ciężko.

– A wierzysz?

Uniósł wzrok i mimo bólu spróbował się uśmiechnąć.

– Wierzę w gniew wróżki – wyszeptał i westchnął głęboko.

Zatoczył się w stronę wyjścia. W progu oparł się o framugę i nie odwracając się, powiedział:

– I tak już była pora...

Potem wyszedł. Ledwie to zrobił, Dzwoneczek opadła z płaczem na kolana.

Pierwszy podszedł do niej Kruszyna, przyklęknął, by się przytulić. Zaraz to samo zrobili pozostali i przez chwilę trwali tak – nieforemna, bezkształtna ludzka budowla. Pomnik matczyno-dziecięcej miłości.

– Damy sobie radę, chłopcy – szeptała Dzwoneczek. – Damy sobie radę.

W myślach jednak, choć było jej wstyd, tak strasznie wstyd, przeklinała kota. I Kruszynę.

* * *

Minęła kolejna godzina i Kędzior zaczynał się już niepokoić, gdy nagle przyszła wiadomość od Stalówki. Olbrzym przeczytał ją uważnie raz i drugi, a potem jeszcze zadzwonił, by się upewnić. Wreszcie poszedł szukać Kruszyny.

Gruby Chłopiec siedział przy samym brzegu z nogami zanurzonymi w wodzie, palcami dłoni zagrzebanymi w piasku i przyglądał się robotnikom stawiającym przystań dla kajaków po drugiej stronie jeziorka. Gdy usłyszał nadchodzącego Kędziora, poruszył się lekko, ale nie odwrócił. Nie zareagował też, kiedy olbrzym przysiadł się obok po turecku.

Przez chwilę trwali w milczeniu, aż wreszcie Kędzior powiedział:

– To nie był Mat. Mama ogarnia jakiś sojusz ze Słowianami, żeby zabezpieczyć lunapark. Ten facet to jakiś znajomy Kościeja i wiceprezydent ich klubu.

Kruszyna pokiwał głową, ale się nie odezwał.

– Podobno mama, gdy usłyszała, co nam się zdawało – mówił dalej Kędzior – parsknęła takim śmiechem, że jej gluty z nosa poszły. Tak mówi Stalówka. Powiedziała też, że ostatnie, czego by jej teraz było trzeba, to stetryczały Wagabunda.

– Tak – zgodził się Kruszyna. – Na co komu tacy?

A potem już tylko milczeli wpatrzeni w taflę jeziora. Promienie słońca łamiące się na falach przywodziły na myśl pas przerywanej linii na szarym asfalcie jezdni. Na Drodze.

BÓLDUPY

Naprawdę, Kędzior? – zapytała Dzwoneczek. – Naprawdę tak chcesz witać klientów? W takim stroju?

Olbrzym wzruszył ramionami i jeszcze raz przejrzał się w wielkim lustrze. Miał na sobie czerwone wdzianko stylizowane odrobinę na dziewiętnastowieczny mundur, a bardziej na uniform portierów w renomowanych hotelach z początku ubiegłego wieku. Rogatywka leżała prosto na spiętych włosach, złote epolety lśniły w blasku lampy pokoju Dzwoneczka, wypolerowana klamra pasa błyszczała elegancko, a spodnie z lampasami... no cóż, po prostu były na miejscu. W przypadku Kędziora to też był krok w dobrą stronę. I tylko te dodatki.

– Kędzior – Stalówka spróbował łagodniej – ja naprawdę rozumiem nasz zegar na czapce, chwali ci się. Jestem w stanie nawet przyjąć tę odznakę z „B”, chociaż wyglądasz z nią w klapie trochę jak ruski generał.

– Czy ja ci mówię, że wyglądasz jak ten popierdolony Królik z zoologicznego? – zapytał Kędzior.

– Tak, przynajmniej raz dziennie.

Olbrzym skinął głową energicznie i zaraz poprawił czapkę.

– I dobrze. Bo tak właśnie wyglądasz! A jakby ci jeszcze dać zegarek, tobyś zapierdalał po dziurach, wrzeszcząc, że taki jesteś, kurwa, spóźniony! – Przeniósł wzrok na Dzwoneczka. – Mamo, naprawdę nie rozumiem, czemu problemem są moje znaczki, a Milczek może wziąć swój nóż. Przecież jest mimem!

Dzwoneczek zmarszczyła brwi i natychmiast odwróciła się do stojącego w kącie pokoju niemowy, który wspomnianym właśnie nożem wykonywał

gest podrzynanego gardła, patrząc nienawistnie na olbrzyma.

Kędzior rozłożył ręce.

– No co?! Powiedziałeś, że wie!

Wróżka przejechała ręką po twarzy, a potem zabrała Milczkowi nóż i wbiła go w stół.

– Dobra, jebać – powiedziała. – Kędzior, znaczek z tekstem „Tak, twoją matkę też” odpinasz i chowasz do szuflady. Ni cholery nie wiem, skąd go wziąłeś, ale ani to zabawne, ani prawdziwe. Już gdybyś go oddał Milczkowi... Nie, Milczek, to nie znaczy, że go dostaniesz! Łapy precz od noża, po pracy dostaniesz! Rany!

Położyła ręce na biodrach i powiodła wzrokiem po wszystkich zebranych: Kędziorze stojącym przed lustrem, Milczku w kącie pokoju, Stalówce na krześle i Bliźniakach rozwalonych na łóżku. Przy okazji zauważyła, że mimo iż jeden przebrany był za Drakulę, a drugi za potwora Frankensteina, nadal byli do siebie strasznie podobni.

Wzięła głęboki oddech.

– Za trzy godziny zjawią się tu ludzie – powiedziała. – Sądząc po wypowiedziach na forach i szumie w telewizji i prasie, całkiem sporo ludzi. Wszyscy są już na swoich miejscach, Dzieciaki spięły się dziś wyjątkowo, Słowian mamy tu zatrzęsienie, kilku naszych też już się ustawia na stanowiskach, a jest szansa, że wieczorem będzie ich więcej.

Opuściła ręce i uśmiechnęła się najmilej, jak tylko potrafiła, mimo całego stresu.

– Chłopcy, ja wiem, że to dla was nowe doświadczenie, że wszyscy się martwimy, jak to będzie. Kruszyna w pełnym stroju klauna już trzecią godzinę wybiera krawat dla kota. Wiem też, że macie dla mnie jakiś prezent z okazji dzisiejszego otwarcia, ale proszę, najlepszym prezentem będzie dla mnie, jeśli dziś wszystko uda się bez problemów i zaczniemy nowe życie. Jeszcze raz...

Wszyscy pokiwali głowami i przez moment zrobiło się nawet podniośle i uroczyście, ale potem Drugi zobaczył, że Kędzior ma naszywkę „Mistrz Masy”.

– Chyba tłuszczowej, pierdolony rudzielcu! – zawołał, zrywając się na równe nogi. – Mogę trzy razy zrobić pełną rundę, zanim ty raz wyjdziesz z pola!

Kędzior uniósł daszek rogatywki wskazującym palcem, strzelił piętami i ruszył do wyjścia. Drugi poleciał za nim, a w ślad za tymi dwoma podążyła reszta Chłopców.

W pewnej chwili Milczek zrównał się ze Stalówką i zamigał coś do niego. Albinos wzruszył ramionami.

– No prezent, co ci mam powiedzieć. Od nas.

Milczek znowu coś zamigał.

– Ależ dałeś – odparł Stalówka. – Kędzior za ciebie założył.

Przez chwilę szli w ciszy, a Milczek myślał intensywnie, sięgając w coraz głębsze odmęty pamięci. W końcu przystanął i gwałtownie zaczął machać rękami. Stalówka zupełnie się nie przejął tą zawziętą gestykulacją. Wzruszył ramionami.

– No to jeżeli podpierdolił ci ze skarbonki, to znaczy, że to ty założyłeś za niego. Co się tak pieklisz? Idź się maluj i przebieraj. Stoisz przy gabinecie luster.

* * *

Miło było patrzeć na odremontowany, ale wciąż jeszcze pusty park. Kolorowe karuzele różnych kształtów i rozmiarów, w większości obudowane drewnem i ozdobione pięknymi malunkami opowiadały historie o dawnych przygodach Piotrusia i Chłopców. Brukowane alejki wciąż

jeszcze były czyste, a pochylone nad nimi ozdobne latarnie wieczorami nadawały światu barwy sepii ze starych zdjęć.

Jak przystało na Lunapark byłych towarzyszy Pana, nie tylko malunkami na karuzelach nawiązano do prawdziwej Nibylandii. Na wysokiej karuzeli pod niebo wznosiły się nie samoloty, a pirackie okręty, dokładnie jak ten, który kiedyś Piotruś podprowadził Hakowi, by przelecieć nad Londynem. Do gabinetu luster wchodziło się z parasolem w ręku prosto pod wodospad, a bramę tunelu strachu umieszczono w wielkiej, sztucznej skale w kształcie czaszki. Na środku jeziorka znajdowała się wysepka z barem i stolikami, wyglądająca z góry jak róża wiatrów, a trasa kolejki parowej okalającej Lunapark wiodła między innymi koło Drzewa Piotrusia i przez ziemię Indian.

Choć na tym ostatnim odcinku nikt – wbrew usilnym prośbom Kędziora, twierdzącego, że w ten sposób uczczą Studjenta – nie miał strzelać z łuków do pasażerów pociągu, to i tak sama wioska pełna tańczących Dzieciaków zapowiadała nie lada wrażenia dla milusińskich.

Nad tym wszystkim wznosił się majestatyczny Diabelski Młyn, który sponad czubków wszędobylskich drzew zdawał się spoglądać a to na miasteczko w oddali, a to na Kukurykolejkę – rozbudowany rollercoaster z potrójną pętlą i przejazdem przez koryto z wodą. Za sprawą namalowanych na koszach wesołych buziek młodych Chłopców w ich dawnych, zwierzęcych wdziankach, Młyn sprawiał wrażenie naprawdę zadowolonego z widoku.

Na godzinę przed otwarciem wszyscy byli już na swoich miejscach. Kruszyna nudził się przy głównej bramie, Mikołaj, który przyjechał dzień wcześniej, w przebraniu maszynisty i w wielkiej pasiastej czapce siedział już w ciuchci i dojadał kebab. Dzieciaki poprzebierane a to za szeregowych piratów, a to za Indian siedziały w wigwamach albo wylegiwały się na plaży obok przystani dla łódek i kajaków, a trzecia grupa – techniczni, w czarnych koszulkach z napisem „Zagubiony?” chowali się w cieniach.

Bliźniacy urządzili sobie konkurs straszliwych ryków, który zupełnym przypadkiem przeszedł w konkurs bekania, a Milczek grał w noża naostrzonym patykiem i czasem zerkał to na Kruszynę, przerażającego króla klaunów siedzącego na małym stołku przy strzelnicy, to znów na przechadzającego się pośród wiatrówek Pana Propera, który udawał, że nie widzi i nie próbuje po cichu podejść równego rządku blaszanych kaczuszek do zestrzelenia.

Wszystkiego i wszystkich doglądali Stalówka w szkarłatnym stroju Haka i trójgraniastym kapeluszu oraz Dzwoneczek w przykrótkiej zielonej sukience i z delikatnymi skrzydełkami przypiętymi do pleców. Szli pod rękę, tu i tam zgłaszali ostatnie uwagi albo kontaktowali się przez radio z siedzącym w domu Kaprysem, by sprawdził na monitoringu, czy nikt tam niczego nie urządza po krzakach.

Tak, miło było patrzeć na Drugą Nibylandię w nowym wcieleniu, czy to z góry, czy z dołu. Z szerokiego planu czy z perspektywy brukowanej alejki pusty, odremontowany Lunapark sprawiał wrażenie dobrego wyboru dla kogoś, kto po latach niepewnego życia postanawia osiąść i zająć się czymś stabilnym.

Potem jednak nastąpiła godzina zero.

I się zaczęło...

* * *

– Kurwa – zaklęła Dzwoneczek.

Zaraz potem dzielnie i z przepraszającym uśmiechem zniosła spojrzenie matki prowadzącej pięciolatkę w stronę samochodzików. Odczekała chwilę, zanim kobieta odeszła parę kroków, po czym zapytała:

– Że za co on daje zniżki?! Dobra, już tam idę!

Wpięła radio za pasek i pobiegła alejką w stronę głównej bramy, a tłum sunący w jej stronę, najwyraźniej wyczuwając jej wściekłość, rozstępował się niczym kolorowe morze. Minęła gabinet luster, zaraz jednak zawróciła na widok ogromnej kolejki. Podeszła do Milczka i położyła ręce na biodrach.

– Pamiętasz, żeby czasem kogoś tam wpuszczać, nie? – zapytała.

Ale zanim Milczek zdążył zamigać w odpowiedzi, z kolejki odezwał się jakiś piegowaty rudzielec, na oko dziesięciolatek.

– Co ty, wróżka, głupia jesteś? Przecież mimy nie mówią.

– Ten powie – wycedziła Dzwoneczek, zaciskając zęby i na moment zamykając mocno oczy. Będę miła, będę miła, powtarzała sobie w głowie. Nic nie zrobię temu małemu gówniarzowi... Nic nie zrobię... Westchnęła raz i drugi. Otworzyła oczy.

– No, nawijaj.

Milczek pomachał rękami, a potem wyciągnął z kieszeni banknot dwustuzłotowy i z wyraźnym ociąganiem wręczył go mamie. Nie przyjęła pieniędzy.

– Milczek, kurwa, takie rzeczy to po zmroku, niech sobie przyjdą i się ujeżdżają do jebanego rana, ale nie w pierdolonych godzinach szczytu.

– Przepraszam, mogłaby się pani wyrażać przy dzieciach? – zapytał nagle jakiś kobiecy głos z kolejki.

Dzwoneczek westchnęła, bezgłośnie powiedziała: „załatw to”, po czym odwróciła się, zdobywając na najładniejszy uśmiech, jaki miała w zanadrzu. Kobieta, która się przed chwilą odezwała, była pulchną blondynką o sympatycznej twarzy tulącą do siebie dwa małe aniołki rodem z obrazu Rafaela. Z płóciennej torby na ramieniu wystawały jej zapakowane w folie koszulki z lunaparkowego sklepiku, a na głowach cała trójka miała opaski z pojedynczym sztucznym piórem z logo parku – wesołym zegarkiem dokonującym autodestrukcji za pomocą młotka. Słowem klient idealny, wobec którego wypadało być szczególnie miłym.

– Przepraszam panią najmocniej, zupełnie mi się wymsknęło – powiedziała.

Sięgnęła do kieszeni. Wyciągnęła z niej stos karteczek i pieczątkę. Podbiła trzy i wręczyła je kobiecie.

– Proszę, z tym kuponem dla pani i potomstwa wszystkie atrakcje bez kolejki. Za czujność.

Usłyszała jęk zawodu i narzekania pozostałych stojących w kolejce rodziców, ale zbyła to wszystko zgrabnym dygnięciem i pobiegła w stronę bramy.

Już z daleka usłyszała głos Kędziora zachęcający do wejścia i świetnej zabawy. Olbrzym stał jeszcze przed kasami, witał ludzi, zanim dokonali płatności, stąd pewnie ten jego durny pomysł. Dzwoneczek rozejrzała się za dowodem głupoty kudłatego rudzielca. Dostrzegł-
szy go, odciągnęła Kędziora na bok.

– Zwariowałeś? – zapytała i wskazała na stojący obok kasy billboard. – Co to jest?

Olbrzym wzruszył ramionami.

– No, takie tam, pod promocję. Sam namalowałem i jak ludzie sobie pod tym zrobią zdjęcie z okejką, to dostają zniżkę.

– Kędzior, na litość boską, Myszka Miki jest zastrzeżonym znakiem towarowym. Poza tym pobita Myszka klęcząca przed kapitanem Hakiem? Serio?!

Kędzior nie widział w tym nic niestosownego.

– Pasuje do hasła – stwierdził.

– „Każdy, kto tu był, już wie, że u nas jest super, a Mysza ssie” – przeczytała Dzwoneczek.

Miała nadzieję, że te same słowa przeczytane kudłaczowi głośno uzmysłowią mu bezmiar jego głupoty. Przeliczyła się jednak, więc tylko machnęła ręką.

– Zwiń to natychmiast i żadnych zniżek poza ustalonymi ze mną.

Odwróciła się na pięcie i już miała wrócić do parku, gdy nagle z tłumu wyłonił się elegancki, szpakowaty mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze. Uśmiechnął się szeroko, nieco drapieżnie i zdjął przyciemniane okulary. Sprawnie schował je lewą ręką do kieszeni, jednocześnie wyciągając prawą do Dzwoneczka. Wróżka dostrzegła, że w bezpiecznej odległości, wciąż pośród ludzi, stoi dwóch jego osiłków. Obaj mieli na szyjach wytatuowane strzały.

– Przepraszam, czy mogę zająć pani kilka minut? – zapytał. – Nazywam się...

– Wiem, kim pan jest, panie Luby, widzieliśmy się na posiedzeniu Rady Miasta, pamięta pan. Poza tym krążą o panu różne takie... – Zakręciła ręką w powietrzu. – Wybaczy pan, ale dzisiaj jestem bardzo zajęta. Proszę przyjść...

– Radziłbym jednak uwierzyć tym różnym takim, proszę pani. – Luby gładko wszedł jej w zdanie, nie przestając się uśmiechać. – Chciałbym bowiem porozmawiać o przyszłości tego miejsca. Miejsca, które – tak się szczęśliwie składa – od wczoraj w zasadzie... należy do mnie.

Dzwoneczek przyglądała się Lubemu przez chwilę, po czym obciągnęła sukienkę i wyjęła zza paska krótkofalówkę.

– Podeślijcie mi kogoś z meleksem na bramę – poleciła, a potem zwróciła się do mężczyzny w garniturze. – Porozmawiamy w biurze. Ale ci dwaj nie wejdą bez biletu.

Wskazała na osiłków, a Luby roześmiał się, jakby to był najlepszy żart.

– Oczywiście, szanowna wróżko – odparł.

* * *

Zawsze się tacy trafią, pomyślał Drugi. W każdym parku rozrywki, na każdym festynie musi się pojawić grupa nastoletnich idiotów, którym się

wydaje, że picie zakamuflowanego piwa w miejscu publicznym, wulgarne wyzywanie dziewczyn i gibanie się na boki przy chodzeniu jak najebana wańka-wstańka to dowody na bycie twardzielem. Z jednej strony zbyt smarkaci, zbyt znudzeni i przede wszystkim zbyt małomiasteczkowi, by odpuścić, kiedy coś się dzieje, ale z drugiej – wyraźnie ponad to wszystko, wyraźnie lepsi od całej tej tłuszczy, bo w przeciwieństwie do niej to, co robią te chłystki, jest ironiczne.

Ci, którzy przechadzali się właśnie po parku, byli przykładami wręcz modelowymi: trzech szczyli na oko piętnastoletnich, soczki Kubuś Play zdecydowanie zbyt żółte i pieniste, wyryczane piskliwie przekleństwa niczym kamienie ciskane w szyby starego, opuszczonego domu – nieprzyjemny dźwięk, chichot idiotów i cisza wokoło.

Pryszczaty, łysy gnojek w czarnym T-shircie z napisem „FBI – Female Body Instructor” szedł nieco z przodu, pokazując, że to on tu jest szefem, on nadaje rytm i wskazuje kierunek. Dwaj pozostali, grubasek w obcisłej przepoconej koszulce bez rękawów i patykowaty brunet z baseballówką odwróconą daszkiem do tyłu, szli po prostu za nim, włączali się w docinki i znaczyli teren wypluwanymi z siebie hektolitrami flegmy.

Drugi pokręcił głową zdegustowany.

– Brat, błagam cię, kurwa, powiedz, że my tacy nie byliśmy – powiedział, drapiąc się po przyklejonej do szyi śrubie.

– Nigdy – skłamał Pierwszy.

Wypluł sztuczne kły, rozmasował usta, postukał się po obolałych dziąsłach i włożył kły z powrotem. Akurat na czas, by powitać kolejną grupkę gości gotowych na przejażdżkę „przez krainę swoich największych koszmarów”. Wpuścił ich do wagoników, ostrzegł, żeby nie wystawiali rąk poza poręcze i w miarę możliwości nie sikali na siedzenia.

Wszyscy zaśmiali się z tego żartu za wyjątkiem jednego dziesięciolatka w koszulce z *Toy Story*, który podrapał się po głowie i zapytał:

– Jak pan może stać w słońcu, skoro jest pan wampirem? – zapytał.

Pierwszy wzruszył ramionami i już miał coś odpowiedzieć, gdy nagle znikąd pojawił się Kubuś z wielką różową watą cukrową w ręku.

– To ze słońcem to taka bujda, mały – powiedział. – Rodzice powiedzieli ci tak, żebyś w ciągu dnia czuł się bezpieczny, a w nocy nie ruszał się z łóżka, kiedy się będą ruchać.

Rodzice chłopczyka zaniemówili na moment, ale ponieważ Kubuś nawet się nie zatrzymał, odpuścili sobie umoralnianie cudzego dziecka. Wprowadzili tylko małego do wagonika, usiedli i zaczekali, aż Drugi zamknie barierkę. A potem wagonik ruszył i zniknął w pierwszym tunelu.

Dopiero wtedy Kubuś zawrócił i stanął przy Bliźniakach.

– Co tam, chłopaki? – zapytał. – Waty komuś?

– Gdzieś ty się podziewał? – zapytał Pierwszy. – Nie było cię na otwarciu.

Kubuś wzruszył ramionami.

– Kruszyna zamknął mnie na noc w piwnicy, bo wczoraj nie dałem Properowi ryby i się pewnie kutafon poskarżył.

Drugi podrapał się po śrubie.

– Jak? Przecież jest, kurwa, kotem!

– No właśnie – zgodził się Kubuś. – Też uważam, że powinien to znieść, jak na kota przystało, a nie zaraz skarżyć. Ale spoko, mam w piwnicy konsolę i materac, źle nie było, a poza tym...

Zatoczył się pchnięty nagle przez grubasa, jednego z trójki obserwowanej wcześniej przez Drugiego. Lekko, tylko po to, by ustąpił z drogi, ale to zupełnie wystarczyło, by Bliźniacy natychmiast się spięli, zacis-
kając pięści.

– Jakiś problem z szerokością chodnika, chłopcze? – zapytał Pierwszy.

Grubas, który zdążył już przejść, odwrócił się i pokazał bliźniakowi środkowy palec.

– Pierdol się, zjebie.

Pierwszy ruszył w jego stronę, ale Kubuś złapał go za rękę i pokręcił głową.

– Spokojnie, on tak tylko szpanuje, bo się po prostu boi tunelu strachów – powiedział głośno. – I potem będzie mógł mówić, że nie poszedł, bo zadarł z wami. Nie gadaj z tchórzami.

To był tani chwyt. Kubuś nie spodziewał się, że zadziała, ale widać umysły grubasa i kolegów były proste i nie leciały na kosztowności. Cała trójka zatrzymała się nagle i zawróciła.

– Co powiedziałeś, gnoju? – wycedził ten z FBI.

Pozę miał jak do bójki: dłonie zwinięte w pięści, lekko nachylony do przodu, zaciśnięte zęby.

– Powiedział, że boisz się pojechać naszym tunelem, gnoju – podpowiedział Pierwszy. – I jak nic ma rację.

Chłopak popatrzył po kolegach, jakby w ich równie zaciętych twarzach szukał wsparcia, po czym wzruszył ramionami, nagle udając luz.

– Nie będę płacił za zjebany tunel, gdzie jakiś papierowy szkielet...

– To w cenie biletu jest. – Kubuś skubnął różowej waty. – To jak?

Instruktor obsługi kobiecych wdzięków ponownie spojrzał na kolegów, po czym cisnął plastikową butelką w krzaki.

– Chuj tam, może w środku będzie chłodniej – powiedział.

Podszedł do czekającego już kolejnego wagonika. Koledzy ruszyli w ślad za nim.

Gdy już siedzieli w środku, Kubuś podszedł do nich z małą papierową torebką, którą trzymał w kieszeni. Podał Pierwszemu watę, po czym wysypał na rękę zawartość woreczka.

– Hej, Kubuś, co ty... – zaczął Drugi, choć już dobrze wiedział. – Skąd masz proszek?

– Milczek dał mi do przechowania, jak mama szukała po pokojach. Kazał nosić przy sobie, to noszę – odparł chłopczyk.

Uniósł rękę i dmuchnął pyłkiem prosto w twarze trójki chłystków. W pierwszym odruchu zaciągnęli się nim, po czym, kaszląc, rzucili się do barierki. Było już jednak za późno. Wagonik ruszył.

– No. – Kubuś otrzepał ręce, a zadowolenie sprawiło, że nawet uniósł się lekko w powietrze. – Teraz tunel powinien być dla nich odpowiednio straszny, nie sądzicie?

Bliźniacy popatrzyli na niego z podziwem i jednocześnie przestrachem.

– Kurwa, młody, nie pozwól mi nigdy sobie podpaść, co? – powiedział Pierwszy.

Drugi też chciał coś dodać, ale nagle naszła go gwałtowna myśl. Klepnął się w czoło i złapał za radio.

– Co się stało? – zapytał Pierwszy, widząc i słysząc, jak brat w panice wywołuje Kędziora. – Co się tak gorączkujesz?

– Wagonik – wyjaśnił Drugi. – On w połowie drogi zawraca.

– O kurwa! – zawołali równocześnie Kubuś i Pierwszy.

* * *

Biuro znajdowało się nieopodal domu, na uboczu, po drugiej stronie parkingu. Z wielkiego przyciemnionego okna widok na jezioro, w środku proste, jasne meble, jeden regał na dokumenty, komoda z barkiem i kremowy komplet wypoczynkowy w kącie na prawo od drzwi. Skromnie, ale elegancko. W sam raz, by wejść, załatwić sprawę i wyjść.

Luby wszedł do pomieszczenia za Dzwoneczkiem, skomplementował wystrój i bez pytania rozsiadł się w fotelu. Wróżka natomiast podeszła do komody i przykucnęła przy barku.

– Napije się pan czegoś? – zapytała.

Luby się uśmiechnął.

– O proszę, już biznesowe nawyki – stwierdził. – Nie spodziewałbym się.

Dzwoneczek wyjęła dwie butelki wody mineralnej, chwyciła też dwie szklanki i zamknęła barek. Przeszła przez biuro i ustawiła wszystko na stoliku.

– Chyba pan nie przywykł – odparła, zajmując swoje miejsce w fotelu naprzeciw i zakładając nogę na nogę. – Wymuszanie haraczy od małych sklepów typu Grażynka to raczej ten segment biznesu, gdzie uprzejmość nie jest specjalnie wymagana, czyż nie?

Luby roześmiał się i wycelował w nią palcem.

– *Touché*, pani wróżko. Ale cóż, to było dawno, a przecież żadne z nas nie chce, by wypominać mu błędy młodości, prawda? I dokonane nadinterpretacje prawa. Ważne, kim jesteśmy teraz. Biznesmenami, jeśli wybaczy pani uogólnienie i brak rozróżniania płci.

Skinęła głową.

– Do rzeczy. Co miał pan na myśli, mówiąc, że to miejsce jest pańskie? Dokumenty w mojej szafie mówią co innego.

– Oczywiście, że mówią.

Luby pochylił się i sięgnął po butelkę. Odkręcił ją i upił prosto z niej, nie przejmując się szklanką.

– Gdyby było inaczej, nie udałoby się pani uzyskać niezbędnych kredytów, pozwoleń. Chociaż może...

Zmierzył ją wzrokiem, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Wierzę, że i tak znalazłaby pani sposób – stwierdził. – Potrafi pani być taka zdeterminowana, jeśli chodzi o...

– Do rzeczy – ponowiła Dzwoneczek.

Luby sięgnął do wewnętrznej kieszeni i położył przed nią kopertę. Czekał przez chwilę, aż wróżka po nią sięgnie, ale gdy zorientował się, że nie zamierza tego zrobić, zaczął mówić:

– To są dokumenty potwierdzające, że ta ziemia należała kiedyś do pewnych bardzo uroczych państwa, którzy, tak się składa, ostatnio mieli pewne problemy finansowe. Wiedząc, że interesuję się okolicą, postanowili zapytać mnie, czy nie chciałbym odkupić od nich praw. Jeszcze, rzecz jasna, niewyegzekwowanych. Władze gminy nie wiedzą, co się czai w tej kopercie, stąd sprzedaż parku była jak najbardziej legalna, tyle że… – Pochylił się do przodu. – Teraz oboje jesteśmy w prawie, a to pani wydała wszystkie oszczędności i władowała się w kredyty, prawda? Teraz proszę sobie wyobrazić, że sąd zamyka Lunapark na czas rozstrzygnięcia sprawy, czyli, bo ja wiem, trzy lata? Cztery? Nieważne, komu przyzna rację, ważne, kto przegra, a kto stanie się właścicielem tego miejsca.

Rozsiadł się wygodnie, popijał wodę i przyglądał się Dzwoneczkowi, która najpierw siedziała w bezruchu, a potem, nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła po kopertę. Wyjęła i rozłożyła plik dokumentów. Przeczytała uważnie pierwszą stronę, resztę przejrzała pobieżnie i odłożyła.

Luby nie przestawał się uśmiechać.

– Nie usłyszę schrypłego: „Czego chcesz, Luby”? Nie postraszy mnie pani osiłkami? Swoją drogą widziałem, że ostatnio zaroiło się tu od nowych, z innymi symbolami na plecach. Dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że zrywa pani z przestępczym procederem.

– Nigdy nie... – zaczęła, ale uciszył ją gestem.

– Jak mówiłem, pani wróżko, interesy, oto co mnie sprowadza.

Wstał, wyciągnął z kieszeni okulary, chuchnął na szkła i wytarł je w krawat.

– Ostatnia kartka z tych dokumentów to moja propozycja dla pani. Niespecjalnie wygórowany procent od zysków oraz oczywiście kilka karnetów na darmowe karuzele. Proszę się z tym zapoznać, przemyśleć ofertę. Powiedzmy, do końca przyszłego tygodnia, dobrze?

Wróżka nie odpowiedziała, więc Luby złapał za klamkę i otworzył drzwi.

– Wizytówki nie zostawiam, bo numer jest na ofercie. W razie decyzji lub pytań...

– Tylko jedno pytanie, panie Luby. – Dzwoneczek nie patrzyła na niego, tylko przed siebie. – Kim pan chciał zostać, kiedy dorośnie?

– Nie pamiętam – odparł. – To nadeszło tak szybko, że nie zdążyłem się zastanowić. Do zobaczenia.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi, zostawiając Dzwoneczek sam na sam z jej myślami.

* * *

Biegnący Kędzior nie musiał się drzeć w niebogłosy, by tłum się przed nim rozstępował. Nie musiał, ale w tym przecież była największa frajda, więc wrzeszcząc i sadząc susy, od których trzęsła się ziemia, największy portier świata pędził alejkami parku. Większość ludzi brała to za dodatkową atrakcję. Byli tacy, którzy robili zdjęcia, a coraz większa grupa swawolnych grzdyli podczepiała się do niego niczym ogon z puszek do weselnego samochodu. W połowie drogi zrobił się już z tej gonitwy całkiem tłumny maraton.

Wreszcie Kędzior dobiegł do bramy w kształcie czaszki i zdyszany zgiął się wpół.

– Dobra, co jest? – wysapał, dysząc ciężko. – Słowo daję, jak mi któryś... któryś wypali teraz z tym chujowym żartem... „a umiesz tak”, to wpierdolę mu ten wagonik w dupę po jebane migdałki.

Bliźniacy wymienili spojrzenia, ale Pierwszy pokręcił głową. Drugi więc tylko westchnął i zaczął:

– No więc trochę możemy mieć przesrane – powiedział. – Milczek zapytał o ciebie i gdzieś pognał, a Stalówka grzebie w mechanice, ale mamy coś koło... bo ja wiem, minuty, dwóch, zanim...

Kubuś pociągnął olbrzyma za nogawkę i zmusił, by ten na niego spojrzał.

– Dałem nauczkę takim gnojom i sypnąłem im w twarz proszkiem, zanim wbili do tunelu. Teraz jadą na pograniczu Skrótu, a wózek zaraz się cofnie i...

– Kurwa. – Kędzior zerwał z głowy czapkę. – Czy wy nie możecie być chociaż raz w życiu odpowiedzialni? Zostało wam choć trochę tego proszku?

Kubuś wyciągnął torebeczkę, gdzie wciąż ostała się resztka złotawego pyłku.

– Nie wiem tylko, co chcesz zrobić, przecież jeżeli wbiegniesz na Skrót, to...

Jego głos zagłuszył ryk motocykla, a potem w alejce zjawił się Milczek pędzący na Ślicznotce. Zatrzymał się, nie gasząc silnika, przesunął się na tylne siedzenie. Kędzior wyszczerzył się i zajął miejsce za kierownicą.

– Jak zawsze bez słów, bracie – stwierdził.

Wysypał zawartość proszku na rękaw, wciągnął pół kreski i resztę podsunął Milczkowi. A potem wbił bieg, przekręcił manetkę i ku uciesze gawiedzi wjechał z pełną prędkością do tunelu.

* * *

Ujechali raptem do pierwszego zakrętu, a potem przeszli w Skrót. Tu w tunelu nie przypominał klasycznej drogi, raczej starą kopalnię z bezdenną przepaścią po obu stronach zniszczonego torowiska. Ze ścian wystawały kamienne twarze wykrzywione w przeraźliwych grymasach, a gdzieniegdzie wiły się w spazmach całe ciała. Ktoś wył, ktoś chichotał przeraźliwie, deski torowiska trzeszczały pod ciężarem ogromnej maszyny.

Ryk silnika obudził nietoperze śpiące pod sklepieniem. Zerwały się i przeleciały tuż nad głowami Chłopców. Miały dziecięce twarze i szeptały: „Zbaw mnie” albo „Zabaw mnie”. Trudno było zrozumieć.

Kędzior nie patrzył na boki. Pędził tylko przed siebie, jak zwykle na Skrócie, pilnując drogi i wiedząc, że z tej tutaj będzie łatwiej wypaść. Wystarczy jedna pęknięta deska, jeden błąd, brak wymyku i balansu ciałem, by skończyć raz na zawsze w tej przeklętej kopalni.

Nagle za kolejnym zakrętem dostrzegli jadący przed nimi wózek. Siedząca w nim trójka dzieciaków kuliła się sparaliżowana strachem. Przejeżdżali właśnie pod kurtyną z wisielców. Patykowaty brunet zaszlochał, gdy otarła się o niego brudna stopa.

– No to jesteśmy! – krzyknął Kędzior i jeszcze przyspieszył. – Wagonik zaraz zawróci!

Milczek skinął głową, dobrze wiedząc, że olbrzym nie dostrzeże tego gestu. Wjechali jednak właśnie w użytkowaną część kopalni, gdzie mnóstwo umorusanych, niemożliwie wychudzonych dzieci próbowało kamieniami obłupywać skały. A może tylko wspinały się ku sklepieniu? Na widok motocykla odwróciły się wszystkie, by spojrzeć swymi szklistymi, żabimi oczami, co się dzieje. W ich spojrzeniach nie było nadziei – tej nie mieli już dawno. Była za to – jeszcze gorsza w tym przypadku – ciekawość.

Tymczasem Ślicznotka zbliżała się do zwalniającego wózka w zastraszającym tempie. Jeszcze tylko moment, jeszcze tylko chwila. Milczek ostrożnie podniósł się i stanął na siedzeniu, opierając rękę na plecach brata. Balansował ciałem, z trudem utrzymując równowagę.

– Jeszcze nie, jeszcze nie! – krzyczał Kędzior, budząc kolejne nietoperze o dziecięcych twarzach. – Jeszcze... Teraz!

Zredukował bieg, przyspieszył i z całej siły uderzył kołem w tył zwalniającego wózka, na nowo nadając mu prędkość. Jednocześnie Milczek przeskoczył nad głową olbrzyma, wylądował pomiędzy dzieciakami i zaczął ich szczypać.

– Budźcie się, skurwysyny! – krzyczał za nim Kędzior. – No już, wyłazimy!

Zacisnął powieki, a gdy poczuł na twarzy ciepło, odetchnął z ulgą.

Wózek pchany przez motocykl wyjechał z tunelu witany owacjami.

* * *

Luby przyglądał się zamieszaniu przy tunelu z pewnego oddalenia. Był jednak na tyle blisko, by dość szybko i sprawnie zorientować się, co się właściwie wydarzyło. Podrapał się po nosie, myśląc intensywnie, czy ta odrobina proszku, którą zażyli Kędzior i Milczek po takiej przerwie, zaszkodzi jego od miesięcy przygotowanemu planowi, czy też może nie będzie miała znaczenia. W zasadzie nie powinna, ale przecież trudno powiedzieć, bo to właśnie jest wyznacznik dobrej opowieści. Nie wiesz, jak się potoczy.

– Wzruszam ramionami – szepnął do siebie z uśmiechem – i rozkładam ręce. Co będzie, to będzie.

Niezaczepiany przez nikogo ruszył alejką pod prąd nadciągającego tłumu.

* * *

Późnym wieczorem Dzwoneczek zebrała szóstkę w Makietowej. Sama troszkę się spóźniła, za to przyniosła skrzynkę szampana i każdemu wręczyła po butelce.

– No, chłopcy, spisaliście się dzisiaj – powiedziała, zdzierając osłonę z korka. – Zwłaszcza wy, Kędzior i Milczek, którzy zasługujecie na wszystkie odznaki świata.

– Z wyjątkiem tej z mistrzem masy – mruknął Pierwszy, ale mama zgromiła go spojrzeniem, więc tylko machnął ręką. – No dobra, na tę też.

Kędzior wyszczerzył się i wyprężył pierś, na której lśniła odznaka z wielkim „B”.

– Swoją drogą gdybyśmy to mieli w standardowym programie, to byłby najstraszniejszy tunel strach...

– Nie – warknął Stalówka ostro i stanowczo.

Po pierwsze, oczywiście był to idiotyczny pomysł, a po drugie, albinos był zły, że nikt nie docenił jego starań w maszynowni. Zaraz się jednak rozpogodził, bo przypomniało mu się, co jeszcze zaplanowali na ten wieczór. Podszedł do Dzwoneczka i zabrał jej butelkę.

– Nie powinnaś pić – powiedział.

Wróżka uniosła brwi.

– Jak to? – zapytała. – Jest coś, o czym nie wiem?

– Będziemy mieć braciszka? – zaniepokoił się Kruszyna. – Bo Pan Proper ostatnio nie przepada za niemowlakami.

– Nie jestem w ciąży! – zaśmiała się Dzwoneczek. – Mówiąc szczerze, nie wiem...

Stalówka złapał ją za rękę i pociągnął do wyjścia.

– Chodź, czas na nasz prezent.

Sprowadził ją na dół, do przybudówki służącej mu za warsztat. Pozostała piątka szła za nimi. Na miejscu kazał Dzwoneczkowi zamknąć oczy, po czym podszedł do ściany i włączył światło.

– No, teraz otwórz – powiedział.

Wróżka otworzyła oczy i aż cofnęła się o krok. Na środku pomieszczenia stało śliczne, lśniące czerwienią Ducati 1199 Panigale.

– Zabójcze cudo dla zabójczej kobiety – powiedział Stalówka i ucałował ją w policzek. – Myślę, że się panie dogadają.

Odsunął się na bok, a wtedy przed Dzwoneczkiem wyrośli Bliźniacy. Pierwszy trzymał w ręku kopertę.

– Dzisiejszy dzień udowodnił, że jakoś... – zaczął Pierwszy, a Drugi podjął jak zwykle w połowie:

– ... sobie poradzimy, a tobie należą się wakacje.

Dzwoneczek otarła łzę wzruszenia i zajrzała do koperty. W środku znajdowała się rezerwacja – w pięciogwiazdkowym hotelu w Hiszpanii. Pokręciła głową.

– Nie mogę...

– Ależ możesz – wtrącił się Kędzior. – My zajmiemy się wszystkim, po Wężowych śladu, Słowianie na straży, a Mikołaj powiedział, że wraz z Kaprysem nas dopilnują. Więc będzie git.

Wróżka się rozejrzała.

– No właśnie, a gdzie oni są teraz?

– Chleją – odparł Kędzior, ale zaraz się zreflektował. – Tak w drodze wyjątku, bo od piątku, jak pojedziesz, będą trzeźwi jak zakonnice.

Milczek zamigał.

– Odpierdol się od mojego porównania – warknął Kędzior. – A widziałeś kiedyś pijaną zakonnicę?

Niemowa zamigał raz jeszcze.

– Ona się nie liczy, bo raz, sam ją spiłeś, a dwa, już nie jest w zakon... Zresztą, wiesz co? Spierdalaj. Nie pomagasz.

Dzwoneczek uśmiechnęła się i ponownie spojrzała na rezerwację. A potem przypomniała sobie o czekających na nią dokumentach od Lubego i pokręciła głową.

– Dziękuję wam, chłopcy, jesteście kochani – powiedziała. – Ale...

– Nie ma ale – wszedł jej w zdanie Stalówka. – To była świetna okazja, najlepsza ze wszystkich, a to znak, że Droga chce, żebyś pojechała. Nie dyskutuj z Drogą, tylko załatw, co masz załatwić, przed wyjazdem, a potem wypad i przez tydzień dajesz nam wreszcie wolną chatę!

Roześmiała się. A potem podeszła do motocykla, przejechała ręką po kierownicy, baku, siedzeniu. Usiad-

ła, pochyliła się do przodu. Właściwie, gdyby załatwiła sprawę z Lubym jakoś sprawnie, to nic jej tu przecież nie trzymało. Rzeczywiście chłopcy poradzili sobie dziś lepiej niż świetnie, a skoro mieli choć trochę dorosnąć, musiała ich zacząć odrobinę spuszczać ze smyczy.

– No dobrze – stwierdziła w końcu. – Pojadę. I jeszcze raz dziękuję, jesteście najlepsi.

– Się wie! – zawołał Kędzior, a potem wystrzelił korkiem wciąż trzymanego w ręku szampana. Upił łyk. – To co, kto ostatni na szczycie młyna, ten doro... – zawahał się. – Ten pizdowaty pirat Haka!

Wszyscy rzucili się w stronę parkingu. Byli w połowie placu, gdy z rykiem silnika wyprzedziła ich maszyna Dzwoneczka.

UP

EPILOG

Tej nocy Kubuś nie spał zbyt dobrze. Wiercił się, obracał na łóżku, postękiwał coś z cicha, wreszcie przebudził się i usiadł. W pokoju było ciemno, ale on nie bał się ciemności, kiedy miał Chłopców na odległość jednego wrzasku. Dlatego teraz tylko przetarł piąstkami zaspane oczy, ziewnął głośno i opuścił nogi z łóżka, by wsunąć stopy w kapcie. Pomyślał, że skoro i tak już nie śpi, to może coś poczyta, pogra na konsoli albo zrobi Dzieciakom jakiegoś psikusa. Nade wszystko jednak czuł, że musi siku.

Wstał i przeszedł przez pół pokoju, gdy nagle zorientował się, że jego cień na ścianie rozdwaja się, a zaraz potem jedna z cienistych sylwetek rośnie i kładzie sobie ręce na biodrach.

Kubuś znał doskonale opowieści o Piotrusiu. Już otwierał buzię, by krzyknąć, gdy nagle Cień skoczył ze ściany i owinął się wokół niego niczym wąż zrobiony z półprzejrzystej, czarnej folii, widmową ręką zasłaniając mu usta.

– Cii – szepnął wprost do ucha chłopca. – Przyszedłem tu, żeby ci coś przypomnieć, chłopcze. Przypomnieć ci noc, gdy Dzwoneczek zabrała cię do siebie. Napoili cię wtedy łzami, ale ty miałeś już antidotum, prawda? Wypiłeś zawartość buteleczki, którą ci zostawiłem, tej z napisem „Wypij mnie”.

Chłopczyk szarpnął się, ale Cień nie puszczał. Wręcz przeciwnie, zaciskał się coraz mocniej i mocniej, pozbawiając Kubusia tchu, przyprawiając o mroczki przed oczami.

– Chcesz żyć, musisz sobie przypomnieć, Kubusiu – szeptał Cień. – To takie proste. Pamiętaj i żyj... Pamiętaj i żyj.

Trwali przez chwilę niemal w bezruchu, choć Cień z każdą chwilą zaciskał się coraz mocniej i mocniej, aż wreszcie osłabiony chłopczyk osunął się na kolana, a potem na ziemię.

Wtedy zaczęły wracać do niego obrazy. Pusty dom, tęsknota za rodzicami, oszukiwanie w szkole i sklep Grażynka. Przypomniał sobie Kędziora w scenie, w której nie miał prawa go pamiętać, bo przecież nigdy nie miała miejsca: szli razem do domu i Kubuś zastanawiał się, czy ten olbrzym nie jest aby niebezpieczny oraz co by powiedziała mama.

No właśnie, mama. I tata. Ich też sobie przypomniał, a wspomnienia z nimi w rolach głównych uderzały falami jedna za drugą, zalewając pamięć chłopczyka cudownymi emocjami, a potem gorzkim bólem utraty. Jednocześnie zaciskający się wokół ciała Kubusia Cień nie przestawał szeptać:

– Oni mogą wrócić, nawet jutro. Wystarczy, że pokażesz, jak za nimi tęsknisz. Wystarczy, że zrobisz coś dla mnie. Już czas, Kubusiu. Już czas.

A potem, gdy Cień już wyszeptał swoje życzenie, uścisk nagle zelżał, a Kubuś głęboko wciągnął powietrze i otworzył oczy. Zdał sobie sprawę, że wciąż leży w swoim łóżku przykryty kołdrą. Zorientował się też, że po raz pierwszy od naprawdę dawna zmoczył łóżko.

– O rany – szepnął do siebie, odrzucając na bok kołdrę, a potem zdejmując mokre spodenki. – O rany, o rany, o rany...

Trudno mu było uwierzyć w ten sen, jednak teraz, gdy te wszystkie uczucia i wspomnienia wróciły do niego, wydawały się prawdziwsze niż cała jego przygoda z Dzwoneczkiem i Chłopcami. Nagle przypomniał sobie rozmowę z wróżką i to, że obiecała mu kiedyś opowiedzieć o jego prawdziwych rodzicach. Czyżby to miała być ta sama historia, którą właśnie przed chwilą usłyszał? Opowieść o tym, jak dla wiecznej zabawy kazano mu zapomnieć o najbliższych, których tak kochał, a którzy znaleźli się w ogromnych kłopotach?

Jednak mimo gniewu, który właśnie się w nim obudził wraz z powracającymi wspomnieniami, warunek Cienia nadal wydawał mu się straszny. Był zdradą wobec tych, których przecież też zdążył już pokochać. Wobec...

– Nie! – warknął na swoje myśli. – To nie jest prawdziwe życie. Najwyższy czas podjąć dojrzałą decyzję.

Założył suche spodnie, po czym wyszedł na korytarz, zszedł po schodach i ruszył w stronę pustego obecnie pokoju Dzwoneczka.

* * *

Monika Turczyńska właśnie zaczęła dochodzić do wniosku, że nie ma pojęcia, co robi w tym małym miasteczku, w tej spelunie, przy tym barze. Gdzieś w głowie kołatało jej, że kiedyś już tu była, ale nie mogła sobie przypomnieć, w jakiś okolicznościach. Na podstawie obskurnego wnętrza uznała jednak, że nie mógł to być dobry okres w jej obfitującym we wzloty i upadki życiu.

Tak czy owak była tu znowu, a może jednak po raz pierwszy. Siedziała, sączyła kolejny dżin z tonikiem i zastanawiała się, czy gdyby w ten lokal uderzył teraz meteoryt albo spadający samolot, to czy ktokolwiek zainteresowałby się jej śmiercią. Szef? Od pamiętnej rozmowy kwalifikacyjnej marzył tylko, by jeszcze raz ją przelecieć, a przecież zwęglona nie wyglądałaby już tak atrakcyjnie. Zresztą i bez meteorytu musiała tracić na wdzięku, skoro z delegacją wysłał ją tu, a nie, jak kiedyś, do stolicy albo do Gdańska.

Więc może Lucyna? Swoją drogą jak żałosne jest to, że jedyna osoba, z którą utrzymujesz kontakt, to matka twojego byłego, który cię zdradzał, okradł i publicznie nazwał dziwką?

Monika westchnęła i zakręciła szklanką, patrząc na skaczące kostki lodu.

Gdy podniosła wzrok, właśnie wchodził do baru. Potężny, ze spiętymi w kucyk rudymi włosami, starannie wyczesaną brodą, w skórzanej kurtce pełnej naszywek, z wielką odznaką na piersi. Wraz z nim wróciły natychmiast wszystkie wspomnienia.

Ostatni rok studiów, wspólny wypad dużą grupą na pierwszy lepszy kemping, gdzie chlali na umór, grali na gitarach, rozmawiali o Sartrze i dobrze się bawili. To wtedy ten dupek Tomek rzekomo pomylił śpiwory. W rzeczywistości jebał Kaśkę, co wymagało od Moniki wyjścia w miasto, odreagowania. Tak trafiła do baru, spotkała Kędziora i jego kolegów, a potem przeżyła niesamowitą noc w opuszczonym lunaparku, wykrzykując orgazm za orgazmem z wagonika diabelskiego młyna. Doprawdy, co z nią było nie tak, że wcześniej o tym nie pamiętała?!

Klnąc na siebie w myślach, poderwała się z miejsca i podeszła do olbrzyma, ściskając w ręku drinka. Żeby tylko mnie pamiętał, żeby tylko...

– Cześć, Kędzior – zagadała, nieomal zagradzając mu drogę.

Serce tłukło się w niej jak oszalałe, kolana drżały, ale przynajmniej minę starała się utrzymać nonszalancką, taką w stylu: „Och, ależ urocze, niezobowiązujące, przypadkowe spotkanie. Chcesz się pieprzyć po świt?”.

Olbrzym spojrzał na nią i zmarszczył czoło, więc by uniknąć niezręcznego „kim jesteś”, Monika wyciągnęła rękę.

– Możesz mnie nie pamiętać, ale kiedyś już się... spotkaliśmy. – Zachichotała jak idiotka i zaraz skarciła się za to w myślach. – Monika. Monika Turczyńska. Przejażdżka nocą, diabelski młyn...

Bruzdy na czole Kędziora natychmiast zniknęły.

– Monika, skarbie – wyszczerzył się – czy cię pamiętam? W zeszłym miesiącu skończyłem sobie na plecach ogarniać tatuaż z twoim imieniem, kochana. I właśnie, wyobraź sobie, ciebie tu szukałem, uwierzysz?

Pokręciła głową z rozbawieniem.

– Nie, Kędzior. Nie uwierzę.

Wzruszył ramionami, ani na moment nie tracąc rezonu.

– Może i słusznie – stwierdził. – Tak czy owak zauważyłem cię dziś od razu i jakoś znajoma mi się wydałaś. Oczywiście mam wrażenie, lepiej bym skojarzył, gdybym zobaczył cię jak ostatnio. Bo dobrze pamiętam – zmrużył oczy – ostatnio miałaś na sobie mniej, prawda?

Monika zawahała się przez moment. Z jednej strony głos rozsądku jak zawsze mówił jej: „Szanuj się, dziewczyno, nie widzisz, za kogo cię ma?”. Z drugiej strony... jakie to mogło być zabawne, gdy po wszystkim zapyta go o ten tatuaż i będzie się z niego tłumaczył. No i w zasadzie to, co myślał, nie odbiegało specjalnie daleko od powodu, dla którego wstała od baru i podeszła do Kędziora.

W końcu więc westchnęła i uśmiechnęła się lekko.

– Mam tu niedaleko hotel – powiedziała. – Poczekaj, pójdę tylko po torebkę.

* * *

Stalówka poderwał się z łóżka, błyskawicznie rozbudzony i gotowy do rozprawienia się z intruzem. Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że to tylko Kubuś. Chłopiec trzymał w rękach dwa kubki. Z jednego z nich parowało kakao, drugi był po brzegi wypełniony wodą. Ten właśnie trafił się albinosowi.

– Musimy pogadać, Stalówka – stwierdził chłopczyk. – Bo ja tak jakby tęsknię za mamą.

Albinos westchnął. No tak, teraz kiedy Dzwoneczka nie było, takie rozmowy spadały właśnie na niego. Tylko dlaczego, do diabła, w środku nocy? Mimo to spróbował się uśmiechnąć, a nawet wyciągnął wolną rękę, by poklepać chłopca po głowie.

– Każdy z nas przez to przeszedł, mały – powiedział. – Ale wiesz, co jest najfajniejsze? W przeciwieństwie do innych mam nasza zawsze wraca.

Nie dostrzegł, jak chłopczyk zaciska zęby, jak bieleją mu kostki ściskające kubek z kakao. Uniósł własne naczynie i jednym haustem wypił całą zawartość. Otarł usta ręką.

– Bo widzisz, mały... – zaczął.

Zwalił się nieprzytomny na łóżko.

Kubuś wziął pusty kubek i wyszedł z pokoju. Oprócz nieobecnych – Kędziora i Dzwoneczka – z wielkiej siódemki załatwił już wszystkich. Pozostali tylko przyjezdni i Dzieciaki.

* * *

Monika, dysząc ciężko, zsunęła się z Kędziora. Opadłszy obok niego, wtuliła się w jego wielkie, umięśnione ramię. Przez chwilę leżeli tak obok siebie wpatrzeni w sufit hotelowego pokoju, delektując się ulatującą powoli euforią minionych chwil. Wreszcie nie wytrzymała.

– To co, pokażesz mi ten tatuaż z moim imieniem? – zapytała rozbawiona. – Chyba, że to był tylko taki sprytny wybieg, żeby zaciągnąć mnie do łóżka?

– Jaki tam wybieg? – oburzył się Kędzior. – Mówię to mówię, nie?

Podniósł się i zaprezentował jej plecy, a na nich malunek przedstawiający potężny dąb. W jego koronie na kilkudziesięciu, a może kilkuset listkach drobniuteńkimi literami napisano kobiece imiona i nazwiska.

– Znajdź się – powiedział Kędzior.

Uderzyła go poduszką.

– Świnia! – zawołała z udanym oburzeniem, a potem pocałowała go w kręgosłup. – Zobaczysz, jeszcze zasłużę na osobny. Na ramieniu, z

imieniem wpisanym w kwiat róży. A teraz podaj mi wody.

Kędzior sięgnął do stolika po dwie szklane butelki, jedną podał Monice, drugą otworzył dla siebie. Wypił zawartość jednym łykiem, po czym odstawił butelkę i spuścił nogi z łóżka.

– Dobra, to idę się odlać, a potem wiesz, popracuj nad moim nastawieniem swoim... nastawieniem.

Wstał, ale zatoczył się i klapnął z powrotem na materac. Pod palcami poczuł nagle wilgoć, więc odwrócił się i dostrzegł, że Monika leży nieprzytomna na łóżku, a z jej butelki wypływa resztka wody.

– Co do kurw... – zdążył jeszcze powiedzieć, a potem dostrzegł tańczący na ścianie Cień i zapadł w ciemność.

Kilka minut później do pokoju wszedł Luby w asyście kilku osiłków.

– Zabierzcie ją, zawieźcie na miejscówkę i dajcie znać, jak będziecie na miejscu – polecił. – Pamiętajcie o opowiedzeniu jej historii, żeby nie obudziła się z niczym. Z olbrzymem trochę mi zejdzie, więc niech Bartek i Rolo zaczekają.

Pierwszy spośród osiłków, łysy z tatuażem ognika koło ucha, podszedł do łóżka, owinął Monikę kocem i podniósł.

– A co z... no, z tamtymi, szefie? – zapytał.

– Już się tym zająłem, nie interesuj się – warknął Luby.

Usiadł koło Kędziora i zaczął go gładzić po włosach, przeczesywać brodę palcami.

– Idźcie już – dodał. – Opowieścią dla niego też się zajmę.

Gdy wyszli, Luby wyciągnął z kieszeni elektryczną maszynkę do golenia. Równocześnie ze strzyżeniem rozpoczął opowieść:

– Nazywasz się Marek Kędzierski...

* * *

Kubuś wyszedł na zewnątrz i jeszcze raz spojrzał na budynek, który nazywał domem. Dostrzegł siedzącego na balkonie kota. Zwierzę przyglądało mu się z pogardą.

Cóż, pomyślał Chłopczyk, poprawiając czerwoną czapeczkę, jedyną rzecz, jaką zabrał ze sobą z domu. Koty mogą nie rozumieć. Albo patrzeć na wszystko inaczej.

Przeszedł przez parking, a potem główną alejką aż do bramy. Było jasno, choć o tej porze latarnie w lunaparku dawno wyłączono – Księżyc napęczniał już w tym miesiącu prawie do pełni. Kubuś szedł lekko zgarbiony, przygnieciony ciężarem winy, a jednocześnie podekscytowany tym, co miało nastąpić. Był rozsądnym chłopcem, nie ufał obcym, lecz wiedział, pamiętał za sprawą przywróconych wspomnień, że przez ten cały czas Cień zawsze dotrzymywał słowa i nie było powodu, by myśleć, że tym razem będzie inaczej. A to znaczyło, że spotka dziś rodziców. To znaczyło, że...

Tuż przed nim opadła nagle gałąź i Kubuś zobaczył Pana Propera na wysokości swojej twarzy. Kot syknął, a potem skoczył na głowę chłopca. Wbiwszy się pazurami w czapkę, zeskoczył razem z nią na ziemię. Następnie złapał ją w pyszczek i powoli, pełnym dumy krokiem pomaszerował w ciemność.

Kubuś westchnął i ruszył dalej.

Gdy doszedł do bramy, dostrzegł czekające samochody. Przy czarnym vanie stał wsparty o maskę Grzegorz Luby i palił papierosa. Na widok chłopca uśmiechnął się i pomachał.

– Wszystko załatwione, jak rozumiem? – zapytał.

– Tak – odparł Kubuś. – Wszyscy śpią, wszyscy dostali łzy.

– Znakomicie.

Luby cisnął niedopałek na ziemię i z radości aż zatarł ręce.

– Nie rób takiej miny, Kubusiu. To dla nich początek nowego, dorosłego życia. Już za długo byli chłopcami, a nie ma wiecznych dzieci. No, z

wyjątkiem Pana.

Dał znak, a wtedy pozostałe samochody ruszyły przez otwartą bramę w stronę domu Chłopców. Luby natomiast podszedł do Kubusia, objął go ramieniem i podprowadził do bocznych drzwi vana.

– No i nie zapominaj, że to nowe życie również dla ciebie – powiedział.

– Chciał pan chyba powiedzieć „stare” – upewnił się Kubuś, łapiąc za klamkę.

Odsunął drzwi na bok i jego oczom ukazał się skrępowany, nieprzytomny Kędzior, niemal nie do poznania z krótkimi włosami i starannie przystrzyżoną brodą. Chłopczyk odwrócił się gwałtownie, ale zbyt późno. Luby zdążył złapać go za ramię i wstrzyknąć w szyję całą zawartość trzymanej w ręku strzykawki.

– Doskonale wiem, co chciałem powiedzieć.

Odczekał, aż chłopiec straci przytomność, po czym wrzucił go do samochodu i zasunął drzwi.

Czekała go dziś naprawdę długa podróż, skoro miał tych dwóch zawieźć do nowego domu.

POSŁOWIE

Muszę się Wam do czegoś przyznać: bardzo trudno pisało mi się ten tom przygód Dzwoneczka i Chłopców. Nie dlatego, że nie wiedziałem, co się powinno wydarzyć, że nie umiałem ułożyć słów w zdania, a zdań w akapity. Powodem nie było też zniechęcenie. Ot, po prostu... miałem świadomość tego, co się wydarzy, i nie chciałem im tego robić.

Pamiętam scenę z mojego ukochanego filmu z wielkim Arniem *Bohater ostatniej akcji*, w której Jack Slater, postać z filmu o twarzy i posturze austriackiego gwiazdora, podchodzi do Arnolda na premierze nowego filmu o swoich przygodach i mówi: „Nie lubię cię. Sprawiłeś mi tyle bólu”. (Czy jakoś tak, zabijcie, nie pamiętam teraz dosłownego cytatu).

Powiem Wam, że pierwszy raz w życiu, gdy napisałem to, co właśnie przed chwilą skończyliście czytać, miałem przed oczami wizję mojego bohatera, Kędziora, patrzącego na mnie z wyrzutem i smutkiem w oczach. Nie rzucił pasującym do niego „Serio, kurwa?”, w ogóle nie powiedział nic. Ale w jego oczach widziałem, że najchętniej zacytowałby mi Slatera.

Cóż, jednak opowieść to opowieść i rządzi się swoimi prawami. „Książka jest szefem”, jak pisał kiedyś Alfred Bester, i albo to łapiesz, albo odpuszczasz. A ja ani bym już chyba nie umiał, ani zdecydowanie nie mam ochoty odpuszczać. Stąd w moich historiach czasem ktoś ginie, czasem dorasta, słowem: dzieją się rzeczy paskudne.

Oczywiście, to nie koniec. Dzwoneczek i Chłopcy wrócą. W głowie już układa mi się otwarcie kolejnego tomu, już gdzieś z oddali słyszę dialogi. Czasem wesołe, więc chyba nie będzie tak źle. Dziś jednak zostawiam was

w miejscu, gdzie nie jest fajnie. Jedyne, co mam na pocieszenie, to że ja też się tu, kurwa, dobrze nie czuję.

Dajcie więc chwilę, niech złapię oddech, niech historia odsłoni się jeszcze kawałek. A potem znowu rykniemy wspólnie „BANGARANG” i pognamy przed siebie. Co Wy na to?

Jakub Ćwiek
Bytom, czerwiec 2013

PS. Ponieważ tak naprawdę posłowia służą do tego, by dziękować tym, bez których książka nie byłaby taka, jaka jest, chciałbym niniejszym wyrazić mą wdzięczność dla: Tess, Mata (prawdziwego, który jest dużo lepszy niż książkowy), Kevina, Lamberta, Iwo i Jerry’ego, a także dla całej załogi Wydawnictwa SQN, która – co przyjmuję z ogromną radością – pod każdym względem dba o ten projekt, jak o coś więcej niż tylko książkową serię. Przede wszystkim jednak dziękuję J.M. Barriemu, którego dzieło chyba nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

DODATKI

TAKIE TAM, RYMOWANE

Kto mnie zna, ten wie, że czasem coś mnie bierze i zabieram się do pisania piosenek lub wierszyków. Ekipa Dzwoneczka okazała się dość wdzięcznym dla nich tematem, stąd stwierdziłem, że w ramach bonusu zaprezentuję wam wierszyk świąteczny i piosenkę. Ten pierwszy pojawił się pierwotnie na oficjalnym profilu z okazji świąt (z fantastyczną ilustracją autorstwa niezawodnego Iwo Strzeleckiego), piosenka natomiast powoli nabiera kształtu i mam nadzieję, że gdy czytacie te słowa, można ją już usłyszeć. Jeśli tak jest, to ja, autor, z tego punktu w czasie zazdroszczę Wam, cwaniaki.

A zatem wierszyk:

OPOWIEŚĆ WIGILIJNA (NIE TYLKO DLA CHŁOPCÓW)

Noc była już ciemna, a gwiazdki ni widu,
Choć szary bałwan jej tęsknie wyglądał,
Lecz nie zasłużył ni bałwan, ni bidul,
By gwiazdkę w tym roku na niebie oglądać,

W bidulu już zresztą wszyscy po wieczerzy.
Sponsor dał opłatek, barszczyk, karpia krzynkę.
Potem wielki worek, każdy prezent bierze:
Piżamkę, jakiś słodycz, kiwi, mandarynkę...

Poszły dwie kolędy, grzecznie, ładnie w chórku.
Wyjście na dziedziniec, żeby pstryknąć foto:
„Najstarsi przykucną, najmłodsi na murku...
A teraz uśmiech... Stój, Franek, niecnoto!”.

I wtem „BANGARANG!” ktoś wrzasnął z obłoków.
Dzieciarnia w mig głowy zadarła ku górze,
Gdzie ze swym orszakiem wyłonił się z mroku
Mikołaj na wielkiej, harleyowej chmurze.

„Ho, ho! – woła święty. – Sorry za spóźnienie,
Lecz na niebie korki, że ja was pierdolę.
Znaczy nie dosłownie, bo jesteście dziećmi

I... Wal się, Milczek, sam jesteś matołem!”
Tymczasem na ziemię na swych jednośladach
Zstąpiły już elfy w czapeczkach z pomponem
I jeden po drugim dziarsko każdy zsiada,
Sięgają po sakwy jaskrawoczerwone.

„To dla was prezenty – zawołał Mikołaj. –
Bo bycie sierotą to chujowa sprawa.
Ale choć bez starych, wciąż jesteście dziećmi
I wasz obowiązek to uśmiech, zabawa!

Więc łapcie myśli, ale tylko miłe
I zaraz już czadu damy, że ja jebie.
Dorośli zostają, dzieciaki gotowe?
Następny przystanek... wysoko na niebie!”

I piosenka:

BANGARANG!

Pierwszy zjazd!
Czytasz drogę z mapy gwiazd.
Druga z prawej kusi snami,
A więc za nią, pełen gaz.

Goni nas!
Stetryczały skurwiel Czas.
Niech się dusi w chmurze spalin.
Nie chcesz przecież krzyczeć: pas?!

REF: Bangarang!
Nie zrozumiesz, bo to slang,
Więc po prostu daj się ponieść.
Twój świat zmieni się na bank.
Bangarang!
Prosto pruj przez yin i yang.
Oddaj swoje życie Drodze
I pokochaj taki stan!

Każdy dzień pragniesz przeżyć niczym sen.
Robisz to, dobrze znasz cenę,
Rośnie dokarmiany Cień.
Ale pstryk
I już słyszysz tylko ryk.
Głowa pełna miłych myśli,
W płucach tlenu dość na krzyk!

REF: Bangarang!
Nie zrozumiesz, bo to slang,
Więc po prostu daj się ponieść.
Twój świat zmieni się na bank.

Bangarang!
Prosto pruj przez yin i yang.
Oddaj swoje życie Drodze
I pokochaj taki stan!

Znowu zjazd!
Czytasz Drogę z mapy gwiazd.
Nie patrz wstecz, bo tu zostaniesz.
Sprzęgło, bieg i pełen gaz!

REF: Bangarang!
Nie zrozumiesz, bo to slang,
Więc po prostu daj się ponieść.
Twój świat zmieni się na bank.
Bangarang!
Prosto pruj przez yin i yang.
Oddaj swoje życie Drodze
I pokochaj taki stan!

GRA W MASĘ

Pewnie zaraz się okaże, że większość z Was zna tę grę pod inną nazwą, z minimalnie innymi zasadami i trochę inaczej rysowanym boiskiem. Dla

mnie to jednak była, jest i będzie MASA. A skoro to ja jestem autorem tej książki, to... sami rozumiecie.

Pamiętam, jak odkryłem ją jeszcze w podstawówce, najpierw obserwując starszych kolegów, a niedługo później grając już z nimi. Z początku ciskali mną jak szmacianką i odpadałem jako pierwszy, ale z czasem... Cóż, powiedzmy sobie szczerze, są okoliczności, w których opłaca się być małym i zwinnym. To była jedna z nich.

Rzecz jasna to, że wracałem do domu coraz bardziej poobijany, w ponaciąganych albo porwanych ciuchach, musiało zwrócić uwagę moich rodziców. Kiedy pewnego razu zapytany przez tatę, co mi się stało, zacząłem z ekscytacją opowiadać, tata uśmiechnął się tylko i powiedział: „Chłopie, przez masę twoja babcia codziennie musiała mi guziki do mundurka przyszywać!”.

Tak oto okazało się, że granie w tę grę mam we krwi. A że ostatnio nie za bardzo jest z kim grywać, umieszczam masę w książce. I uzupełniam o zasady, byście mogli poćwiczyć, zanim się spotkamy.

A zatem:

1. Masa to gra dla dwóch drużyn złożonych z 3–5 graczy.

2. Gra się na specjalnie narysowanym polu, którego rozmiar dostosowujecie do własnych potrzeb. Wymiary nie są ustalone z góry, bo pole nie powinno być ani za duże, ani za małe – ot, odpowiednie dla Was. Można rysować kredą albo cegłą, czyli kanonicznie, można też burżujsko farbą. Pole do gry wygląda tak jak na obrazku. Swoją drogą dziękujcie Jerry’emu, że uratował mnie od malowania tego samodzielnie, bo ja to tylko słoneczko w Paincie umiem.

3. Zadaniem graczy z obu drużyn jest wybiec z pola, obiec je, wbiec drugim wejściem i dopchać się do trójkąta oznaczonego literą „M” na polu przeciwnika. Stawiając na nim stopę i krzycząc „Masa!”, wygrywamy grę dla swojej drużyny.

4. Gdzie jest haczyk? Otóż po drodze nie możemy przekroczyć ani jednej linii. Nasza stopa ani inna część ciała nie może zostać wypchnięta za którąkolwiek z linii – jeśli dotkniemy ziemi po drugiej stronie choćby palcem, odpadamy.

Proste? A zatem przebierzcie się w coś, czego nie będzie wam potem szkoda, zbierzcie kumpli (mogą być też koleżanki, ale sorry, ja z babami nie gram, bo potem ryczą, że „o mój Boże, urwał mi stanik!”) i na boisko. Twardziele grają na betonie, ale Wy możecie, gdzie chcecie.

A kiedyś, jak będziecie naprawdę dobrzy, pewnie się spotkamy. Bo chociaż to gra drużynowa, mistrz gry w MASĘ może być tylko jeden!

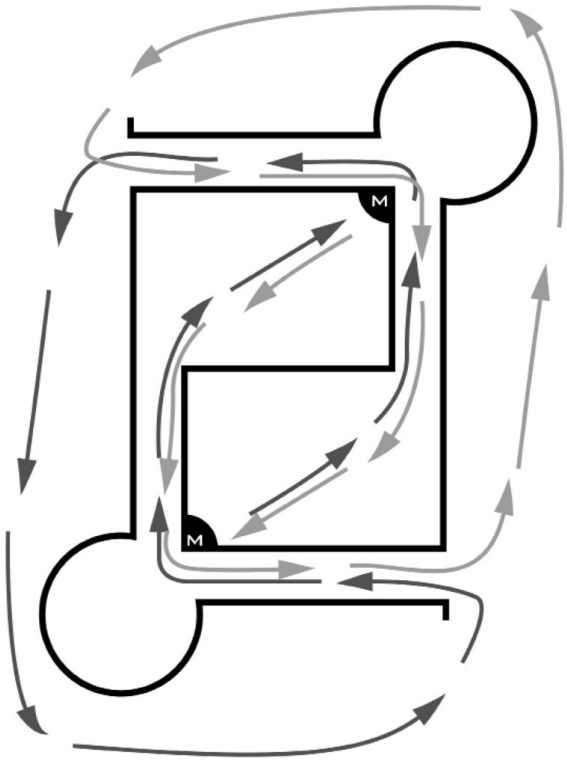

BOISKO DO GRY W MASĘ

DRUGA NIBYLANDIA

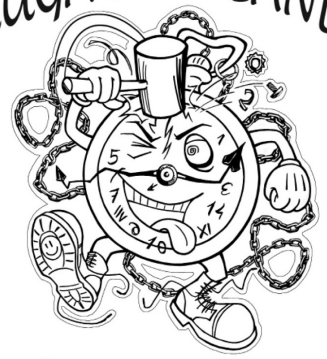

ZAPRASZAMY!

BATTLE
SNAKES

castor

dzwoneczek i milczek

CHŁOPCY

milczek

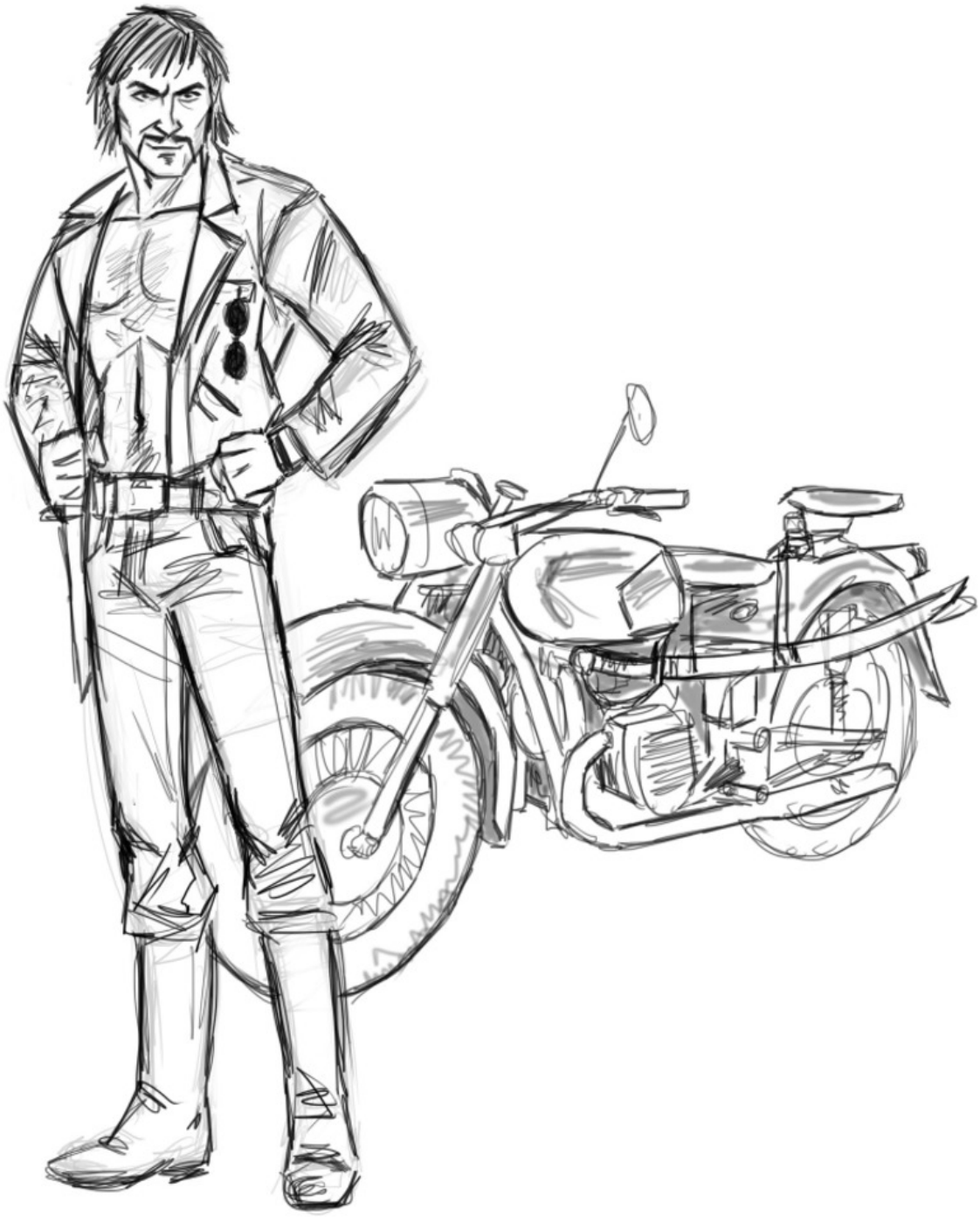

kosciej

paragon

Wyjątkowy komiks JAKUBA ĆWIEKA

i pierwszy tom

Chłopców

www.wsqn.pl

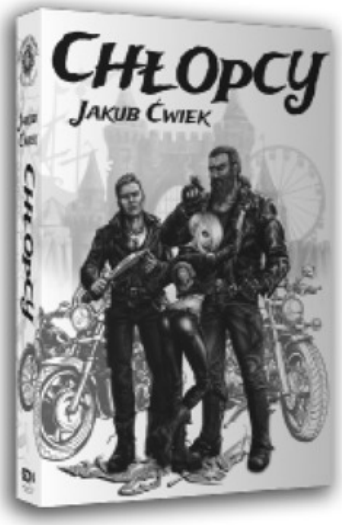

SZUKAJ NA

www.labotiga.pl

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:
facebook.com/WydawnictwoSQN
www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:
www.labotiga.pl

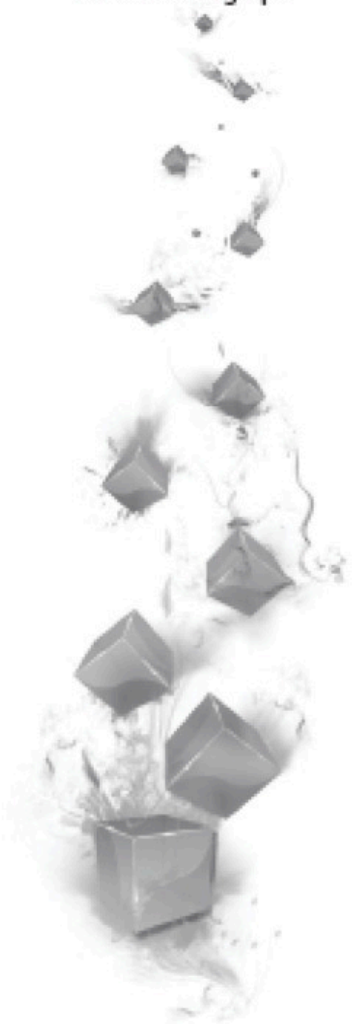

Chłopcy 2. Bangarang

Copyright © by Jakub Ćwiek 2013

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2013

Redakcja – Tomasz Hoga
Korekta – Joanna Mika-Orządała
Opieka redakcyjna – Przemek Romański
Skład i łamanie – Joanna Pelc
Przygotowanie okładki – Paweł Szczepanik
Rysunek na okładce i wszystkie rysunki w książce – Iwo Strzelecki

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

ISBN EPUB 978-83-7924-064-7
ISBN MOBI 978-83-7924-065-4

Jakub Ćwiek

www.jakubcwiek.pl
www.facebook.com/JakubCwiekOfficial

WYDAWNICTWO SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSQN

DRUGA NIBYLANDIA
ZAPRASZAMY!

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Dedykacja
Kto się przezywa...
Koci łapki
Słuchaj uchem, a nie brzuchem
Twój stary
Bóldupy
Epilog
Posłowie
Dodatki
Strona redakcyjna